

Eugeniusz Dębski
O włos od serca

Prawa dłoń chłopaka zacisnęła się na twardej spiczastej
piersi

dziewczyny, druga nerwowo i gorączkowo szarpała taśmy
przy jej spódnicy;

dziewucha zachichotała z obowiązku i szarpnęła równie
niemrawo.

- Przesz nigdzie nie pódziesz! - niby hardo, ale w
gruncie rzeczy z

niepokojem w głosie wyszeptał parobek. - Leje jakby kto
dziurę w niebie

zrobił - stęknął napierając biodrami i - porzuciwszy
szarpanie tasiemki

położył obie ręce na soczystym tyłeczku dziewczyny. -
Najlepi by było,

jakby my...

- Sweryn! - wrzasnął ktoś przez wąskie poziome okno
pod okapem

budynku, niemal nad samą głową pary. Chłopak
podskoczył, a dziewczyna

zapomniała o krygowaniu i nie zwracając uwagi na ulewę
pognała,

zadzierając spódnicę, przez brrukowane podwórze do
drugiego kuchennego

wejścia. Porzucony amant strzelił ładunkiem nienawiści w
okienko, wsadził

pamiętającą ciepły przytulny kształt dłoń w spodnie i
chwilę układał w

gaciach aż do bólu wyprężony członek.

- Swe - e - eryn! Żeby ci smród nogi powykręcał! -
wrzasnął ktoś

ponownie.

- Ide! - warknął poszukiwany. Splunął kątem ust w kałużę, zerknął w

mętne wiszące nad samym dachem niebo, wymruczał przekleństwo, które miało

objąć pogodę i karcznię, a przede wszystkim dziewczynę, co to się jej,

lebidzie jednej, nie chciało pobiec do stodoły. Przeklął też tego durnia,

co wydzierał się z kuchni stojąc na stołku zamiast zrobić co zrobić trza.

- Dyc' ide!

Ocierając się rękawem kaftana o ścianę dotarł do drzwi i wszedł do

głównej izby zamierzając udać, że przez cały czas wycierał podłogę z wody

i zbierał brudne naczynia, bo o to musiał pieklić się Brind. Natychmiast

cwane oczy Sweryna wyłapały plecy szynkarza, zadowolony rzucił się do

cebra i pęku konopnych pakuł na kiju, którymi zbierał wodę, energicznie

zaczął osuszać kałużę na podłodze. Spod grzywy jasnych włosów zerknął na

dobrodzieja, czy widzi jego starania, a potem przypomniał sobie kształtny

cycuszek i całą resztę, mocniej napał na kij. Szynkarz tymczasem podszedł

do stojącego przy kominie stołu, przed każdym z siedzące tam czwórki

wojaków postawił kufel z parującym winem, pozostałe cztery ustawił w

centrum, między junacko rozstawionymi łokciami, dwoma
cylindrycznymi

hełmami, jednym sztyletem i misami z resztkami
posiłków. Właściwie resztek

nie było - mocne zęby zaprawionych w bojach chwatów
nie takim karczmom

dawały radę - i znakomicie pracowały na wszystko
trawiące żołądki; kilka

chwil temu jeden z nich rzucił pętającemu się pod nogami
psu kość, białą,

obżartą, wycmoktaną. Pies rzucił się na nią, ale przystanął,
obwąchał

podejrzliwie i zerknąwszy z wyrzutem na człowieka wziął
z nawyku w zęby,

by ponuro powlec się do kąta. Tam położył gnata na
podłodze przed sobą i

westchnąwszy ułożył nos na ziemi, tuż obok, jakby chciał
pokazać, że stara

się złowić najmniejszy, najsłabszy ślad smakowitego
zapachu, ale na

niewiele może tu liczyć.

Karczmarz stawiając na stole cztery kufle postąpił
wbrew poleceniu, bo

najhańsliwszy z wojaków wyraźnie powiedział:

"Karczmarzu, fiucie jeden,

dwa razy po cztery szklanice grzanego, ale nie naraz, bo
ziębna, a nam

gorące potrzebne po zimnicy!". Karczmarz jednak nie
zamierzał biegać tam i

z powrotem z zakichanymi kilkoma szkalicami, do
czterech więc nalał

gorącego wina, a do następnych czterech bardzo gorącego,
niemal wrzącego -

para z nich buchała pod sufit gęsto. Gdy do izby
wgramolili się dwaj
następni goście, miejscowe chudziaki, przejrzyste, wonne
welony wznoszące
się znad bardzo gorących naczyń kiwnęły się, wiotko
majtneły w bok i
osiadły na oknach z płytek magmikowych, zasłaniając
kompletnie widok na
podwórze. Nic tam zresztą ciekawego nie było - ziąb
okrutny, ulewa, a
czasem i drobna sieczka śnieżna w powietrzu, siekąc po
pysku każdego kto
nos wyściubił na ulicę. Dlatego karczmarz nie bał się
wojaków - nie podoba
się obsługa? A won mi na ulicę! Nocuj, mądrało w stogu,
albo - w
najlepszym przypadku - w stajni, jeśli ładnie poprosisz i
uszczuplisz swój
żołnierski trzosik.
Jeden z wojaków zauważył, że szynkarz postąpił wbrew
i zaczerpnął
powietrza do protestu, ale ten najhłaśliwszy, barczysty
sumiastowąsy
chwata ze złamanym kiedyś nosem, przez co mówił jakby
miał go zakołkowany,
wypił żarliwie połowę swej szklanicy i - zagłuszając
rodzący się protest
towarzysza - ryknął:
- Tak też i powiadam: Wiedźmin? Ni ma takiego! Dupe
mam ubitą na gęsto
od jeżdżenia po świecie, od kiedy pamientam przemierzam
tyn kraj i inne od

brzeża do brzeża, ale nie spotkałem nikogo takiego. Chiba
że w bajkach dla
dzieci albo naiwnych gamoni! Tyle wam powiem, i nic
mego zdania nie
zmieni!..

- Wiemy - wiemy... - skrzywił się siedzący naprzeciwko
wąsacza nieco

chudszy, ale też wąsaty kompan. Od początku biesiady
starał się przejąć

głos i dowodzenie przy stole, ale nie udawało mu się -
wąsaty miał mir u

pozostałych dwu i rzucanymi co jakiś czas pytaniami albo
pochwałami ten

mir u nich podgrzewał. - Twoim zda - aniem... -
przedrzeźnił. - Ciągle

dyskredytywę na wiedźmowych kładziesz, a ja pytam: A
skąd pewność twoja,

krutydupku, że ten twój xameleon by mu nałożył?

- Krutydupekem?

- Krutydupekeś!

- Ty... - Wąsacz zawahał się, jego pobrużdżone czoło
rozjaśniło się,

soczysty uśmiech rozciągnął wargi. - Ja ci powiem skond
moja pewność! -

Odzyskanie kontenansu przybił pięścią w stół. - Ja ci to
powiem!

- Powiedz!

- A powiem!!!

- No to gadaj, a nie, że ino gadasz, że powiesz!!!

Krótką chwilę w karczmie wszyscy, niemal wszyscy
zastygli - bójka

wsadziła czubek nosa do karczmy i z nadzieją zerkała na
rozgrzanych wojów.

Wąsacz wypuścił powietrze i ochłonawszy warknął:
- No to słuchaj. - Zamierzał sięgnąć po szklanę, ale zorientował się, że teraz każda przerwa jest po myśli kompana i będzie grać na tamtego korzyść, trącił więc tylko paznokciem w szkło i zaczął mówić: - Zychur potwierdzi - kiwnął na siedzącego z lewej niskiego kamrata, któremu czarne włosy niemal łączyły się z gęstymi szerokimi brwiami, wyglądał przez to jakby dwie pijawki rozciągnęły mu się nad oczami i zerknęły w dół na czubek nosa. Wywołany odchrząknął skonfundowany i pytająco zerknął na mówcę. - Byłech przy bitwie na rzece Sconfolo? - Zychur z ulgą odetchnął i gorąco zakiwał głową. - No, widzicie! Jakem Malon - nie łżem!
- Nie mówię, że łżesz o bitwie pod Gruttą...
- Poczekaj! Już wszystko wykładam... Otóż jak tam było wiecie, nie? -
Zazwyczaj po takim pytaniu następuje dłuższa niepotrzebna perora i tak też stało się i tym razem: - Z jednej strony, a nie była to nasza strona, tało sześć fratier pieszych, dwa skrzydła jazdy i garmatki, hłubnice, szkwery, wszystkiego po sześć i szternaście gwizdałek nabitych żelazną sieczkom na nasze jazde. U nasz było od początku dużo mniej pieszych, ledwie trzy fratiery, jazdy tyż dwa skrzydła, a artylerci - dwie garmatki, pożytku z

nich jak z osy miodu. Ale co tam - tłukli my sie jak trza, to
i ich

przewaga kapciała. I tak dzień w dzień: oni szturm - mu
ich po kulach, po

kulach; oni nazad - my im po plerach! I nic wiency. Rany
liżemy, szańce

poprawiamy. Czekamy na dopomoge. Nima. Nastempny
dzień: oni szturm, my z

okopów chlast - chlast! Oni dyla, my im poślad: rdzawą
posypkę z garmatek

i czekamy, jako rzekłem, na posiłki. Ale, grucha -
pietrucha, nima! -

Wojaka zrobił znaczącą pauzę, zobaczył, że miejscowi,
znudzeni zimą i

brakiem wieści ze świata chłoną jego opowieść jeszcze
chętniej niż

chrzczone piwo, na które i tak ledwie ich było stać.

Żołnierz potoczył

pytającym spojrzeniem po izbie. "No i co byście zrobili na
naszym

miejscu?".

Prócz dwu mężczyzn siedzących w kącie nikt nie był w
stanie udzielić

mu odpowiedzi, a ci dwaj, pomijając że znaczniejsi,
przyjezdni, to nie

zamierzali wtrącać się do opowieści, choć sami, popijając
nie hrzaniec, a

szlachetne wino, słuchali historii i nie ukrywali tego -
jeden nawet

pokiwał z aprobatą głową, a drugi się uśmiechnął i uniósł
trochę ponad

stół swój kielich. - No. Tak to trwało sześć dni, dokładnie.
Tylko tak -

my ich uszczuplamy mocno, oni nas słabiej, ale ich jest pięć razy wiency,

to i piontego dnia zostało ich mało, a nas - wcale.

Wieczorem zebrał nas

dowódca, Rewer, i powiada: " Chłopy, widać pomocy nie będzie i możemy tera

albo sie w nocy wycofać i drapać stąd pieprzem posypując swoje ślady, by

psy nas nie zwietrzyły, albo bedziemy sie bić do ostatka, do ostatniej

całej klingi, do ostatniej nabitej garmatki, do ostatniego dechu!".

Opowiadający wczuł się w rolę Rewera, wyprostował się, chwycił jedną ręką

pod bok, drugą zakrutnął wąsa, minę miał dziarską i dowódczą. - My na to

różnie, jeden kwiknoł, że pożytku z naszej walki ni ma, drugi, że siła

ich, a nam pomocy sie skompi... Rewer milczał i słuchał, chwile tak

słuchał i coraz wiency takich sie odzywało, co już sakwy mieli popakowane.

Nagle Rewer mówi: "Wy gnoje ojscane! Wy psie fiuty w pyle wytyłane, gówna

kacze takie! Już kity pod siebie i chodu? Już gotowiście pientami sobie

zadki poobijać?! Srać na honor najmitów!? Plecy pokazać i żyć potem

spokojnie???" "Ale siła ich, a nas garstka...", jęknął któryś. A Rewer

wychylił sie w jego stronę i l - lu go japę! Tamtego ścieno z nóg,

podniósł się i ryj wyciera i nie wie - obrazić się czy
potulnie żlizać
smarki z juchom i tyle. A Rewer patrzy na niego i mówi:
"Lepiej w ryj
dostać małym garstkom czy dużym poducho? Bo my
jesteśmy dla nich
garstkom!". Jak my nie rykneli śmiechem, jak się nie
zaczeni pokładać! Aż
do tamtych stanowisk doszło, bo się oni poruszyli, a nasi
wartownicy
zaczli sykać. Nagle nam, gr - rucha - pietrucha, sił doszło.
I w ogóle...
Teraz opowiadający uznał, że ma już słuchaczy w garści
i może sobie
zaserwować mały antrakt na zaczernięcie dziobem
hrzańca. Upił serdecznie,
wytchnął: "Hu - ach!" i otarł wąsy.
- Nikt już nie zamierzał drapać stamtond, nawet ten w
papę rympienty,
taka nas ochota do bitki naszła, że jeszcze trocha, a byśmy
poszli na
jeich okopy już teraz, w nocy. Jeszcze Rewer powiada: "Nie
było tak i nie
będzie, żeby jemelcy Rewera pokazywali rzyć wrogowi!
Nie miałem w oddziale
ani jednej rany na dupie i mieć nie pozwo...". A tu jeden
krzyczy: "Przesz
Gacły ma taką ranę, na rzyci!". Gacły się zacukał, to taki
jąkała był choć
rembarz znatny, zacukał się, wszyscy rechocom,
wartownicy sykajom, bo nie
wszystko słyszom, a i ruch w norach tamtej hordy się
zrobił. W końcu Gacły

wykrztusił: "Moja rana na zadzie, bom usiadł na butelkie!"
No i wtedy się

zaczeno! My w ryk, Gacły wybałuchy postawił, Rewer
pod wonsem się uśmiecha.

No, wesoło jak w karczmie, a nie jak przed ostatniom
potyczkom. A duch

taki w nas... - Wojak zamilkł na chwilę i zatopił się we
wspomnieniach. -

Ja, pamientam, pomyślałzech: - A co grucha - pietrucha!?
Ile by życia nie

było, zawsze go będzie za mało, zawsze jeszcze aby
przynajmniej dzionek.

Jak tak, to wszystko jedno kiedy, byle nie umierać w
sromie za siebie. -

Sięgnął do szklanicy i dopił. - No! - Plasnął dłonią o stół. -
Taki to był

wieczór...

- Bardzo w nim ten twój xameleon widoczny! - zakpił
ten o prymat w

kompanii walczący. Ale duch w nim już wyraźnie osłabł.

- Czekał... Mówie: wieczór! W nocy zaś obudził mie
ktoś na warte, tom

wstał i poszedł. Jakie osiem kroków ode mnie ziewał
niejaki Wadeiloni,

zacny zuch. Stalim tak trochi, potem on na mie kiwnoł i
usiadł, wtedy ja

stałem, potem ja usiadłem, a on stał i tak na zmianę. Przed
świttem

przyszedł Rewer, przycupno koło mnie, pogapilim na
ruszajoncego wroga;

zbierali się do roboty: lonty buchtowali, przesypywali
proch do ciepłych

kanirków, żeby podsech, ostrzyli białą broń... Rewer cóż
powiedział,
podniósł się i dostał strzałę prosto w szyję. Musiała,
franca, być
wystrzelona na ślepy traf, ale trafiła go jak trza, zaraza.
Zwalił się na
mnie, cóż mu w garle zbulgotało, kopnoł pientom ziemi
i już.
Żołnierz zamrugał oczami i zamilkł zaptrzony w stół
przed sobą. Jego
palec, umoczony w kropli wina, rysował na drewnie blatu,
poharatany dnami
kufli i mis nieregularne mazy. Wojak najwyraźniej
odfrunął na skrzydłach
wspomnień i właśnie oniemiały stał nad ciałem
ukochanego dowódcy. Jego
kompani czekali cierpliwie; w końcu ten zادیorny
chrząknął głośno. Wzrok
Malona odzyskał ostrość.
- Ta - ak, bracia, był Rewer, ni ma Rewera. - Uniósł
kufel w górę,
cała trójka karnie i poważnie sięgnęła po naczynia i
spełniła niemy toast.
- Ja, grucha - pietrucha, mało nie zacząłem ziemi gryźć ze
złości. Patrze
na trupa i wiem, że koniec z nami. Z Rewerem mogli my
wstrzymywać te kupy
wrazie aż do ostatniego woja, a tak... Zara wszyscy
zacniemy stamtąd dymać
aż pogubimy obcasy. A wtedy nas ichnia jazda wysiecze,
bo jak wiać to trza
było w nocy! No to się odwróciłech. żeby pójść
powiadomić kamratów, ale

mie złapał za ramie Wadeiloni, aż mi w barku chrumkneło
cóż i popatrzył na
mie, a ciarki mie przeszły, on zasie mówi: "Malon,
przysiengnij na swoje
życie, że tego co zobaczysz nikomu nie powiesz! No!". Ja
cóż
zabełkotałem, ale on położył rękę na kordylecie i już
wiedziałem, że
mnie utrapi. Przysiengłem, a on wtedy pociongnoł ciało
Rewera trochi w
bok, do dziury. Złożył tam, coś do niego mruknoł i
przykrył skrzydłem
wózka, wrócił do mnie. Ja sie patrze: grucha - pietrucha,
Rewer! W ubraniu
Wadeiloniego, ale Rewer! Nie wiem kiedy i jak on to
zrobił, ale stoi przed
mnom Rewer. Zatrzenoł mie, zimno mi i rence latajo, a
on powiada:
"Zamknij pysk i idziemy do boju. Potem znańdniesz ciało i
pokażesz
wszystkim. Jasne? I niech cie nie skusi gadanie!". Ja już
wiedziałem, że
gdybych pisnoł, to by mi on ten pisk urwał sztychem, to
tylko coś
wymruczałem i tak było - poszlimy do do boju i takeśmy
siekli, że tamci
dali w dryby - śryby. Takiej walki już później nie
widziałem i nie
zobacze. Każdy z nas zharatał co najmniej po dwudziestu i
byli my
straszni. - Zamilkł na chwilę i w ciszy panującej od
początku opowieści w

karczmi, zgrzytnął ostro, krześliwie zębami, aż Sweryn
wzdrygnął się i

syknął "Hu!lee!". - Potem, kiedy my się otrzeźnili z kurzu i
starli

skrzepłom juche z rąk i gomb, zobaczyłech, że Wadeiloni
patrzy na mie i

popycha wzrokiem do okopu. No to poszłech tam i
narobiłech rabanu, że niby

dowódce nam któż uszczelił... - Zapał do opowiadania
nagle z wojaka

wyparował. Westchnął przeciągle, siorbnął resztkę
chłodnego wina, które

nagle, po wystygnięciu i częściowym odparowaniu
aromatu ziół, zdradziło

czym jest, kwaśnym cienkuszem, i z hukiem odstawił
kufel.

- No i co dalej? - zapytał kompan.

- A co tam?.. - Machnął ręką niechętnie. - Po południu
przyszła

dopomoga - wzruszył ramionami. - Grucha - pietrucha! -
zakończył smętnie.

- A ten Wadeiloni?

- Znik. - Dotknął wierzchem dłoni kufla, jednego z tych
stojących w

centrum stołu i, czując chłód naczynia, powrócił od
wspomnień do

rzeczywistości, podniósł zagniewany wzrok szukając
karczmarza. - Hej,

gospodarzu! - wrzasnął. - Miało być podane za chwile i
goronce, nie? A nie

takie chłodne jscyny! - Czy to na skutek wypitego wina,
czy własnej

opowieści zaczął się złościć coraz bardziej. Walnął pięścią w stół i

zaczerpnął powietrza. - Słyszysz tam? Nie bede pił tej bryji, co smakuje

jak woda z brudnego dachu. - Karczmarz uznał za najwłaściwsze nie

pokazywać się na razie na oczy wojakowi. Z drzwi, za którymi przed chwilą

zniknął, nagle wypadł wygięty do tyłu Sweryn najwyraźniej kopniakiem

wysłany na posterunek. Zahamował gwałtownie, wystraszonym spojrzeniem

obrzucił żołnierza i chwycił za kij z kępą pakuł, nie zamierzając zbliżyć

się i oberwać za cwanego gospodarza. Jeden z żołnierzy, ten nazwany

Zychurem, pojednawczo położył rękę na przedramieniu Malona, ale to nie

poskutkowało - wojak poderwał się i huknął na całe gardło:

- Możesz to dawać tym kmiotom! - potoczył ręką dokoła - Ale nie mi! -

Rozpalał się coraz bardziej, zrozumiał to również karczmarz, uważnie

nasłuchujący przez nieszczelne drzwi, trącił palcem pętającego się pod

nogami kilkuletniego chłopca i syknął mu do ucha:

- Leć po Szuta, niech weźmie swoją kłonicę!

- Ja za dużom przeżył - kontynuował awanturę Malon wychodząc z za stołu

i stając pośrodku izby - żebym sie godził na takie traktowanie. Jam Malon

i mam swój ho...

- Nie drzyj się waść!

Cztery słowa przecięły wrzaskliwy monolog,
zaskoczyły i oszołomiły

Malona. Kłapnął zuchwą z dźwiękiem: "tłap" i potoczył
wzrokiem dokoła.

Przy odległym stole siedzieli dwaj znaczniejsi goście,
jeden z nich nawet

- przypomniał sobie Malon - chwilę wcześniej wymienił z
nim bezgłówny

toast, ale teraz, gdy żołnierz się rozjuszył, ten właśnie
postanowił

utrzyć mu nosa. Był chyba nieco starszy od towarzysza,
tak samo jak on

szczyły i w czymś podobny do krzemienia. Malon
przypomniał sobie, że

kilka chwil temu pomyślał, że z takim nie chciałby
zadzierać, taka była od

niego pewność siebie i aura, oznajmiająca, że ta pewność
nie jest błagą

ani bezczelną zuchwałością. Teraz jednak, zamroczony
cienkim, ale jednak

winem i złością, a także przeświadczony, że każdy jego
ruch i krok jest

pilnie obserwowany przez towarzyszy, musiał - jeśli nie
chciał stracić

miru - postawić się nieznajomemu.

- Nie bedziesz mnie uczył, jak mam się wieść...

- Nie tykaj, waść, bo ja cię nie tykam - przerwał znowu
nieznajomy.

- A ty mnie nie ucz! - wrzasnął co tchu w piersiach

Malon. - Jam z

dawna uczony!

- Honorem frymarczyć też? - zapytał spokojnie tamten wyczekawszy,

kiedy tracący dech Malon zacznie wciągać powietrze.

- Ja?

- Z waści opowieści wynika, że dałeś słowo nie gadać o tym Wadeilonim.

- A wszak opowiedziałeś...

- Wadeiloni nie żyje, to mnie zwalnia z przysiengi! - ryknął Malon.

- Bzdura - rzucił lekceważąco adwersarz. - Miesiąc temu go widziałem.

- Westchnął, wstał i oparł czubek spoczywającego jeszcze w pochwie,

długiego cienkiego miecza o podłogę tuż obok stopy, nasadę dłoni złożył na

jajowatym zakończeniu rękojeści rzucił cicho, ale dobitnie: - Co do

xameleona też waść łziesz. Nie ma takiego.

Jego towarzysz oderwał wzrok od Malona, w którego leniwie się

dotychczas wpatrywał, rzucił kamratowi pytające spojrzenie, przekrzywszy

głowę w bok i do góry. Zaraz potem odsunął się nieco od stołu, jego wzrok

ominawszy purpurowiejącego żołnierza musnął pozostałych trzech. Wszyscy,

choć byli niepiśmienni, przeczytali w nim wyraźnie: "Nie wtrącajcie się".

Zychur i drugi, który tylko raz się dotąd odezwał, opuścili wzrok, trzeci,

który sprowokował opowieść, zawahał się, ale też odwrócił spojrzenie.

Malon oblizał wyschnięte wargi, potoczył rozbieganym
spojrzeniem dokoła -
kmiotkowie siedzieli na półdupkach gotowi w każdej
chwili salwować się
ucieczką. Z tyłu nie dochodziły żadne napawające otuchą
odgłosy,
zrozumiał, że będzie stawał sam. Przełknął ślinę tak
głośno, że śpiący pod
stołem pies obudził się z najdzieją, a rozczarowawszy się
podszedł do
Malona i bezczelnie obwąchał mu portki. Dopełniło to
czary goryczy
żołnierza: odwrócił się i wymierzył psu z półobrotu
potężnego kopa,
zaprawione jednak psisko zręcznie odskoczyło w bok, a
siła potężnego
zamachu obróciła wojakiem, podcięła mu nogę i cisnęła o
podłogę. Któryś z
miejscowych odważył się zachichotać, dołączył drugi i
reszta. Malon
poderwał się wściekły i splunawszy na podłogę,
pogroziwszy pięścią
najbliższemu wioskowemu wypadł z izby. Natychmiast
pojawił się karczmarz,
przebiegł kłaniając się przed siadającym już mężczyzną i
bormocząc coś pod
nosem dopadł stołu wojów. Uśmiechając się przymilnie
zgarnął wszystkie
kufle, także i te napelnione wystygłym już winem.
- Chciałeś się poruszać? - zapytał towarzysza cicho ten
ze
szlachetnych gości, który się nie odzywał.

- Coś ty, Cadronie, przecież wiesz, że nie uznaję machania mieczem za zabawę. Jeśli jest wyjęty to po to, by zabić. - Zapytany odstawił miecz pod ścianę. Pochylił się i wyjaśnił: - Nie chcę, by rosły i w ogóle krążyły opowieści o xameleonie. To mi utrudnia życie, a z czasem może wręcz uniemożliwić prowadzenie starego zajęcia. Wiesz, nasłuchawszy różnych durnych opowieści, ludziska zaczną się wzdrygać na sam dźwięk tego słowa, albo i zaczną wręcz na mnie polować.

- Przesadzasz.

- Może.

- Nie może, a na pewno, Hondelyku.

- No dobrze - może trochę.

Cadron zachichotał. Przeciągnął się. Odprowadził spojrzeniem wychodzących z karczmy wojów.

- Ale i tak nie wiem dlaczegoś się tak na tego biedaka zawział?

- Bo to nie całkiem tak było, to raz. Po drugie, jego tam nie było. Po

trzecie... - Przerwał i popatrzył z nagłym podziwem na przyjaciela. - No i

omal byś mnie zmusił do przyznania, że chciałem się poćwiczyć z tym

bufonem. - Trącił pięścią ramię współtowarzysza. - Idziemy? - Rzucił na

stół monetę i popukał palcem w drewno blatu. - Gospodarzu, dzban tego samego na górę.

Pierwszy wyszedł z izby, gdzie natychmiast rozgorzał dyskurs.

Uczestnicy zgodni byli, że ów pan, co tak usadził Malona, posiekałby go na

plasterki grubości płatków róży. Natomiast czy opowieść żołnierza miała

prócz uroku męskiej bajdy jakieś walory historyczne - tu zgodności nie

było. Zresztą gospodarz dbał o to, by spór nie wygasał i przynosząc

kolejne garnce cienkusza, brał stronę tej grupy, która aktualnie w sporze

przegrywała. Dzięki temu wieśniacy spierali się wciąż równie gorąco i

musieli chłodzić się gorącym - o dziwo - winem.

- Wstąpię do koni - oznajmił Cadron w sieni. - Nie byłem od przyjazdu.

- A ja - tak. Nie muszę już wyściubiać nosa na ten ziąb.

Już miał powiedzieć, że on też nie musi, ale chce, tyle że Hondelyk

pogwizdując pod nosem odwrócił się i zaczął wskakiwać na schody po dwa

stopnie. Trudno, wzruszył ramionami Cadron i pomaszerował do drzwi.

Bokiem, nie wystawiając się na deszcz przemknął do stajni i zanurkował z

mroczne, ciepłe i pachnące znajomo pomieszczenie. Oba konie spokojnie

drzemały, Pok obudził się pierwszy, ale tylko stęknął na jego widok i

wrócił do przerwane go snu. Gaber przestąpił z nogi na nogę. Cadron

podszedł bliżej i położył rękę na szyi wierzchowca. Drugą położył na

okorowanej żerdzi oddzielającej stanowisko jego konia od snoopów słomy.

Pod ręką wyczuł jakiś zimny kształt, zdziwiony przyjrzał się - wypukła

głowa potężnego hufnala. Odruchowo sprawdził czy od spodu nie wystaje

szpic, ale gwóźdź musiał być ułamany.

Po co kto wbijał taki bretnal? zapytał sam siebie.

Odsunął dłoń od

żelaznej główki. Nieoczekiwanie wstrząsnął nim dreszcz.

Na Kreisa, zawsze

na widok gwoździa będę widział tego biedaka? Zawsze będę czuł ziąb na

plecach? Nawet latem robi mi się zimno... Zatarł dłonie i wsłuchał się w

szmer kropel deszczu i wysoki nierówny gwizd wiatru w jakiejś dziurze.

Świszczy w szparach jak wtedy w szczelinach, w wąwozie...

Było południe, a wydawało się, że zbliża się wieczór, że dzień nie ma

już siły ani ochoty wlec się dalej - takie zimno, takie góry, taki wiatr!

Słońce otuliło się sinymi chmurami i całe ciepło kierowało na ogrzanie

samego siebie; tnący smugami zimna mrok, ośmielony brakiem słońca

najwyraźniej zamierzał zapanować całkowicie nad światem.

Nie był to zimowy dzień, ale z rodzaju takich, kiedy wysunięty

nieopatrznie język wraca do ust w postaci lodowego kołka,
dlatego żaden z
wędrowców nie czynił równie głupich rzeczy. Z wprawą
powodując końmi,
jeden łaciatym ogierem, drugi karym wałachem, otuleni
futrami, w
nieustannie wiejącym w twarze wietrze, stępa przemierzali
górzystą
nieurodzajną, niegościnną krainę.
- Czuję się jak w jakimś kominie - nie wytrzymał jeden
z konnych , na
chwilę odsłoniwszy usta.
Zaraz potem znów zanurzył twarz w puchatym
kołnierzu futra, widoczne
ponad nim oczy wydawały się świadczyć, że żałuje
niepotrzebnie otwartych
ust. Drugi powoli odwrócił głowę, wolno, żeby nie
odsłoniła się zbyt
twarz, poruszył skórą czoła, ale uznał, że nie ma nic
ciekawego do
powiedzenia i zmilczał. Przeciąg tnący w przełęczy
wywiewał z niej całą
roślinność, w zimie pewnie wywiewał śnieg, teraz
wywiewał nawet dźwięk
podkutych kopyt, tylko słabe "tsok - tsok" o kamienie na
drodze dobiegało
do wtulonych w futra uszu. Niemal pionowo ciosane
ściany nagle ukazały
szczelinę, zbawienne pęknięcie jak raz dla dwóch koni i
kilku pieszych,
nie zastanawiali się ani nie naradzali. Ten na wałachu
tylko tknął wodze,

a wierzchowiec, z wdzięcznością skinąwszy łbem
wkroczył w skalny wykrot,

jeździec zeskoczył na ziemię i otrząsnął się. Drugi
wkroczył zaraz za nim,

a jego ogier z niezadowoleniem parsknął widząc, że
wałach jest głębiej
wtulony w niszę.

- Spokój, Pok. - Jeździec poklepał wierzchowca i
zeskoczył również z

siodła. - Poprzednio ty się grzałeś, a on cierpliwie marzył. -
Odwrócił się

do towarzysza. - Wiem, co mi powiesz: że okowitą grzeją
się tylko naiwni

głupcy, ale dziś jestem w ich szeregach.

Drugi na to uśmiechnął się mrużąc oko i zamaszystym
gestem odsłonił

połę futra, pod nią, w drugiej ręce trzymał płaską, ale
nader pojemny

piersiowniczek starannie i umiejętnie opleciony
skórzanymi rzemykami,

potrząsnął nim, rozległo się głębokie chlupnięcie
oznajmijące światu:

"Jest tu trochę tego dobra!". Wyciągnął rękę do
mówiącego.

- Nie mów tylko - powiedział tamten biorąc do ręki
flaszę, w jego

głosie zadrżała nie tłumiona nadzieja - że schowałeś
jeszcze trochę

najprzedniejszego balsamu od tego... No wiesz - płowe
włosy, ciało srogie

i dusza jasna? Od... - Strzelił palcami - ... Olaczka?

- Olaczka - poprawił go drugi. Skinął głową. - Tak, to
jest to.

- Och...

Poczęstowany chwycił naczynie, przytknął usta do odkorkowanej flaszki i

zaciągnął na trzy łyki.

- Cadronie, wiesz, że za wiele rzeczy jestem ci winien wdzięczność,

ale tym razem...

Cadron również wypił trzy łyki. Odchuchnął jak należy.

- Kto by pomyślał - Hondelyk wdzięczy się i łasi i podlizuje za kilka

łyków gorzałki. Och, świecie nasz, świecie nasz!.. - pokiwał głową ze

smutkiem na twarzy.

Wicher nieustannie dmący, napierający jak tępy osioł na odgradzający

go od ogrodu płot, wzmógł się jeszcze oznajmiając to światu syczącym

przeciągłym gwizdem, zrodzonym gdzieś na zębach turni.

Wędrowcy chwilę

oddychali przez szeroko otwarte usta, potem Cadron pociągnął jeszcze kilka

łyków i podał flaszkę Hondelykowi. Kiedy wróciła doń schował ją gdzieś pod

zwiewnym futrem, uśmiechnął się porozumiewawczo i zaczerpnął oddechu chcąc

coś ważnego powiedzieć. W tej samej chwili wichura na króciutką chwilę

zelała, ustał gwizd, ale w tej pozornej ciszy dał się słyszeć inny

dźwięk, bardziej do jęku podobny. Mężczyźni wymienili uważne

porozumiewawcze spojrzenia. Cadron wskazał szybko na siebie, druha i konie

pytająco marszcząc czoło. Hondelyk pokiwał potakująco
głową, obaj
wskoczyli w siodła i skierowali się pod wiatrem. Poły
futer przysiedli,
żeby powiewając nie sprzyjały wiatrowi w wyziębieniu
ciał.

Ujechali kilkanaście kroków, gdy przed ich oczyma
otworzył się widok
na podobną wnękę w skale. Pod jedną ze ścian klęczał
mężczyzna z
dziwacznym drewnianym rusztowaniem na barkach.
Czołem opierał się o
lodowatą skałę, wzdłuż rozkrzyżowanych ramion biegł mu
długi drąg
przenizany dwoma zakrzywionymi hufnalami, których
ostre końce wbijały się
mężczyźnie w plecy. Jego dłonie przybito gwoździami do
końców drąga, a
głowę biedaka zamknięto w klatce z trzech krótszych
żerdzi: dwie rozrywały
mu uszy, trzecia - poprzeczna - miała, jak im się zdawało
zdusić skowyt
torturowanego. Twarz mężczyzny ginęła w cieniu,
pogłębionym przez długie
opadające na pochyloną ku ziemi głowę włosy.
- Ktoś ty i jak ci pomóc? - zapytał głośnie Hondelyk.
Mężczyzna nawet nie drgnął. Po długiej chwili ciszy,
szarpanej przez
przechesujący wszystkie szczeliny potargany wiatr, spod
strzechy
posklejanych krwią włosów dobiegł ich cichy pełen
cierpienia skowyt.

Hondelyk rzucił spojrzenie Cadronowi, pochylili się na
mężczyznę i ujęli
go pod ramiona. Delikatnie podtrzymując drąg udało im
się odchylić
bezwładne ciało od skały dopiero wtedy zobaczyli twarz
nieszczęśnika.
Przez karki obu przebiegł ostry kłujący dreszcz, mimo że
byli ludźmi,
którzy niejedno widzieli i niejednego zaznali. Siny suchy
język ofiary był
wyciągnięty na całą długość i przybity do najkrótszej z
żerdzi. Na czubku,
nad główką ćwieka utworzył się gruby brązowy skrzep z
wąskimi białymi
pasmami, śladami po wyschniętej spływającej kiedyś
ślinie. Twarz mężczyzny
nosiła ślady okrutnego pobicia, właściwie tworzyła jedną
rozległą maskę z
guzów, obrzęków, cięć i skrzepów; jedno oko zostało
wyłupione, ale nie
wyrwane, gałka oczna pomarszczona jak dziwaczna
ciemnożółta śliwka musiała
wisieć na jakichś strzępach mięśni, potem przykleiła się do
strupa na
policzku i tak została. Nos biedaka wbity niemal cały
między policzki,
wystawał ponad ich linię tylko płaski, nieregularny strup.
Poniżej
otwierała się dziura ust, w pierwszej chwili wydawało się,
że człowiek ma
je szeroko otwarte, ale okazało się, że obcięto mu wargi i
pogruchotano

wszystkie zęby, a przynajmniej te, które dało się zobaczyć
w obrzękniętej,

wypełnionej opuchlizną, gruzłami skrzepów i wyschniętej
plwociny jamie

ust. Teraz też, po podniesieniu mężczyzny okazało się, że
od przodu głowna

żerdź miała wbitych kilka długich hufnali, które nie
pozwalają jej pozbyć

się ramy nawet kosztem uszu i języka, ponieważ opierały
się swoimi końcami

na mostku ofiary, właściwie wbiły się już w ciało i
opierały na kości.

- Niech mnie... - wyszeptał Hondelyk. - Dziwne, że
jeszcze biedak

żyje!

Sięgnął do pasa i wyszarpnął sztylet, zaczął gorączkowo
szukać

miejsca, gdzie mógłby albo podważyć gwóźdź, albo
przeciąć którąś z żerdzi,

ale konstrukcja nie miała takich łatwych do pokonania
miejsc - do

porąbania bukowych drągów potrzebna byłaby porządna
siekiera i pniak, a

nie para sztyletów i oparte na ciele rusztowanie. Bezradnie
popatrzywszy

na przyjaciela, nerwowo obmacującego główki hufnali ,
pochylił się tak, by

zadęczony niemal na śmierć człowiek mógł go zobaczyć i
zapytał głośno:

- Kto ci to zrobił, człowieku?!

Cadron zgrzytnął zębami i szybkim ruchem chlasnął
ostrzem po

naciągniętej cienkiej małżowinie usznej, a mężczyzna nie zareagował ani na pytanie Hondelyka, ani na cios Cadrona.

- Po co? - syknął Hondelyk i natychmiast pokręcił głową, jakby sam się sobie dziwiąc i swojemu głupiemu pytaniu.

Nagle mężczyzna poruszył łokciem, z jego potwornie poranionych ust

wyleciał kolejny skowyt, zeskorupiały całun prawej powieki drgnął i

odsłonił żółto - sino - czerwone oko. Było to oko szaleńca, dziko

zamajało się we wszystkie strony, mężczyzna jakby nie widział przed sobą

twarzy Hondelyka. Wychrypiał coś.

- Co on mówi, zrozumiałeś?

Hondelyk pokręcił głową, nie zdążył odpowiedzieć.

Mężczyzna szarpnął

się z całej siły, zaszamotał w uwięzi, ohydnie zgrzytnęły gwoździe

opierające się o mostek i łopatki, obaj podróżnicy jak na komendę puścili

drągi i mężczyznę bojąc się, że podtrzymując go sprawiają jeszcze większy

ból, zaraz jednak zrozumieli - to agonია. Mężczyzna rzucił się z całej

siły, nogi kopnęły powietrze i skałę, zawył i tak mocno przycisnął głowę

do piersi, że udało mu się zerwać język z hufnała. Krótco zachrypiał i

znieruchomiał.

- Nawet nie popłynęła krew - powiedział po chwili Cadron -

Nieszczęsny...

- Co za dzicz?! - warknął Hondelyk. - Kto może być na tyle szalo...

- Dzicz! - chwycił go za ramię przyjaciel. - Czy on nie powiedział:

dzicz?

Hondelyk urwał wprawdzie, szarpnięty przez druha, ale nadal

skamieniały wpatrywał się w ciało i nie zamierzał rozmawiać. Schował

szytlet i wyjął miecz, dwoma gwałtownymi ruchami podważył łączenia drągów,

wyszarpnął hufnal, drugi. Zaniechawszy na razie rozważań Cadron rzucił się

do pomocy i po chwili uwolnili zwłoki od potwornego rusztowania.

- Nie zostawimy go! - warknął Hondelyk.

- A czy ja mówię co innego!? - zachnął się Cadron.

Skoczył do koni z

rezygnacją przestępujących z nogi na nogę na wietrze.

Odwiązał zrolowaną

derę i przyniósł do ciała. Gdy zawinęli zwłoki dodał: - Do mnie, Gaber

jest bardziej wypoczęty.

Ułożyli miękki, miękkością niepodobną do niczego innego rulon na

zadzie wałacha, przymocowali i wskoczyli w siodła. Rzut oka na Hondelyka

pozwoił Cadronowi ocenić, że zagadywanie nie ma na razie sensu. Wskoczył

w siodło i osłoniwszy głowę kapturem pierwszy ruszył na szlak, na krótką

chwil przycisnął łydki do końskiego boku. Przeszli w kłus.
Z tyłu

dobiegały odgłosy kopyt Poka.

- Długo jeszcze?

Nagabnięty Hondelyk oderwał się od ponurych myśli i
najpierw splunął,

a potem zawołał:

- Chyba nie, zaraz powinien się ten wąż skończyć... -

Przerwał,

obejrzał się do tyłu i zobaczywszy coś za plecami druha
wrzasnął: -

Uciekamy!

Cadron nie tracił czasu na odwracanie się, wbił pięty w
końskie boki i

pochylił się do przodu. Gaber posłusznie runął z wichrem
w zawody,

wyprzedził Hondelyka. Gnali tak długą chwilę po
chwiejnej strudze

skalistej drogi i nagle wypadli na równinę. Trzy, może
cztery staggi przed

nimi wznosiły się wysokie kamienne mury, kilkoma
klinami wcinającymi się w

równinę. Gaber sam przyspieszył, ale Cadron na wszelki
wypadek jeszcze raz

trącił go piętami i dopiero teraz, oceniwszy drogę i
uznawszy, że

wierzchowiec poradzi sobie z nią nie gorzej niż on sam,
obejrzał się do

tyłu. O długość końskiego ciała za nim pędził Hondelyk i -
Cadron widział

to wyraźnie - delikatnie powstrzymywał swojego ogiera
przed dzikim

galopem, który wyniosłby go przed Gabera. Za Hondelykiem z wąwozu drogi wyłaniało się kilkudziesięciu jeźdźców okrytych nie wyprawionymi skórami, z krótkim krzywymi szablami w ręku. Wymachiwali nimi jakby chcieli poszatkować przed sobą powietrze i szybciej dogonić ściganych. Ich konie, małe, niskie, z kępami długich włosów na piersiach i bokach wyciągnęły szyje i wyprężone, niemal nie kołysząc się w biegu, przebierały w nogami w tak szalonym rytmie, że pod ich brzuchami nie widać było nóg, a kotłowała się tylko mgła. Połykały przestrzeń szybciej chyba nawet niż ganiący Hondelyka i Cadrona wicher. Ghouranie! Najszybsze konie. Najdziksi, najbardziej szaleni wojownicy, o których bitewnej furii krążą legendy. Kierowany przez Hondelyka Pok przyspieszył trochę i dogonił Cadrona, kiedy łeb konia zrównał się z jeźdźcem Hondelyk krzyknął: - Porzuć ciało! Cadron zmierzył odległość do bramy, zerknął do tyłu. Odebrało mu ochotę na otwieranie ust, ale potrząsnął głową i wrzasnął: - Pędź, niech otworzą bramę! - i dodał w myślach: I niech zrobią to wcześniej niż dzikusy sięgną mnie ze swych łuków!

Główny bastion murów, ten połykający drogę, zawierał również olbrzymią

bramę ze zwodzonym, teraz opuszczonym mostem. Wciąż była zamknięta choć

już nawet z tej odległości było widać, że na murach zaczęły się krzątać

sylwetki strażników. W kilku strzelnicach obramowujących bramę błysnęło

światło, znak, że załoga pośpiesznie obsadza stanowiska.

- Mogą myśleć, że to podstęp! - krzyknął Cadron. - Pokaż im swoją twarz.

Przyjaciel zerknął do tyłu i uznawszy racje Cadrona przynaglił Poka i

pognał do twierdzy. Mieli do niej jeszcze około stagga, akurat tyle czasu,

by utrzymać przewagę i wpaść pod osłonę zbawiennych murów.

Pod warunkiem, rzecz jasna, że brama będzie otwarta.

Kilkanaście kroków przed rozpędzonym Gaberem w kamienisty szlak

uderzyła długa strzała; musiała przewędrować kawałek nieba w poszukiwaniu

celu i musiała być ciężka, bo wbiła się w drogę, mimo że kopyta koni

wybijały na niej wyrazisty kamienisty werbel. Cadron pomyślał przelotnie,

że przed takim pociskiem nie uchroni i zbroja, szczególnie gdy jej się nie

ma. Odruchowo zwarł się w sobie, ale - nie chcąc zakłócać równowagi galopu

- nie przywierał do szyi konia, postarał się upakować ciało w jak

najmniejszy tobołek; oddychał płytko i nie zamierzał już patrzeć do tyłu.

Coś miękko puknęło tuż za jego plecami.

Trafili w ciało tego biedaka, przebiegło mu przez myśl. Łokieć wyżej i

uskrzydliby mnie.

Zgrzytnęło coś przeciągle przed nim i potężna, okuta brama zaczęła

rozwierać się, niechętnie, wahając się, ale jednak. Z tyłu dobiegł

uciekierów długi wibrujący wrzask kilkudziesięciu ścigających. Gaber

uznał, że nie ma co oszczędzać sił na inne czasy, zachrypiał i

niespodziewanie przyspieszył jeszcze. Draniu, nie dajesz z siebie w byle

ucieczce wszystkiego, rozczulił się Cadron. Hondelyk przed nim zwolnił i

długo patrzył do tyłu - oceniał jego szanse, machnął uspokajająco i

krzyknął coś do obsady murów. Po chwili zręby najeżyły się kilkudziesięciu

strzałami, które wnet pomknęły nad głowami przyjaciół gdzieś za ich plecy.

Brama otworzyła się na tyle, by jeździec nie zsiadając z konia mógł

wjechać przez nią, z tyłu, tuż za plecami Cadrona znowu rozległ się dźwięk

identyczny jak poprzednio i znowu uciekający nie zawracał sobie głowy

odwracaniem się i sprawdzaniem jego źródła. Druga fala strzał poleciała na

ścigających, a uciekający wpadli na most i zaczęli ściągać wodze. Kopyta
koni krótko i głucho zadudniły na moście i zaraz potem wykrzesaly echo ze
ścian barbakanu i zaraz otoczyły ich lepiej i gorzej uzbrojone i różnie
opancerzone sylwetki. Konie, jak na komendę, jednocześnie zachrypiały, Pok
groźnie wyciągnął pysk w kierunku najbliższego żołnierza. Jeźdźcy
zeskoczyli i zerknawszy za siebie, na zamkniętą już z powrotem bramę
odetchnęli. Hondelyk wskazał coś za plecami przyjaciela - w ciebie
nieszczęśnika tkwiły dwie długie z podwójnymi lotkami strzały.
- Dziękujemy - powiedział Hondelyk. Rozejrzał się w poszukiwaniu
dowódcy, nikt nie wysuwał się na czoło załogi, ponure zaciekawione twarze
wpatrzzone były w wydłużony toból na grzbiecie Poka. - Spotkaliśmy tego
nieszczęśnika kilka chwil temu, zakatowali go na śmierć, zmarł na naszych
rękach zdążywszy tylko wychrypieć coś, co dopiero niedawno zrozumiałem:
"Ghouranie".
Jeden z wojaków, sumiastowąsy, z pasmem siwizny od czoła na lewe ucho
zdecydował się w końcu, zrobił krok do przodu i skinął na jeszcze jednego,
razem zdjęli ciało, przenieśli kilka kroków w bok i ułożyli na drewnianym

podeście obok konowiazu. Odwinęli derkę i - jak na komendę - pokiwali

głowami. Ten odważniejszy plasnął dłonią o udo.

- To Aefan - oznajmił. Odpowiedziało mu milczenie przerwane jednym

cmoknięciem, które miało być jedynym słowem mowy pogrzebowej po umęczonym

Aefanie. - To nasz goniec - wyjaśnił żołnierz.

- Tak przypuszczałem - skinął głową Hondelyk. - Wiedzieliście, że są

tu?

Żołnierz otworzył usta, ale z tyłu i z góry rozległ się głośny gwizd i

potem krzyk:

- Co tam, Raku? Może byś gości do mnie jednak kiedy sprowadził?

- Dyc prowadzę! - i do gości z westchnieniem: - Chodźmy jednakże,

obrazi się, żeby go w cholewę poszczypało!

Wskazał drogę i ruszył pierwszy, Pok zarżał, Hondelyk musiał zatrzymać

się przy nim i poklepać go po szyi. Powiedział coś cicho i dogonił

Cadrona. Weszli po przylegających do murów schodach na kamienny balkon.

Rak doprowadził ich do jakiegoś człowieka wychylonego niebezpiecznie na

zewnątrz. Słyszac chrząknięcie przewodnika człowiek majtnął nogami i

wrócił szczęśliwie całym ciałem do twierdzy. Miał szeroką twarz z blizną

na czole, która odsunęła włosy daleko na tył głowy, lewy policzek i brodę

pstrzyły mu drobne sinawe cętki, zapewne ślad jakiegoś wybuchu albo

oparzenia. Zmrużonymi oczami ocenił gości, weryfikacja przebiegła dla nich

pomyślnie, bo zasalutował i wyraźnie powiedział:

- Witamy w twierdzy Strzebrzyca. Asanseel Tugryba, do usług

waszmościom. Asanseelem mnie ustanowił Dominion Wabatul i jemu przede

wszystkim służymy, choć... - urwał nagle i popatrzył ponad głowami gości

gdzieś w kierunku rzeki. - To był most o wielkim znaczeniu dla co najmniej

czterech prowincji. - Westchnął przeciągle. - Ale co teraz... - machnął

ręką.

"Witamy" mówi jakby "wijitami", pomyślał Hondelyk. Będzie mówił "chiży

koń", "chitrus" i tak dalej, na pewno pochodzi z wyspy Vldrk. Asanseel

tymczasem zerknął przez ramię na przedmurze. Hondelyk zrobił krok i

popatrzył również. Ostatni jeźdźcy Ghouranie znikali w gardzieli wąwozu, z

którego tak gwałtownie w pogoni za zdobyczą wypadli. Cadron, który

przesunął się również, posłał im w plecy kilka długich bezgłośnych klątw.

Ciało jednego ustrzelonego przez obsadę twierdzy zostało na drodze, jego

koń doganiał oddział.

- Nie mamy tu wymyślnych frykasów, ale też to i tak jedyne w okolicy

miejsce, gdzie możecie waszmoście zjeść, a nie być zjedzonymi - uśmiechnął się z przymusem Tugryba. - I gdzie się rozmawia, a nie wymusza zeznania.

Nagle przypomniał sobie coś, odwrócił się do Raka i zapytał:

- Czy to był Aefan?

- Tak.

- No to mamy komplet - rzucił z goryczą.

- Wszyscy gońcy, jak rozumiem? - zapytał Cadron.

- Tak. Zostały nam tylko skrzynki - powiedział tajemniczo Tugryba i

nie zauważając zmarszczonych czoł gości ruszył ku schodom. - Raku,

będziemy z gośćmi na kwaterze, wprowadzę ich w sytuację, bo nie sądzę by

chcieli szybko nas opuścić. Zmiana wart jak zwykle. Przy służbie - sprawdź

osobiście. - Prawą rękę dwornie przyłożył do piersi, a lewą wskazał

schody: - Zapraszam panów... - przerwał i wrócił do podwładnego: - A! Nie,

sam sprawdzę służbę, ale potem. - I znów do gości: - Proszę.

Zeszli w dół i powędrowali wzdłuż murów, nadzwyczaj wysokich i

budzących zaufanie. Cała twierdza sprawiała dość dziwne wrażenie - przez

jej środek prowadziła szeroka wygodna bita droga, wzdłuż której ustawiły

się niemal jednakowe kłocę budynków o - najwyraźniej - podobnym

przeznaczeniu, za budynkami znajdowały się duże długie magazyny i spichlerze, potem, co widać było w kilku lukach między murami, ciągnęły się obszerne puste place i zaczynały się budowle koszarowe, wtulone w mury z blankami. Z koszarowych dachów - jak zauważył Hondelyk - wychodziły schody, co na pewno skracało czas wychodzenia załogi na mury. Tugryba prowadził nie odzywając się, najwidoczniej oczekując, że goście albo wiedzą o twierdzy co wiedzieć powinni albo sami dojdą do jakichś wniosków.

- Powiedziałeś, asanseelu, że był tu most? - zapytał Hondelyk podkreślając słowo "był". Nagabnięty zerknął spod oka, milczał chwilę.

- Nie wiedzieliście, którądy zdążacie? - W jego głosie zabrzmiała wyraźna uraza, jakby brał w obronę swoją twierdzę.

- Mniej więcej - tak, ale szlak wskazał nam ktoś, kto, jak się teraz domyślam, musiał dość dawno temu przemierzać tę drogę.

- Nie tak dawno - powiedział z żalem przewodnik. - Tu was zakwaterujemy - wskazał ręką jeden z szeregu budynków.

- Wasze konie powinny już być w stajni naprzeciw...

Trącił drzwi i wszedł pierwszy do izby. Zastali w niej jednego z

pachołków układającego właśnie na drugiej pryczy wojskowy komplet derek.

Sakwy złożył porządnie w kącie na ławie, na stole stały dwa kaganki i

butla z olejem. Pomieszczenie nie miało okien tylko pionowe wąskie

okratowane szpary w dwu ścianach. Pacholek na widok Tugryby wyprężył się.

- Przynieś nam dzbanek wina - polecił asanseel, nie zauważył, że

pacholek otworzył usta, ale nie odważył się odezwać i pośpieszył wykonać

polecenie. - Siadajcie panowie. - Usiadł pierwszy i przestawił kaganki

tak, że stały rozdzielone teraz butlą. Popatrzył na Cadrona, potem na

Hondelyka. - Tu stał most, jedyny w promieniu osiemnastu dni drogi,

wygodny, choć rozbierany na kilka tygodni co jesień i co wiosnę. Cztery

lata temu Ghouranie pierwszy raz najechali nas i spalili osadę, co się

wokół murów rozrosła. Wiadomo: gęsto uczęszczany szlak... Musiały powstać,

raz: karczmy, noclegownie i, ma się rozumieć, jebitnie; dwa: masarnie,

piekarnie i tkalnie. Rzecz jasna - również gildie kupieckie, choć te

najbogatsze miały siedziby tu, wewnątrz murów - zatoczył ręką koło. -

Spalili osadę, ludzi wyrzli... - spowolnił tok mowy wróciwszy myślą do

tamtych dni. - Potem, tego samego roku, jesienią,
niespodziewany przybór
rozwalił most, zanim go rozebraliśmy sami. Odzyskaliśmy
bardzo małą część
drewna, a tu drewna, w tej skalistej okolicy, nie ma. Przez
całą zimę
sprowadzaliśmy bale i przygotowywaliśmy się do budowy.
Przyszła wiosna,
sucha, woda niska, odczekaliś... Czego? - krzyknął
niezadowolony z pukania
do drzwi.
Pachołek wsunął do izby głowę, a potem pokazał
zapięczętowaną lakiem
butlę i trzy kubki.
- A... Postaw i goń do stajni, do koni panów! - Pachołek
szybko
wykonał oba polecenia i wybiegł z izby, Hondelyk
przestawił kaganki. -
Zbudowaliśmy most lecz kilka dni później nieznany na tej
rzece drugi
przybór rozwalił go. Dominion znowu, choć już bardzo
niechętnie, wydzielił
załogę do wożenia drewna. Przez cały czas żołnierze
musieli pilnować
ładunku i swego życia, rzecz jasna, bo bez przerwy byli
nękani przez tych
małych ohydnych dzikusów. Do jesieni cieśle zbudowali
most, tak na
przymiarce, tu na głównej ulicy, rozebrali go i czekaliśmy
na jesienny
przybór. Znowu był niemrawy, najniższy od kilkunastu lat,
ale już nie

byliśmy tacy głupi. Czekaliśmy. Czekaliśmy i czekali. -
Chwycił butlę i
zreźnie uderzywszy dnem o udo wytrącił korek wraz z
lakiem z gardziołka,
nalał do kubków i wzniósł niemy toast. - Poczekaliśmy
jeszcze trochę, ale
zaczęli się już kupcy burzyć, że towary gniją, że ceny, że
pogoda...
Postawilim most. - Pokiwał z żalem głową. - Cztery dni
później, cztery dni
ino stał - pierdut! Przyszła taka woda, że najstarsi z
najstarszych nie
pamiętają i zważyło most. - Zapatrzył się w podłogę, jakby
właśnie tam
widział te sceny wszystkie. - Zważyło i już się nie
postawiło. Bo
zwiadowcy dominiona odkryli, że to to tałajstwo
budowało tamy na rzece,
gromadziło wodę i jak już most stał - puszczało wodę. Ot i
całej historii
koniec. Nie ma mostu, nie ma ludzi, handlu, szlaku... -
Przepił do gości.
- Jest twierdza i Ghouranie. Ale niedługo nie będzie się
opłacało
utrzymywać tu garnizonu, bo czego ma niby pilnować -
placu przed murami?!
- zakończył z goryczą.
- Rzeki wplaw czy w bród się przejść nie da?
Pytanie Cadrona wyrwało go z posepnej zadumy,
dziobaty policzek drgnął
i trochę się skurczył, przez co na usta wypłynął ironiczny
półuśmieszek.

- Co jakiś czas wrzucamy do rzeki "skrzynki" - klocki bukowe z

wywierconymi otworami, w które wkładamy meldunki i zabijamy na głucho

szpuntami. Jak wrzucamy do rzeki dziesięć kłocy, to jeden, rzadko dwa

dopłyną do następnego garnizonu, resztę woda i skały przemielą na trociny.

- A na drugim brzegu? - nie ustawał Cadron.

- Tam była tylko mała osada, kto się przeprawił w te pędy walił dalej,

bo już tu się naczekał na swoją kolej i śpieszył towary przed innymi

dostarczyć. Mieli przed sobą osiem - dziesięć dni przez dzikie jałowe

pustkowie, a we w drugą stronę handlu prawie nie było, bo co do dzikich

wozić? Chiba że białe kobiety...

- Czyli tu czekacie na lepsze czasy?

- No, czekamy. Co mamy robić? Dopóki dzicy mają na most zęb albo

dopóki ich się nie przegoni, a najlepiej nie wytrzebi to tu nic się nie

zmieni. - Sapnął dwa razy, głośno przełknął ślinę. - Zapomniana twierdza.

- A dominion? - wtrącił się Hondelyk.

- Co dominion?.. - z goryczą powtórzył Tugryba. - Jemu kupcy i tak

dostarczą co trza. A to, że towary są za drogie dla innych, to nie jego

zmartwienie, prawda? O nas już zapomniął, ani spyży nie przysyła, ani

broni, już o ludziach nie wspomnę. Do garmatek wiecie ile mamy prochu? -

wykrzyknął. - Na cztery strzały, jeśli ze starości nie skisł któryś z ładunków. Trzymam na ostatnią bitwę. - Zasapał wściekle. - Żadnej armii

przeciw dzikim nie wyśle, bo oni mu zawsze umkną bitwy walnej nie wydając,

a pojedynczych oddziałków wybić się nie da, zawsze jakiś będzie nękał.

Chodzą przy tym słuchi, że tam się jakiś wódz objawił, co ich jednoczy na

wojnę z nami, ale to wszystko nie potwierdzone, więc wszyscy czekają...

Ponownie ktoś zapukał do drzwi, Tugryba poderwał głowę i zaczerpnął

powietrza, by rykiem zmusić do odwrotu natręta, ale drzwi otworzyły się i

wpadł Rak z bladą twarzą i wytrzeszczonymi oczami.

- Z murów... - zająknął się. - Z murów... Bogowie... Cała armia!

- Co? - Asanseel poderwał się i trąciwszy stół - dwa kubki podskoczyły

i wyróciły się - runął do drzwi. - Nasza?

- Nie! - wrzasnął dziesiętnik wybiegając za nim. Kiedy Cadron z

Hondelykiem wypadli na ulicę Tugryba machając na boki rękoma po dwa

stopnie pokonywał schody na mury. - Dzicy! Ćma ich... Całe mrowie i

jeszcze trocha! - krzyczał mu w plecy Rak usiłując nie odstawać od

dowódcy. - Od czoła!..

Cadron posłał znaczące spojrzenie Hondelykowi, nie musiał nic mówić.

Znaleźli się w pułapce, w twierdzy z wyjściem na dzikiego okrutnego wroga.

- Z tego mi wynika, że musimy mocno się przyłożyć, żeby uratować swoje

cenne życie - powiedział Hondelyk zadzierając głowę i przyglądając się

otaczającym murom. - To właściwie oznacza, że musimy uratować twierdzę.

Zerknął na przyjaciela, jakby chciał sprawdzić czy podziela jego

zdanie. Podzielał. Skinął głową.

- Jak to mawiał mój stryj: w kabałanie my popadli, a czart karty

rozdaje!

- Co to jest kabałania? - zapytał Hondelyk roztargnionym spojrzeniem

wodząc po blankach.

- A nie wiem i nigdy nie wiedziałem. - Cadron wzruszył ramionami. -

Chodźmy może na mury?

Ruszył pierwszy, pokonał schody słuchając narastającego z każdym

krokiem jazgotu z równiny. Na murowanym parapecie wicher wył i ciął

setkami biczy, ale za to widać stąd było znakomicie, co dzieje się na

skalnej równi przed twierdzą. Działo się wszędzie to samo - mrowie

kudłatych koników usiłujących ugryźć najbliższego współplemieńca.

Na konikach siedzieli powizgujący i pojękujący na całe gardło Ghouranie.

Potrząsali łukami i szablami.

- Żeby się tak nawzajem powyrzynali! - warknął Cadron słysząc kroki

Hondelyka i kątem oka widząc sylwetkę przyjaciela obok siebie. - Żeby im

smród nogi powykręcał, a gównu nie chciało dupy opuścić! Żeby nasienie ich

śmierdziało bardziej niż utopiony w gnojówce cap, a każde zbliżenie z

kobietami żeby przyplacali wypadnięciem wszystkich zębów, włosów i

paznokci! - Odwrócił się do Hondelyka i przez zęby wycedził: - Taki

koniec??? Tu? Otoczeni przez dzikusów?

- No właśnie. Musimy im pokrzyżować plany...

Wpatrywali się długą chwilę w mrowie dziczy pod murami.

- Patrz! Kobiety!? Czy ja dobrze widzę? - zapytał Cadron wyciągając

szyję w kierunku zawodzącej radośnie hordy. - Łuczniczki!

- Tobie to zawsze tylko baby w głowie. - Hondelyk przysunął się i

zmrzył oczy.

Jego dowcip skwitowało machnięcie ręki, chwilę milczeli potem Cadron

wskazał zgrupowanie wyższych nieco koni i ich jeźdźców wymachujących

jednakowymi chorągwiami z błyszczącymi kulami na końcu drzewc. W środku

tej grupki siedział na siwym koniu nieruchomy jak głaz wojownik. Z tej odległości niewiele więcej było widać, a było by jeszcze mniej, gdyby nie umaszczenie jego rumaka, białe ubranie samego jeźdźca i wysoka biała czapa.

- Musi wódz - powiedział Cadron. - Żeby go... - zmełł w ustach kolejne przekleństwo.

- Na pewno - zgodził się Hondelyk. Zmrużył oczy i długo wpatrywał się w białą sylwetkę. - To on, ten, znaczy, który jednoczy dzikich i sprawia,

że są niebezpieczniejsi niż kiedykolwiek. - Podrapał się czubkiem palca w bok nosa, Cadron wiedział, że oznacza to najgłębszy namysł. - Ciekawe jak

go zwą - westchnął i wrócił do rzeczywistości. - Ale języka chyba nie weźmiemy.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion. Cadron ruszył wzdłuż muru co kilka

kroków przystając i zerkając z blank na oblegających twierdzą. Po

kilkunastu krokach trafił na pierwszego żołnierza, który posłał mu

znaczące spojrzenie: "Kiepsko, bracie, z nami, co?".

Odpowiedział mu

mocnym spojrzeniem, minął i poszedł dalej. Im bliżej było czołowego

bastionu tym więcej spotykał żołnierzy, czasem musiał przeciskać się

bokiem między beką z zastygłą smołą, brunatnym olejem, skrzyniami wypełnionymi głazami i stojakami na byle jakie oszczepy i setki strzał.

Doszedłszy do baszty flankującej most spotkał asanseela.

- A most? Dlaczego nie podniesiony?

Odpowiedź ułożona była w kunsztowną wiązkę, przy której Cadron

zarumienił się wspomniawszy swoje, jakże teraz widocznie nieudolne, pasmo

przekleństw. Na końcu Tugryba wyrzucił z siebie:

- ... i któryś siedem nocy temu zaklinał łańcuchy!

Żeby to naprawić

trzeba by mieć kilka spokojnych dni, a nie mieliśmy ani jednego!

- Acha...

- To mnie, zresztą, nie męczy - kontynuował Tugryba. -

Nie ma w

okolicy drzew na porządne tarany, a jeśli nawet przywieźli ze sobą, to

ile? Dwa, trzy? Tyle zniszczymy kłapaczkami.

Wskazał na ułożone przed szczeliną w murze dziwaczne żelastwa: każde

składało się z kilku grubych żelaznych bali połączonych kilkoma ogniwami

grubych łańcuchów.

- Kłapaczki? - zainteresował się Hondelyk.

- Ta. To się zrzuca na taranierów. Kłapaczka łamie taran, a w

najlepszym dla nich przypadku wbija go w ziemię i mają trochi zabawy z

wygrzebaniem. Przy okazji ginie kilku noszowych i tak dalej. Poza tym mamy

też zwykłe kamulce. - Pociągnął nosem. - To nam nie straszne...

Zawiesił głos, wyraźnie mógł coś jeszcze powiedzieć, coś o tym, co jest straszne, ale obrzucił ponurym spojrzeniem stojących w pobliżu

żołnierzy i przeżuł koniec zdania. Cadron postanowił zapamiętać ten moment

i wrócić do niego przy najbliższej okazji.

- Na szczęście nie wiedzą o śluzach przy rzece - zachichotał nagle

asanseel. - Zaraz pójde ją otworzyć, wtedy woda z koryta omyje mury i

zaden się nie przedostanie. Wyjce jedne...

Zaciśniętą w kułak dłonią pogroził wciąż wyjącem przeciągle Ghouranie.

- Będą tak zawodzili długo, jeśli nie ciągle, oni tak, słyszałem,

usiłują zadreńczyć załogę - poinformował go Cadron myśląc o czymś innym. -

Mówisz waść, że można w każdej chwili otworzyć śluzę i rzeka popłynie pod murami?

- Niecała, ale tak - przytaknął Tugryba

- No to może nie puszczać jeszcze? - zaproponował nieśmiało, nie chcąc

obrazić dowódcy. - Dopiero by było dobrze, gdyby nawłaziło ich tam

trochę... - podsunął chytrze.

- A? - Asanseel przekrzywił głowę i zerknął spod zmarszczonych brwi na

Cadrona. - Masz waść rację, jak... - powstrzymał się od przekleństw - ...

nie wiem co! - zakończył niezręcznie.

- Złośliwy jest, ale tym razem skrupiło się na dzikich - stanąwszy za

plecami przyjaciela wtrącił się do rozmowy Hondelyk. - Czy tak duże watahy

pojawiają się stale? - zmienił temat.

- Nie, skądżeby?! To chyba całe ichnie plemię! - Nagle zrozumiał do

czego pije Hondelyk. - Żeby ich tak teraz ucapić, nie? Od wąwozu, od drogi

zaspuntować częstokołem, piechotą i łucznikami, a tu - wiadomo, drogi też

nie ma. - Rozpaliły mu się iskierki w oczach. - Ech!..

Kilka kiwnięć głowy Hondelyka potwierdziło jego myśl. Cadron mruknął

coś nie otwierając ust. Dowódca twierdzy z żalem oderwał spojrzenie od

przenikliwie kwilących oblegających.

- Każę wysłać kilkadziesiąt kłód z meldunkiem, abo - przez cały czas

będę słał, drewna wystarczy.

Zrobił krok w kierunku schodów.

- A w tej osadzie - po drugiej stronie - zatrzymało go pytanie Cadrona

- nie ma nikogo, komu można by przekazać wiadomość?

- Toż płaskowyż omiatany wichrem i palony słońcem, bez potrzeby nikt

tam nie usiedzi, a bez mostu potrzeby nie ma.

Machnął ręką oddając odruchowo honory gościom i skierował się ku

schodom, Hondelyk ruszył dokoła twierdzy, Cadron szedł
za nim niemal nie
tracąc z oczu dzikich, ich biały wódz wciąż siedział
nieruchomo na siwku,
z tyłu krzątało się kilkunastu ludzi najwyraźniej stawiając
schronienie
dla swojego wodza, pozostali podzielili się na tych, co
nadal siedzieli i
wyli do twierdzy i tych, co zajęli się rozpalaniem
małych ognisk i - w
kilku miejscach - tańcami w kole. Do jednego z ognisk
wpadła osłona, która
miała osłaniać wąły ogienek od przenikliwego wiatru,
zajęła się żywym
radosnym ogniem, spowodowała krótki wybuch złości
pobliskich koników, ale
nic poza tym. Idący przodem Hondelyk wskazał palcem na
kilkudziesięciu
Ghouranie wspinających się na strome zbocza, chyba mieli
pełnić rolę
obserwatorów, może nękających łuczników. Ktoś poza
nim dojrzał wspinaczy,
bo kilka chwil później poszybowała w ich kierunku ławica
strzał z
potężnych nożnych łuków i kilka ciał sturlało się w dół.
Obrońcy przyjęli
to z radością, czemu dali głośny wyraz, obleźnicy nasilili
wycie, kilku
odważyło się podejść bliżej i wystrzelić kilka strzał w
mury
Strzebrzycy. Salwa wyzwisk skwitowała ich wysiłki, ale
widocznie Tugryba

zakazał marnowania strzał, bo już nikt nie próbował
ściągnąć dzikich z
siodła.

- Chodźmy do koni - zaproponował nagle Hondelyk
przystając przy innych
schodach.

Nie czekając na zgodę druha zaczął zbiegać po
trzeszczących,

kołyszących się nieprzyjemnie i nawet czasem
pokwikujących wyschniętymi

wiązadłami stopniach. Idący za nim Cadron musiał
przesunąć się bliżej muru

i nawet muskać go lewą ręką gotów do utrzymania
równowagi na kołyszącym
się trakcie.

- Masz jakieś przeczucia? - zapytał Cadron korzystając,
że na dole

było mało żołnierzy - część pełniła służbę na murach,
część - odpoczywała

i zbierała siły do swoich wart, wojenna normalizna. - Co
się może stać
koniom?

Hondelyk nie odpowiedział, odpowiedź nasunęła się
sama, a Cadron nie

marnował czasu i śliny na jej wygłaszanie. Szybko dotarli
do stajen w

pobliżu kwatery, wdarli do wnętrza, uspokoił ich widok
obu rumaków

spokojnie chrzęszczących sianem. Bez umawiania się
zabrali do ich

starannego czyszczenia, zarzucili na głowy worki z
kilkoma garściami

własnej owszy, której najwyraźniej brakowało już dla miejscowych wierzchowców. Rzuciwszy znaczące zaniepokojone spojrzenie na przyjaciela i odebrawszy niemal identyczne Cadron rzucił szczotkę i zgrzebło, obszedł całą stajnię, by sprawdzić czy nie ma w niej ludzi i wrócił do Hondelyka.

- Posłuchaj, nigdy cię nie rozpytywałem o twoje zdolności, przecież wiesz... Przyjąłem, że potrafisz tworzyć z własnego ciała lustrzane odbicia innych ludzi, i dobra. - Hondelyk poważnie skinął głową. - Ale

teraz, kiedy już chodzi nie tylko... - nie dokończył, tylko poklepał

Gabera po grzbiecie. - Czy nie mógłbyś, na przykład... - ściszył głos

przechodząc niemal do szeptu - ... odlecieć stąd jako ptak? Rozumiesz -

powiadomić dominiona o zgrupowaniu dzi... - urwał widząc przeczące ruchy głowy druha. - Nie?

- Nie, niestety, przyjacielu - Hondelyk westchnął przeciągle. - Ja...

Hm? Nie mogę w jakiś cudowny sposób zgubić gdzieś całej swojej masy,

najłatwiej mi jest przybrać postać kogoś o moim wzroście i wadze. To tak,

jakbyś z tego samego kawałka gliny zrobił talerz, a potem go zmiął i od

nowa zrobił miskę, rozumiesz? A co innego byłoby z dużej makutry zrobić

kubeczek czy odwrotnie. - Chwycił się ramionami za łokcie jakby chwyciły

go dreszcze. - Nigdy nie próbowałem zwierzęcia, mam pewność, że nie

mógłbym wrócić do swego ciała...

- Tak. - Cadron zawahał się. - Skoro już jesteśmy przy tym - nie

mówiłem ci nigdy, ale gdyś leżał w malignie, pamiętasz, bagienka febra?

No, to wtedy gadałeś coś o jakimś dzieciaku, jakimś dziwnym i strasznym

spotkaniu, po którym, tak mi wyszło, ten chłopiec nabrał wiedzy jak

zmieniać swoje ciało...

Czuje i chyba nieco wystraszone spojrzenie przyjaciela wwiercało mu

się w duszę. Hondelyk milczał długą chwilę zanim powiedział cicho:.

- To... To jakaś część prawdy, ale nie będziemy o tym tu i teraz

rozmawiali, jedno tylko wyjaśnię - zabrano mi ogromny kawałek mojego

dzieciństwa, dali w zamian umiejętność, dzięki której nie jestem żebrzącym

kaleką, dzięki której w ogóle żyję, ale to zamiana iście diabelska! Mogę

chodzić, biegać, skakać, bić się, ale uszczknęli mi kawał ducha i

sumienia, i do końca życia nie będę wiedział ile ktoś inny zapłacił za tę

moją wolność. - Odsapnął. - Już mi się zdarzało w jakichś dziwnych

okolicznościach, że słyszałem myśli innych ludzi. Może nie tyle myśli, co ich krzyk - gdy umierali czy byli torturowani... Z tego co mówisz wynika, że i moja maligna była słyszana...

- Przestań, bracie - poprosił Cadron. - Nie nagabywałem cię w ogóle gdyby nie sytuacja, ja nie mogę nic zrobić, a wolałbym się rzucić z murów na pysk, niż pozwolić zjeść Gabera! - wyrzucił z siebie przez zęby.

- Wiem.

W ciszy Pok podrzucił kilka razy głową sygnalizując, że na dnie nie zostało już ziaren. Hondelyk zdjął worek, pogłaskał wierzchowca po szyi.

- Na razie masz tyle - powiedział usprawiedliwiającym tonem i

wierzchowiec jakby pojął to, parsknął cicho i wrócił do żucia siecarki.

Jego pan przejechał dłonią po grzbiecie rumaka. - Coś wymyślimy -

powiedział do Cadrona. - Ale do twojego pomysłu potrzebna jest prawdziwa

magiczna moc. - Roześmiał się niewesoło: - A ja nie potrafię jak w bajkach

dla dzieci przemieniać się w ptaka, smoka, rybę i człowieka.

- Przepraszam, ale udawałeś Malepis? Wszak to dziewczyna, młoda, szczupła?..

- Młoda, to nie problem, to tylko gładka skóra, ale szczupła? Nie była

taka wiotka, potem, rzecz jasna. To znaczy ja nie byłam
taka wiotka, ale

nikt nie zauważył, że przybyło jej w każdym miejscu, bo
nikomu nie

przyszło to do głowy. Najczęściej ludzie widzą to, czego
się spodziewają,
co chcą zobaczyć.

Zapadła cisza. Przyjaciele równocześnie poruszyli się,
obaj skwitowali

uśmiechami zgodność myśli, podeszli od swoich
wierzchowców i dokonali

sumiennych przeglądów, jakby chcąc wynagrodzić
koniom skąpy obrok. Potem

nie zostało nim nic innego jak wyjść ze stajni.

Na zewnątrz poczekali aż przeturla się obok nich wózek
ciągnięty przez

dwóch nachmurzonych wojaków, jeden z nich obrzucił
ponurym spojrzeniem

najpierw obu mężczyzn, a potem drzwi do stajni, coś
burknął do kolegi z

zaprzęgu. Na wózku piętrzył się stos równych bukowych
kłód.

- Mamy ostatnie w okolicy żywe konie - mruknął do
Hondelyka Cadron. -

Przeprowadzam się do stajni - oznajmił stanowczo.

- Wystarczy słowo asanseela - bąknął przyjaciel, ale bez
specjalnego

przekonania.

- To śpij ze słowem, a ja z koniem - zaproponował
Cadron.

Odczekał chwilę, a nie doczekawszy się protestu ruszył
pierwszy w

kierunku najbliższych schodów na mury. Gdy przystanąli przy najbliższym

krenelażu, zobaczyli, że na równinie przed twierdzą niewiele się zmieniło

- połowa Ghouranie siedziała nadal w siodłach i wyła przenikliwie, druga

część posilała, nikt już nie tańczył i nie widać było wodza, ani jego

siwego wierzchowca.

- Osobliwie wojują - mruknął Cadron. - Jak na razie poza pogonią za

nami to tylko wyją, żeby nie dać spać, a inna część zre na naszych oczach,

żeby nam ducha osłabić, czy jak?

- A gdzie mają jeść? Jeśli zdobędą Strzebrzycę i my przyjdziemy ją

odbijać, to my będziemy jedli im na złość, a oni będą się wpatrywali

łakomie w konia wodza.

- A właśnie że nie - pokręcił głową. - Im nawet nie przyjdzie do głowy

taka myśl, dla dzikich święte jest święte bez względu na okoliczności i

własną wygodę. To my lubimy targować się z bogami, kiedy nas coś przyprze.

Założę się, że zjedlibyśmy bez większych skrupułów wierzchowca

poświęconego jakiemuś bóstwu, o najwspanialszych wierzchowcach ze stajni

dominiona nie wspominając. - Wyciągnął palec i postukał nim w pierś

Hondelyka. - Jak się zwała ta świątynia, gdzie składali kozy, ta... -

Pomachał ręką ponagłając pamięć, by szybciej podsunęła mu odpowiednią nazwę.

- No, nieważne, wiem o czym mówisz!..

- Pamiętasz zatem, że mówiło się o ofierze z kóz, ale składało same

trzewia, kopyta i łby? Jakoś nigdy nie mogłem zrozumieć, że jest bóstwo,

które potrzebuje kozich flaków i rogów z kopytami do czegoś tam!

- Koźlinę zjadali mnisi i ubodzy.

- A widzisz? - ucieszył się Cadron. - O tym właśnie mówię - o

targowaniu się: "Składamy ci kozy, ale sami je zjemy!".

Zaś ci tam -

wskazał ręką za mury - umrą z głodu, a konia nie ruszą. -

Pomarkotniał

nagle. - Ja też!

- Jadłem kiedyś... - Nagle Hondelyk chwycił się za brzuch. - Oj, aż mi

zaburczało. Może mają jeszcze coś do jedzenia zanim zaczniemy żuć

korzonki? Chodźmy na dół, wprosimy się na wieczerzę do jakiegoś oddziału.

Okazało się, że szuka ich Rak, a właściwie znalazł, ale widząc, że

schodzą na dół nie tracił sił na wspinaczkę, czekał na dole przyjaźnie

uśmiechnięty.

- Asanseel nasz kazał zaprosić waszmościów na wieczerzę, skromną... -

Westchnął i odruchowo pomacał się po brzuchu, nawet zerknął w dół: ile

dziurek w pasie trzeba będzie dorobić? - ...ale innych tu nie ma. Magazyny

puste, trochę obroku dla koni, dla tego tuzina wystarczy. Trochę tabaki,

co to została po ostatnim kupcu, jaki się przez most przeprawiał, gdy woda

go zmyła. - Markotnie popatrzył na przyjaciół. - I tyle.

Zerknął w górę najwyraźniej polecając się opiece któregoś z bogów. Nic

się jednak nie wydarzyło więc odchrząknawszy z rezygnacją wskazał drogę,

ulołował się przy boku Cadrona i ruszyli razem w kierunku bastionu

czołowego. Przy fundamencie jego muru usadowił się solidny budynek, z

którego część drzwi wychodziła na bramę i który pewnie w dobrych czasach

pełnił rolę komory, w której pobierano myto, druga część, ozdobiona

konowiazami i kratami w oknach musiała być siedzibą warty i małym

podręcznym aresztandaumem dla opornych czy niebezpiecznych podróżnych.

Teraz, sądząc po siedzącym na konowiazie asanseelu, łuskającym słonecznik

i popluwającym regularnie i ze złością we wszystkie strony, mieściła się

tu siedziba dowódcy garnizonu i - chyba - koszary głównych jego sił.

Tugryba popatrzył na nich, mierzył wzrokiem zbliżających się, ale nie

uśmiechał na powitanie, zeskoczył tylko na ziemię, gdy podeszli blisko.

- Czym chata bogata... - mruknął nie kryjąc, że zmusza się do zachowania dobrych manier. - Zapraszam waszmościów na kolację.

Zapewne najpierw chciał powiedzieć coś o skromnych progach, o ubogim

jadłospisie, o przykrości, z jaką dzieli się tak skromnym posiłkiem, ale w

ostatniej chwili machnął na wszystko ręką i po prostu zaproponował wspólne

zjedzenie posiłku. Wszedł pierwszy do aresztandaumu, poczekał aż goście

podejdą do stołu i szerokim gestem wskazał stół. Ruch był, jak pomyślał

Hondelyk, nadmiernie szeroki, jeśli się wzięło pod uwagę czego dotyczył:

na stole leżało pół gomółki sera, nie pierwszej świeżości, cały bochen

chleba i dwie piętki, garniec z mętym ogórkowym rosołem, w którym być

może pływał jeszcze jakiś.

I to wszystko.

Przyjaciele wymienili spojrzenia.

- Jeśli waść pozwolisz - przyniosę co mamy w swoich sakwach -

zapropozował Hondelyk i ruszył do drzwi.

- Może nie? - odezwał się Tugryba. - Ja mam zwyczaj dzielić się z

załogą wszystkim co złe i co dobre. Chiba dla was lepiej będzie...

- Nie zamierzasz nas chyba obrazić? - przerwał mu Hondelyk od progu.

Tugryba otworzył usta, ale nie odezwał się. Hondelyk wyszedł, Cadron

obszedł stół i odsunąwszy zydel usiadł, ale nie dotknął ani chleba, ani

sera. Asanseel posapawszy podszedł do okna zaczął wyglądać na pustą ulicę.

Gdzieś zza murów dobiegało niesłabnące wycie Ghouranie.

Wychylony przez krenelaż Hondelyk przyglądał się mostowi co i rusz

zerkając w kierunku Ghouranie, czy aby któryś z łuczników czy łuczniczek

nie zamierza zrobić sobie z niego trofeum. Pod spodem, w okalającej

Strzebrzycę, wykutej w skale fosie płynęła mocna burzliwie sfalowana

struga wody, sztucznie wywołana odnoga rzeki Zadry. Mocny nurt skutecznie

pomagał obrońcom twierdzy na nice wywracając wszystkie próby przystawienia

drabiny czy wdrapania po hakach na mury. Zostawał jeden jedyne punkt, co

do którego i obrońcy i atakujący mieli podobne zdanie -
brama. Nieszczęsny
most, gdyby był podniesiony, nie dałby najmniejszych
szans Ghouranie,
niestety, gdy był spuszczoney pozwalał im mieć nadzieję na
sforsowanie
bramy i ją atakowali aż nazbyt - zdaniem obrońców -
chętnie. Gdyby nie
ostry nurt dziesiątki, a może już setki ciał leżałoby pod
mostem gnijąc i
wabiąc muchy, woda jednak unosiła zwłoki i rannych i
tylko na moście
leżały ciała, a czasem ktoś się poruszył, wywołując w
obrońcach przemożną
chęć dobiecia. Tylko stanowcze rozkazy asanseela
przeszkadzały w zrzucaniu
na każdego rannego kawałka kamienia czy polewania
rozgrzanym w kotle
olejem. Przerwawszy obserwację Hondelyk odruchowo
popatrzył jeszcze w
stronę śluzy, która kierowała wodę do rowu i podziękował
opiekuńczym
bóstwom, że nie pozwoliły dzikim odciąć rzeki od
dodatkowego koryta. Tam
siedzieli najlepsi łucznicy, którzy skutecznie, jak dotąd,
nie pozwalali
Ghouranie nawet zbliżyć się do śluzy, a co dopiero
zaatakować ją i zasypać
ujście.
- Tylko brama - mruknął do siebie.
- Coś mówiłeś?
- Powtarzam sobie: "brama", żeby nie zapomnieć o
czymś ważnym.

- Aha.
- Brama - powtórzył Hondelyk nie zwracając uwagi na ironiczny ton przyjaciela. - Złamaliśmy cztery tarany, jeden dziennie, ale im to nie przeszkadza. Właśnie przysposabiają nowy, nawet się z tym nie kryją i jutro znowu wyjąc wniebogłosy pognają na nas, a my już kłapaczek nie mamy, zostały tylko kamienie, olej i trochę ołowiu do polewania taranierów...
- Żeby tak mieć... - rozmarzył się Cadron - tę, wiesz, mieszaninę, co to ją Facentorill przygotowywał. Takim garncem z tą berbeluchą jakby się pizło w gromadę dziczy, jakby hukło, w cztery dupy ich mać, jakby szmaty, strzepy i strupy poleciały we wszystkie strony...
- Dobrze jest pomarzyć, a ty zwłaszcza pięknie niektóre myśli wywodzisz i odmalowujesz, ale Facentorill, o ile pamiętam, sam się w strzepy zamienił, kiedy piorun w jego wieżę huknął i jego garnce, jak to barwnie ująłeś, pizły w niebo!
- No tak - niechętnie zgodził się Cadron. - Ale jak sobie wyobrażę dzikich, jak się rozlatują na moście, jak...
- Stój! - syknął nagle Hondelyk. - Stój - stój - stój - stój - stój -
ssstój... - zamamrotał utkwivszy ślepe spojrzenie w ponurym szaro - sinym

niebie nad głowami. - Na moście... Na moście. Rozlatują?
Roz - la - tu -
ją...

Określił się na pięcie i chwyciwszy za brodę szarpnął ją
kilka razy we
wszystkie strony. Mruczał coś do siebie postukując
niecierpliwie czubkiem
buta w mur. Potem, ciągle obserwowany uważnie przez
Cadrona i kilku
żołnierzy, zamarł w bezruchu, by w końcu podnieść głowę
i popatrzeć na
przyjaciela szeroko otwartymi oczami i z rodzącym się
uśmiechem na ustach.

- Mam - oznajmił. - Wychylił się konspiracyjnie w
stronę Cadrona. -

Naprawdę mam pomysł!

- Mianowicie?

- Mianowicie powiem wieczorem, przemyślę wszystko i
podzielenie się z

tobą pomysłem. Potem powiem co trzeba asanseelowi. -
Zerknął na druha. -

Może uda się nie wtajemniczać go we wszystko, mam taką
awersję... Co?

- Postaramy się.

Obaj popatrzyli w niebo, ocenili czas. Do wieczora
zostały dwie

godziny, spędzili je obaj na murach, Hondelyk zamyślony
wpatrywał się w

obóz Ghouranie, zapamiętywał coś, posykiwał,
pogwizdywał i kiwał do

jakichś swoich myśli głową; Cadron gryzł dolną wargę,
dusiła go ciekawość,

ale duma nie pozwalała zapytać. Duma i rozsądek,
bowiem Hondelyk nigdy nie
dzielił się wstępnymi planami, a dopiero gotowymi.
Wieczorem na niebie pojawiły się czerwono - rdzawe
smugi, żołnierze
sprzeciali się czy znamionują zmianę pogody czy
ingerencję bóstw, a jeśli
tak to jakich. Ghouranie niemrawo, jak na nich,
wyśpiewywali obelgi?
obietnice? propozycje? Jak zwykle część wojowników i
wojowniczek
odpoczywała lub tańczyła, druga część urządziła gonitwy
wzdłuż murów. Co
jakiś czas któremuś z łuczników udawało się trafić jeźdźca
lub konia i
wtedy na murach wybuchał radosny ryk, pudło
wywoływało radosne pohukiwania
ze strony oblegających. Nieduża grupka skupiła się wokół
potężnego kłosa,
który rano pojawił się w obozie i najwyraźniej był
szykowany na poranny
szturm. Nad bramą Strzebrzycy krzatali się żołnierze
gromadząc kamienny
gruz, napełniając kotły i układając pod nimi wiązki chrustu
i szczapy -
wynik porąbania kilku drzwi w odległych od bramy
budynkach. Kiedy Hondelyk
z przyjacielem zbliżył się do bastionu asanseel właśnie
wręczał
garmatnikom dwa woreczki z bezcennym prochem. Kątem
oka zobaczywszy
zbliżającą się parę posłał im znaczące spojrzenie, ale nie
odezwał się ani

słowem.

- Czy znajdziesz waść kilka chwil dla nas? - zapytał Hondelyk udając,
że nie rozumiał wagi czynności kanonierów, którzy przytulając do piersi natłuszczone sakwy udali się do szczelnych kryjówek, by tam sprawdzić proch i ewentualnie spróbować go podsuszyć przez noc. - Mamy pewną myśl, którą chcielibyśmy się podzielić.

Tugryba rozejrzał się dokoła, skinął głową i bez słowa skierował do schodów. Zeszli w milczeniu na dół i skierowali się do aresztandaumu, weszli do środka i rozsiedli się. Komendant odruchowo zaczerpnął powietrza i nagle zamarł z otwartymi ustami, poczerwieniał na twarzy. Biedak chciał zawołać na pacholka, by przyniósł wina i przypomniał sobie, że już nie ma, zrozumiał Cadron. Szybko sięgnął pod połę kaftana, gdzie zmyślny krawiec przyszył mu kieszeń na różne ciekawostki, wyjął piersiownik, odszpuntował.

- Za pomyślność jego pomysłu - podał Tugrybie plecioną skórą flaszkę i gestem zachęcił do toastu.

Asanseel ostrożnie przyjął naczynie, z nabożeństwem w oczach podniósł do ust i przezornie powąchawszy rozjaśnił oblicze i solidnie pociągnął.

- Och!.. - zdołał wykrztusić odstawivszy naczynie, z pewnym żalem

przekazał je Hondelykowi mówiąc: - Zacności wielkiej trunek, szkoda, że

dopiero...

Zmarkotniał i umilkł.

- Zdrowie tego, co wytwarza i częstuje - szybko powiedział Hondelyk

unosząc flaszę. - Naszego drogiego przyjaciela Olaczka...

- Olkacza - poprawił go odruchowo Cadron.

- Olkacza - zgodził się Hondelyk. Pociągnął również tego, przekazał

naczynie. - Ale nie to chciałem rzec. Jeśliś waćpan chciał powiedzieć, że

dopiero przed śmiercią udało się napić zacnej olczakówki, toś się

pośpieszył, prawda? - skierował pytanie do chuchającego po łyku Cadrona.

- Olkaczówki, zapamiętaj wreszcie - wychrypiał. Po odchrząknięciu -

zgodnie z wcześniejszą umową - przejął na siebie ciężar dalszych

wyjaśnień: - Mój druh był znakomitym komediantem, czołowym na dworze

cesarza Geina. Potem znudziło mu się siedzenie na jednym miejscu, porzucił

naprawdę słodki kawałek chleba i odtąd tuła się po świecie, od jakiegoś

czasu ze mną. Tak sobie wędrujemy i... - umyślnie zawiesił głos i nie

dokończył. - Nieważne. Ważne jest co innego - mamy taką myśl: gdyby ktoś

się przedarł do dominiona, to, jak waść myślisz: przyśle taki oddział,

żeby zaszpuntować dzicz w tej kotlinie?

Tugryba wykrzywił twarz, ale jednocześnie pokiwał energicznie głową.

- Zatem problem jest tylko w wydostaniu się ze Strzebrzycy, bo na te

kloce z wiadomościami za bardzo już nie liczymy, prawda?

Asanseel znowu pokiwał głową, wcześniej jego spojrzenie co i rusz

muskało trzymaną przez Cadrona flaszkę, teraz przestał oblizywać wargi,

wpił się oczami w usta Cadrona. I chłonał pachnące nadzieją słowa.

- Otóż mamy taki plan. Gdy zacznie się szturm bramy oddział duży musi

wypaść na nich, wyciąć część, część ogłuszyć, to ważne - ogłuszyć! Mój

druh szybko przebierze się w szmaty jednego z tych drani i wróci z rannymi

do obozu. A tam... Tam to już musi by uciec jakoś i powiadomić dominiona.

- Eeee... - zachrypiał Tugryba.

Cadron podał mu flaszkę, ale asanseel dość długo i dość tępo wpatrywał

się w blat stołu trzymając naczynie zanim wolno podniósł je do ust i

łyknął wyjątkowo płytko.

- Eee - powtórzył. Uświadomił sobie, że trzyma w ręku flaszkę, oddał ją

Cadronowi. - Ja tam nie widzę tego planu - przyznał szczerze. - Jak ich

wytluczemy, tak, żeby nie wszystkich? Jak się uda waści?
Jak przebić się
przez te tłumy? - wzruszył ramionami.

- To już są szczegóły - oświadczył Hondelyk.

Wyciągnął rękę i przejął

trunek. Łyknął szybko, otarł wargi. - Mamy jeszcze parę
pomysłów, które

ułatwią nam zadanie - dodał zwracając naczynie. -

Problem, który miałbyś,

panie, rozwiązać to dobrzy łucznicy i kusznicy na
bastionie, którzy

najpierw nie dopuszczą odsieczy, a potem, gdy ranni będą
wracać z kolei

nie trafią nikogo, choć szyc będą gęsto. Następnie trzeba
by czymś

odwrócić uwagę dziczy - nie przyszło nam do głowy nic
prócz dwóch - trzech

strzałów z garmatek w kierunku ich wodza, do tego kilka
tuzinów

zapalających strzał w obóz. I jeszcze jakieś trąbienie z
murów, słowem

wszystko, co skieruje ich uwagę tam, gdzie my będziemy
chcieli. Ja w tym

czasie wkręcę się w obóz, przedostanę do koni i postaram
wymknąć.

Dowódca zastanawiał się długą chwilę, w końcu
wymruczał: "M - uuu -

ch", wolno pokręcił głową.

- Jeśli chodzi o mnie, to dwa strzały mogą odziałać,
zrozumcie - spod

serca sobie odrywam. - Odpowiedziało mu podwójne
kiwnięcie głową. - Co do

łuczników - machnął ręką. - Co tu gadać - moje chłopcy
będą trafiać i
chbiać na rozkaz. Trąbić możemy też ile chcecie, ze trzy
tuziny strzał z
nożnych łuków im się pośle. Ale... - Teraz pokręcił głową
energiczniej i
zaczął wyliczać wątpliwości prostując palce: - Ale tego,
żebyś waść dostał
się do nich, uciekł z obozu, nie dał się rozpoznać i dotarł
do
dominiona...
- To już mój problem!
- Bez wątpienia!
Zamyślił się i pogrążony w dumach wyciągnął rękę po
flaszę, Cadron
szybko podał mu i odebrał, gdy pociągnąwszy długi
serdeczny łyk odetchnął
z wdzięcznością.
- Nie śmiałbym żołnierza żadnego namawiać do takiej
wyprawy -
powiedział w końcu. - Każdy woli umierać w kompaniji, a
co dopiero dać się
złapać dzikim .
- Każdy - potwierdził poważnie Hondelyk. - Ja też,
dlatego gdy usłyszę
wezwanie Mistrza Skonu - zostanę w kompanii. Teraz
jeszcze nie moja kolej.

Tugryba zrobił minę: "No - no!", potem uśmiechnął się i
szybkim
spojrzeniem trafił flaszę. Cadron stłumił uśmiech, podał
naczynie
przyjacielowi. Hondelyk łyknął odrobinę.

- Jeszcze tylko detal - potrzebujemy trochę tej tabaki - powiedział.

- Ta - ba - a - aki?

- Tak, podobno macie jej trochę w jakimś magazynie.

- Mamy - tak. Trochi - nie. Mamy jej mnóstwo, każdy bierze ile chce.

- No to dobrze. My też weźmiemy.

W piersiowniczku zostało trunku akurat na jeszcze jedną kolejkę, po

której Cadron wytrząsnął z niego ostatnie krople i zaszpunktowawszy schował

do kieszeni. Tugryba poderwał się i odchrząknął raźnie:

- Poza otwieraniem bramy możecie waszmościowie robić w Strzebrzycy co

chcecie. Rano będę na bastionie, łucznicy i kusznicy też. Wszystko będzie

gotowe, i oddział na dole też.

Wszyscy wstali. Hondelyk skłonił głowę w kierunku asanseela:

- Dziękuję. Rano wszystko dopniemy, bo to zależy od tego, kiedy oni

zaczną szturm na bramę. Dlatego warta musi być przygotowana - najmniejszy

ruch z taranem - od razu wezwać nas. To bardzo ważne: w chwili ataku

musimy być z drugiej strony bramy.

- Tak będzie! - zapewnił Tugryba.

Poprawił pas, klepnął się po brzuchu, jakby wychodził na dwór po tegim

posiłku i wymaszerował z aresztandaumu. Wyszli za nim śladem i po chwili

znaleźli się na kwaterze. Cadron usiadł przy stole i postukał opuszkami

palców w blat.

- O której zaczniemy?

- Koło północy?.. Jak się trochę pośpią. - Hondelyk ziewnął i

przeciagnął się.

- Dobrze. To do północy możemy pokimarzyć?

- Jasne. Już prosiłem Raka, żeby nas obudził.

- Ty to o wszystkim myślisz!

- A tak, nawet o chustach na nosy!

- To się spokojnie kładę.

- No, chyba się zacznie - zatarł dłonie asanseel. Odsunął się od muru

i uważnym spojrzeniem obrzucił zgromadzonych na górze żołnierzy. - Tu mamy

obrzucić ich nieszkodliwie kamieniami i nie lać, tak? - sprawdził jeszcze

raz dyspozycje Hondelyka, któremu od rana przekazał władzę w twierdzy. -

Wy na dole wypadacie i tłuczecie ich jak się da, a potem, podczas ucieczki

tych pobitych, mamy ich straszyć niecelnymi strzałami?

Zapytany potwierdził polecenia ruchem głowy, od chwili gdy taran

został ułożony na kołach nie odrywał odeń wzroku, jak Cadron sądził -

usiłował już teraz wybrać dla siebie któregoś z atakujących. Sam też długą chwilę szacował zgromadzonych przy taranie Ghouranie, obwieszonych tarczami, w wysokich ostro zakończonych szyszakach, w końcu postanowił zająć się raczej organizacją wypadu i poinformowawszy o tym Hondelyka zaczął zbiegać na dół. W połowie pierwszego marszu schodów zatrzymał go okrzyk asanseela, Tugryba dogonił go i poufale położył rękę na ramieniu:

- Uważasz to waćpan za dobry pomysł?
- Nie mamy lepszego, więc ten jest dobry.
- Czy ja dobrze rozumiem: obrzuciliście w nocy most wilgotną tabaką i myślicie, że teraz, kiedy wyschła, załamię się atak dzikich, a wy wyskoczycie i wybierzeć jednego podobnego, którego druh waszmości zastąpi?

Cadron skinął głową.
Asanseel pokręcił głową: - A język? Przecież go nie zna? - Cadron skinął głową. - A jeśli ten ich wódz postanowi odjęciem głowy ukarać tych, co nie wyłamali bramy? - Cadron wzruszył ramionami. - Albo ich żony poderzną im gardła, by zmyć skazę na honorze? Dyć nie znamy wszystkich obyczajów tej dziczy?
- Na razie nie karali śmiercią...
- Ale to dzikie!

Cadron uśmiechnął się z przymusem, położył również swoją rękę na ramieniu Tugryby.

- Ja by też nie puścił przyjaciela, gdybym choć trochę potrafił udawać innych jak on. Ale nie - ja mogę udawać tylko siebie, a on, zaręczam, bo widziałem to po wielekroć, robi to tak, że matka może nie odróżnić jego od własnego syna. No i poza tym - nie mamy innego planu, codziennie tracimy po kilku żołnierzy i po kilka garści spyży, czas biegnie i nie do nas się uśmiecha...

Zadudniły schody pod czyimiś szybkimi lekkimi krokami, z góry zbiegał

Hondelyk, przebiegł obok, syknął, że dzicy ustawili "jeża" i zaczynają

maszerować na bastion. Cadron ścisnął na pożegnanie ramię asanseela i

pobiegł za Hondelykiem na dół. Czekają tam trzy tuziny dziwacznie

uzbrojonych żołnierzy - każdy ścisnął w rękę pałę z bukowego drąga,

krótkie miecze, sztylety i cała śmiercionośna broń - buzdygany,

morgensterny, topory, przytroczona została do użytku jedynie w razie

zagrożenia własnego lub towarzysza życia. Każdy z żołnierzy miał na szyi

szmatkę z czterema troczkami, zwilżoną i zawieszoną, tak by zasłaniając

usta i nos osłoniła przed kurzawą z tabaki. Hondelyk przebiegł przed szeregiem, cicho przypomniał, że mają głuszyć, zwłaszcza wysokich i szczupłych, zabitych wrzucać do wody...

- ... Macie to robić tak, by dzicy niczego nie podejrzewali. Machajcie toporami, udawajcie rannych czy nawet - jeśli się da - zabitych, potem się przeczołgacie za bramę. Czy ktoś nie rozumie co mamy zrobić? Lepiej się przyznajcie, to nasza jedyna szansa ocalić głowę, nie chcę, by jakiś gamoń ją zmarnował?..

Odpowiedziała mu cisza i kilkadziesiąt mocnych spojrzeń wbitych w jego oczy. Skinął głową.

- No to czekamy - dwoma ruchami ręki rozesał obie części oddziału na dwie strony, pod osłonę murów. Odwrócił się do Cadrona.

- Wiesz co? - powiedział cicho. - Dobrze, że wczoraj pogadaliśmy chwilę o xameleonie.

Zawsze chciałem... Zawsze chciałem dokładniej sprawdzić, co też potrafię oprócz tego przedzierzgiwania się w cudze postacie, czy mogę więcej wyłapywać cudzych myśli, cudzą pamięć, czy potrafię przekazywać swoje...

Ale zawsze odkładałem to na później, na starość może. Ciągle coś innego było ważniejsze...

- Szukasz kogoś? Prawda? - Hondelyk milczał. - Chcę wiedzieć, powiedz:

przez cały czas wędrujesz, szukając jakiegoś śladu?

W końcu Hondelyk z ociąganiem skinął głową.

- Pogadamy... - przerwał i szybko obejrzał się w poszukiwaniu źródła

przeciąglego głośnego syku. Jeden z obserwujących przez małe okienko w

okutej grubymi sztabami bramie. - ...kiedyś później.

Podeszli pod samą bramę i wyjrzeli. Ponad upstrzonym brązowymi

plamkami i grudkami mostem spojrzenie biegło dalej aż trafiało na ociosany

koniec grubego kloca, który miał służyć za taran. Po obu bokach migotały

gołe nogi popychających kołowy taran dzikusów.

- Nie widać stąd, ale chyba same kurduple - mruknął z zawodem Cadron.

Hondelyk wciągnął dolną wargę i posykiwał przez zęby. Czekali jeszcze

chwilę, a potem szturmujący, niemrawo ostrzeliwani w ułożone na ramionach

i plecach tarcze, dotarli do mostu i nagle dziko powizgując runęli z

całych sił naprzód. Cadron z Hondelykiem odskoczyli od okienka i

zatrzasnęli grubą klapę. Chwilę później całą bramą wstrząsnęło potężne

uderzenie. Dzicy coś zajazgotali, najwidoczniej cofali się, by wziąć

rozpęd. Nasłuchujący w napięciu obrońcy usłyszeli najpierw rwący się

wrzask, potem jedno głośnie kichnięcie, potem wrzaskliwe drugie. Któryś z żołnierzy trącił towarzysza w ramię, inny obserwujący przez szparę taranierów zamachał radośnie ręką. Zza bramy dobiegło jeszcze kilka głośnych kichnięć i kilkanaście wściekłych głosów zajazgotało na wypródki. Hondelyk szybko założył chustkę na nos i ponaglił obszernymi ruchami maruderów, odczekał kilkanaście uderzeń serca i dał znak czekającym przy kołowrotach osadom. Kołowi napaarli piersiami na szprychy, łańcuchy napięły się, wyprężyły, poruszyły dźwignie. Hondelyk przysunął się bliżej miejsca, gdzie za chwilę miała rozszerzyć się szpara, zza grubych wierzei słyszeć było całe salwy piskliwych kichnięć i cienkie wrzaski nie wiadomo czy dowódców usiłujących zaprowadzić jakiś ład w szeregach czy samych żołnierzy przeklinających ataki kichania. W szparę bramy runął Hondelyk, za nim jakiś żołnierz odepchnąwszy Cadrona, wreszcie on sam i pojedynczo, a potem podwójnie - reszta oddziału w chustach na twarzy.

Taran stał otoczony kilkudziesięcioma postaciami w skórach i wełnianych burnusach, z rzadka mieli zapinane na plecach kamizele nabijane

na piersiach ćwiekami. Na widok wypadających z
rozwartej bramy obrońców

Strzebrzycy kilku uniosło krzywe szable, ale wszyscy byli
wstrząsani

nieopanowanymi spazmami. Nie mogli się bronić, przez
załzawione oczy

najczęściej nie widzieli pałki opadającej na głowę. Tylko
pojedynczym

żołnierzom nie udało się ogłuszyć z marszu swojego
przeciwnika. Z

trzydziestu kilku dzikich taranierów w mig zginęło ośmiu
czy dziesięciu.

Hondelyk rozejrzał się szybko dokoła.

- Ciała do wody! - wrzasnął. - Migiem! Gdzie jest ten
taki wysoki?

- Tu mamy takiego - krzyknął ktoś. - Gryzie, padalec.

Zza zmartwiałego tarana wyłoniła się grupa żołnierzy
wlokących dziko

szarpiącego się dzikusa, kilka kroków przed Hondelykiem,
gdy - Cadron

widział to wyraźnie - wpił się on spojrzeniem w
człowieka, którego

zamierzał udawać, jeniec nagle szarpnął się, wyrwał rękę i
w mgnieniu oka

wyciągnąwszy zza pazuchy oka cienki sztylet uderzył w
bok trzymającego go

żołnierza. Natychmiast inny sapnąwszy ciął ciężko,
soczyście i po

człaplwym mlaśnięciu głowa Ghouranie potoczyła się w
bok. Zanim

ktokolwiek się ruszył spadła do wody.

- Nie! - wrzasnął Cadron.

- Co się dzieje?

Z tyłu wyłonił się Tugryba i szarpnął za ramię Cadrona. Jego oczy niespokojnie penetrowały otoczenie. Odchylił się chcąc zobaczyć co się dzieje za taranem.

- Mamy już niewiele czasu - powiedział nie czekając na wyjaśnienia. -

Dzicy jeszcze nie rozumieją co się dzieje, pohukują i miotają się w obozie, ale jeszcze nie zwołali oddziału. Ruszajmy się szybciej!

- Tu jest jeden, jak na nich - długi! - wrzasnął ktoś z boku tarana.

Hondelyk, Cadron i asanseel rzucili się w tamtym kierunku. Nad

rozciągniętym ciałem stali dwaj żołnierze z zasłoniętymi twarzami. W

ostrym zimnym słońcu wirowały brązowawe obłoczki tabaki. Z obozu

oblegających dobiegały głośne okrzyki.

- Do twierdzy! - polecił Hondelyk żołnierzom. Pochylił się nad ciałem.

Żołnierze wykonali polecenie przeskakując ciało. - Wzrost dobry, waga -

gorzej, ale to nie przesz...

Nagle zamarł i chwilę trwał skamieniały. Potem podniósł zrozpaczony

wzrok na Cadrona. Tugryba niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. Zerknął

w górę nasłuchując jakiegoś sygnału.

- No? Co się stało? Rak gwizdże, że dzicy się ruszyli!!!

- To kobieta...

- Kobieta? - Asanseel przykucnął i bezceremonialnie wsunął rękę pod

połę kaftana. - A niech to zaraza! - wyjął rękę i niespokojnie popatrzył

na Hondelyka. - To baby nie możesz udawać?

Po chwili dopiero padła odpowiedź, i udzielił jej Cadron:

- Przecież trzeba ją zabić, bo a nuż dostanie się do obozu i wszystko im opowie?

Przez długą ciężką chwilę cała trójka wpatrywała się w ciało.

- No to co? - Pierwszy otrząsnął się asanseel, poderwał się na równe

nogi. - Trzeba to trzeba.

- Ale to kobieta!

- Dzikuska!

- Nie, kob...

- Wojownik! - wrzasnął wściekły komendant. - Może zabiła sześciu już moich!?

- Ja nie potrafię zaszlachto...

Asanseel runął na kolana i zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć wbił

swój sztylet w pierś wojowniczkę. Szarpnęła się, wyprostowane nogi

wyprężyły w próżnym usiłowaniu znalezienia oparcia i ucieczki od Mistrza

Skonu.

- Uciekaj stąd! - wrzasnął Cadron. Zrozumiał, że teraz wypadki toczą

się po trosze jak kamienna lawina: trzeba albo uciec od niej, albo ulec,

powstrzymać się na pewno nie da. - Pilnuj bramy i
łuczników, by nie
dopuścili dzikich!

Asanseel poderwał się i nie chowając noża pognął do
bramy. Cadron
zaczął zdzierać z wojowniczkę ubranie, Hondelyk wolno, z
oszołomieniem na

twarzą zrzucił swoje odzienie. Smagłe ciało kobiety
Ghouranie wyłaniało

się zwolna spod ubrania, jedna ręka ułożyła się za głowę,
pod pachą miała

dużą kępę ciemnych włosów, Cadron niemal jęknął
głośno, czując jak

ogarniają go szpetne myśli; na dodatek płaskie w tej
pozycji piersi nosiły

ślady świeżych nocnych bezwzględnych karesów. Z
wysiłkiem zdusiwszy

skrupuły szarpał podtrzymujące odzienie konającej
rzemienie i sznury,

usiłując myśleć tylko o tym, co czeka Hondelyka. Kilka
chwil później

Hondelyk stał prawie nagi, ciało kobiety obnażone,
oskarżające leżało u
jego stóp.

- Zrzuć ją do fosy i uciekaj - wychrypiał Hondelyk.

W jego oczach czaił się szal. Cadron zamierzał coś
powiedzieć, ale po

raz pierwszy chyba w swej długiej znajomości z
Hondelykiem uznał, że

lepiej będzie się nie odzywać. Złożył ręce kobiety wzdłuż
ciała, chwycił

ją pod pachy i pociągnął w kierunku fosy. Spadła do
rwącej wody niemal nie

wywołując plusku, a w każdym razie dźwięk ten nie
wyłonił się z
nieustającego huku. Cadron przez ramię zerknął na
Hondelyka, miał już na
sobie niemal wszystkie części stroju wojowniczkę, stał
tyłem do Cadrona i
dlatego ten nie widział jego twarzy. Ruszył do bramy, po
drodze spotkał
pełznącego w jego stronę ze sztyletem w ręku Ghouranie,
przemknęło mu
przez myśl, że mógł widzieć szamotaninę z wojowniczką,
zacisnął zęby i
wbił w brzuch dziko łyskającego oczami półprzytomnego
taraniera miecz.
Jeszcze jeden dzikus poruszył się, dobił tego również i
pognał do bramy.
Gdy tylko przemknął przez wąską szczelinę kołowroty
skrzypnąwszy
przeciągle ruszyły w powrotną drogę, huknęły zwierające
się wierzeje,
głucho trzasnęły zapadające w swoje gniazda kłody
blokrangów. Prześwit w
bramie zniknął.
Cadron szarpnął swój kaftan, zdarł i cisnął z furją o
ziemię. Nikt się
nie poruszył. Podszedł do beczki z wodą, zaczerpnął pełny
skórzany kubek,
wypił. Zostawiając kaftan na ziemi, by leżał na niej jak
częściowa wylinka
powłókł się w kierunku schodów i po nich na mur. Gdy
stawiał nogę na
drugim stopniu schodów huknęła jedna z garmatek, potem
zaraz druga,

zatrzymał się i zadarł głowę, wydawało mu się, że słyszy
świsł potężnych
strzał wypuszczanych z nożnych łuków, furkotały
rozpalone kwacze na ich
końcach.

Wszystko to do chrzanu, pomyślał. Hondelyk, jak go
znam, nie pogodzi
się z zamordowaniem na zimno kobiety, nieprzytomnej w
dodatku. Dla niego
nic to, że biła się jak mężczyzna? Że mogła mieć na swojej
szabli krew
tuzina naszych dzieci! On tego nie rozważa - kobieta to
twór bogów i
koniec. Żeby to obsrał byk chudy! Hondelyk by nawet
mógł...

Podskoczył gdy poczuł na ramieniu czyjeś palce. Na
pierwszym stopniu
stał Tugryba, zacisnął wargi, ale w oczach miał winę i
chęć
usprawiedliwienia się.

- Ja widziałem, że cały wasz plan w ściek leci -
powiedział cicho. -

Waść byś jej nie zabił, a przyjaciel tem bardziej. Ja bym
też tego nigdy
nie zrobił, lecz gdym was dwu wahających zobaczył...

Nie dokończył, ale wiadomo było co chciał powiedzieć.
Cadron mruknął
coś, co asanseel powinien był wziąć za wyraz zgody. I
rozgrzeszenia.

Odwrócił się i poszedł do góry, słyszał ciężkie zmęczone
kroki za sobą,
ale Tugryba odezwał się dopiero na górze, gdy Cadron
rozsiadł się na

beczce, wyjął trójkątny kawałek suchara i zaczął gryźć,
żeby zająć czymś
szczęki, bo inaczej groziło, że sam sobie, zaciskają je,
pokruszy zęby.

Komendant kiwnął się chcąc odejść, ale w ostatniej chwili
zmienił zamiar.

- A gdybym powiedział, że nie wszystko mi
powiedzieliście, że tkwi mi
w tym planie jakiś kolec, jakaś zakawyka... - zapytał albo
raczej
stwierdził. - Powiedz waść tylko tak czy nie, o szczegóły
nie pytam.

Odpowiedziało mu wolne skinienie głowy, asanseel z
zadowoleniem

sapnął, szarpnął do góry pas i cmoknąwszy wieloznacznie
ruszył wzdłuż

muru. Cadron uporał się błyskawicznie z sucharem, oparł
łokieć na blance,

a na otwartej dłoni ułożył brodę. Miał przed oczami cały
niemal dziki

obóz, widział dwie kępy gęstszych zbiorowisk Ghouranie -
gdzie trafiły

sierkawe pociski garmatek, widział dwa dogasające
namioty, które udało się

podpalić łucznikom. Szczególną uwagę poświęcił
wylotowi z doliny,

wypatrywał tam - choć sam wiedział, że to jeszcze za
wcześnie - wysokiej

postaci w stroju kryjącym kobiece kształty. Zresztą kręciło
się tam ciągle

kilkudziesięciu dzikich, być może były tam nawet straże
wymagające od

wyjeżdżających jakichś paroli.

Och, nie mieliśmy czasu ani okazji, by to wszystko wyjaśnić, jęknął w duchu. Takie wszystko na łapu - capu! Bogowie, nie obrażcie się!..

Tugryba obszedł cały krąg Strzebrzycy, zawahał się, ale nie naruszał

już głębokiej zadumy Cadrona, przez cały zapadający zmierzch kręcił się

jednak obok. Wydawał rozkazy i wracał na górę, schodził by sprawdzić warty

przy bramie i wspinał się na mury, a kiedy żołnierze zauważyli, że

pokonuje schody niemal na palcach sami zaczęli zachowywać się ciszej,

klęli szeptem, spluwali za mury i nie drapali murów końcami mieczy gdy

maszerowali wzdłuż krenelaży chcąc rozprostować kości. Przez cały ten czas

Cadron raz tylko odszedł od beczki i oddał mocz na mur. Potem zeskoczył i

znowu wpatrzył się w obozowisko.

Tuż przez północą chmury zaczapowały na długich kilka chwil wąty

cienki księżyc. Potem zsunęły się i pozwoliły mu oświetlić góry, dolinę, twierdzę.

Nagle ze środka obozu buchnął głośny jazgot, który chętnie i

przenikliwie podchwyciły inne głosy i jeszcze inne, a potem chyba

wszystkie. Wycie rozpoczęło się od okolic białego namiotu wodza, migiem

dokoła rozpały się ogniska, na ich tle migotały, miotające się we

wszystkie strony, wymachujące rękami, drące włosy na głowie, walące się na

ziemię i tarzające po niej, postacie.

- Tak! - wrzasnął Cadron. - Zrobił to! - Zeskoczył z beczki i z całej

siły huknął w jej wieko pięścią. Rozejrzał się dokoła szukając asanseela.

- Odżałuj jeszcze dwa strzały! - wrzasnął. - Musi uciec!

- On? - krzyknął Tugryba. Przeciągły niekończący się jęk zza muru

świdrował w uszach, zagłuszał własne myśli, co dopiero słowa. - Co zrobił?

Cadron widział, że zadaje to pytanie drżąc, by otrzymać spodziewaną

upragnioną wymodloną odpowiedź. Skinął głową.

- Ja go znam! - wycedził z dumą. - Musieli mu zapłacić, za to, że

zmusili do złamania jego kodeksu. Zabił ich wodza, ot co!

Tugryba zacisnął pięść i potrząsnął nią radośnie jakby kołatał do

niewidzialnych drzwi przed sobą.

- Gaaar mat - niki!!! - ryknął z całej siły. - Wszystkie sześć

ładunków do luf i walcie do nich. - Odwrócił się i wrzasnął w dół: -

Łucznicy! Raku! Śpicie tam?!

- Dzieżby?! - odpowiedziały mu schody i coś załomotało na nich.

- Sześć ładunków? - zapytał Cadron. - Nie cztery?

- A taka tam mała tajemnica - machnął lekceważąco ręką asanseel

Tugryba. - Każdy chyba jakąś ma?

W czarne niebo wpiła się ognistą smugą pierwsza strzała, za nią

poszybowała druga, trzecia i całe mnóstwo następnych. Ciemność szybko i

zręcznie sztukowała swoje cięte ognistymi ostrzami mroczne fałdy i nie

dopuściła do rozdarcia, ale od dołu zaczęły ją podżerać jężory ognia

wzniesionego w obozie.

Przez całą noc trwały zapasy mroku z upartymi ludźmi. W końcu, po

szóstym strzale, bladą łuną ponad wierchami zapowiedział swoje nadejście

świt.

Na murach stała cała załoga twierdzy, pod nogami walały się olbrzymie

nożne łuki z podartymi cięciwami. Kopciły trójnogi z resztkami żaru,

ludzie przecierali oczy i wpijali rozognione radością i nadzieją

spojrzenia w wylewające się z doliny mrowie oblegających.

- Trza by pójść tam i może poszukać... - nieśmiało zaproponował

Tugryba.

Odpowiedziała mu cisza.

- Nie?

Cadron nie patrząc na niego pokręcił przecząco głową. Nie odrywał

wzroku od zaśmieconej równiny.

- To być nie może - powiedział wyzywającym tonem. -
Nie - mo - że!

Asanseel posapał trochę, w końcu stęknął - widać było,
że słowa, te

łsowa ulatują z jego ust z wysiłkiem, jakby każde miało
uwiązany do ogona
ciężki kamień.

- Jakby mu się ud...

- Teraz - nie, ale pod wieczór pojedę za nimi. Jeśli
ucieknie to

pieszo, bo konno za bardzo by się rzucał w oczy.

- Dam ci ludzi! - ucieszył się Tugryba.

- A dzięki, dzięki - skorzystam. - Odcharknął i z całej
siły splunął

przez mury. - Niech się rychtują.

Przygotowani byli zaraz po obiedzie, wyruszyli gdy
słońce nadziało się

na pierwszą turnię.

A spotkali Hondelyka tuż przed północą,

- Spotkaliśmy go o północy - powiedział Cadron na
głos. Gaber

prychnął, Pok stuknął kopytem: "Idź stąd i nie
przeszkadzaj w zasłuponym
wypoczynku!"

- Idę!

Plasnął dłonią po kolei w oba zady, wyszedł ze stajni i
starannie ją

zamknął. Chwilę potem był już na górze.

- Deszcz zimny, jakby już była jesień - powiedział
popukując

paznokciem w nieźle wykonaną szybkę z magmiki. Ktoś
końcem sztyletu

wydrapał w usztywnionej błonie: "Byłem tu. Aordenik". -
Przypomniała mi
się Strzebrzyca. - Zerknął przez ramię na przyjaciela.
Ziewał siedąc na
ławie, wyciągnąwszy długie nogi daleko przed siebie. -
Może niepotrzebnie
uczy się byle kogo pisania? - zmienił temat Cadron.
Odwrócił się i
zobaczywszy, że przyjaciel marszczy czoło, próbując
zrozumieć, co ma na
myśli, wskazał palcem napis, a Hondelyk pokiwał głową:
"Widziałem". -
Można by sobie wyobrazić czasy - otrząsnął się - brr!,
kiedy każdy będzie
umiał pisać i czytać i na każdym wolnym kawałku muru
coś będzie stało.
Wyobrażasz sobie? Tu: "Selma to dziwka", tam:
"Karponos się gzi z żoną
grodarza", a jeszcze gdzie indziej: "Chętni spuścić gluty
parobkom z
karczmy "Pod Obcasem" - zbieramy się jutro o zachodzie
słońca".
Pokręcił głową dziwiąc się własnym spaczonym
myślom. Podszedł do
stołu, poprząkał paznokciem w leżące na nim kości,
ustawiwszy wszystkie
siedem w szereg, prowokująco popatrzył na Hondelyka: -
O najbliższe
czyszczenie koni?
- A idź! Przecież wygrasz, to wiadomo.
- Czasem przegrywam.
- Jeśli nawet tak, to nie ze mną.

Hondelyk rozparł się wygodnie na krześle, zmrużył
oczy i wpatrywał się
w kości, usiłując wypytać je, jaki też mają dzisiaj humor i
komu będą
służyć. Sięgnął do naszytej pod połą kaftana kieszeni i
wyjął coś, co
ukrył w stulonych dłoniach, a dłonie oparł na stole.
- Zagrajmy po prostu jak uczciwi ludzie... o pieniądze.
Cadron prychnął pogardliwie.
- Co to jest "uczciwa gra"? - zapytał pełnym różnych
odcieni tonem.
- Mówisz jak człowiek stojący nad pijaną i piękną
ladacznicą: nie
tając niezdrowego zainteresowania, wielkiej pogardy i
nieskrywanej ochoty.

- Krótko mówiąc, o pieniądze grając, nie mogę
oszukiwać czy sięgać do
wszelkich dostępnych środków, to nie honor. Ale grając o
co innego!.. -
zatarł obiecująco dłonie.
- A - a - a tam... - Hondelyk rozprostował palce, na stół
opadł
rulonik ze sztywnej skóry, w którym spoczywał niezły
kapitalik, ze
czterdzieści rekli, poza tym sprzączka z przysiodłowej
sakwy i płaskie,
ciężko połyskujące ciepłopurpurową barwą puzderko.
Cadron szybko wyciągnął
palec, ale właściciel błyskawicznie odgrodził przedmioty
od ciekawskiej
ręki dłonią. - Gdzie???

- Co to jest?

- Sprzączka.
- Diabła tam! Nie o to pytam, wiesz przecie. To puzderko...
- A, to?! - Wziął w palce, pokręcił z dziwnym wyrazem twarzy. -
Kupiłem tam na wyprzedaży, tam gdzie futra. - Jeśli równie tanie co futra...
- Och, tłumaczyłem ci - futra z bradenswansa muszą kosztować fortunę.
To jest ptak, którego trudno dogonić na jednym śmigłym koniu, trzeba mieć kilka i przeskakiwać z jednego na dru...
- Wybacz, ale gdy słyszę "futro z ptaka" pytam, gdzie są granice ludzkiej naiwności.
- Cadronie, widziałem takiego ptaka i goniłem go. Miałem świetnego konia, ale nawet nie poczułem zapachu tego giganta.
- Poważnie?
Hondelyk pokiwał głową, Cadron skrzywił się jakby, chciał powiedzieć:
"No, trudno, ja już nic nie wiem!"
- Jego pióra to właściwie tysiące cieniutkich rureczek, w te rureczki wchodzi powietrze i stąd te niemal magiczne właściwości futer, stąd ich cena.
- Magiczne właściwości?! - odzyskał uszczypliwy ton Cadron.
- Jeśli położysz albo lepiej powiesz je obok ognia, w te rurki

wchodzi ciepłe powietrze i futro przez kilka godzin grzeje
jak nic na

świecie. A gdybyś zostawił je w lodowni na pół dnia, to w
największy skwar

będzie ci w nim zimno przez cały następny dzień.

- Aha. Pomysł wart Wielkiego Geonarda: w upał
chodzić w futrze! -

Potrząsnął złożonymi w zamkniętą konchę dłońmi,
zagrzechotały kości, ale

Hondelyk nie zareagował. - Lepiej zag...

- Są pustynie, gdzie w nocy woda zamarza, a w dzień,
jeśli wbijesz do

szyszaka jajo, to ci się usmaży. - Uśmiechnął się widząc
jak Cadron zamarł

z uniesionymi do góry rękami. - Tak, bracie. Tam byś się
modlił o takie

futro.

Cadron odłożył kości i zaczął się wpatrywać w
towarzysza nie kryjąc

coraz mocniej kiełkującej podejrzliwości. Siedział dłuższą
chwilę z

przekrzywioną głową, wyglądając, jak zaniepokojony, ale
zbyt leniwy, by

odlecieć gawron.

- Wybieramy się na taką pustynię? - zapytał w końcu,
widząc, że

dobrowolnie Hondelyk nic z siebie nie wykrztusi.

- Kto wie, gdzie nas ciśnie los... - usłyszał filozoficzną
odповідź.

Cmoknął i postanowił poczekać trochę. Pobębnił palcami
po stole. - A to...

po co kupiłeś?

Hondelyk chwycił puzderko za rogi i zakręcił nim.

- Poprzednie mi się rozpadło, usiadłem na nim.

- Ale co jest w środku?

Hondelyk milczał chwilę, chwila ta była nasycona lawiną wspomnień.

- Włos od serca - powiedział w końcu.

- C... C - co?

- Włos od serca. - Widząc, że przyjaciel nie zamierza rezygnować,

westchnął krótko i podsunął puzderko: - Patrz.

Wewnątrz, pod grubą wypukłą na środku tarczą z przeźroczystej,

doskonale obrobionej magmiki, na białej poduszczyce leżał zwinięty w kółko

włos. Gdy zaintrygowany Cadron pochylił się nad stołem, zobaczył, że włos

jest do połowy rudy, a od połowy czarny. Na oko mógł mieć łokieć długości

i był dość gruby.

- Dziwny w kolorze i dość gruby.

- Tak.

Hondelyk zatrzasnął wieczko i schował puzderko do kieszeni na piersi.

- Co: "Tak"? - oburzył się Cadron. - I to wszystko, co mi powiesz?

- A co jeszcze mam ci powiedzieć, rzeczywiście: dziwnie dwukolorowy i gruby.

Widać było, że z trudem utrzymuje powagę.

- Nie drażnij się. Gadaj. Wieczór długi.

- Nie mam nic do opowiadania.

- A dlaczego "od serca"?

- Ojej... Jako dzieciak miałem ten włos, uważałem, że dostałem go od

pewnej osoby. Tak od serca. Potem się nawet ten włos od
serca pobiłem z

jednym grubianinem... I tak dalej. Noszę go, bo mi
przynosi szczęście i

przypomina ważną chwilę w moim życiu. To tyle -
wzruszył ramionami.

Siedzieli chwilę w milczeniu, Hondelyk jakby zatopiony
w przelotnych

wspomnieniach, Cadron gorączkowo przypominający
sobie czy wcześniej

przyjaciel coś mówił o włosie z serca... Od serca, poprawił
siebie. Nie,

nic takiego nie było.

- No to gramy? - usłyszał.

Otrząsnął się z myśli.

- Poczekaj, skoczę jeszcze na dół. Coś to wino
przelatuje przeze mnie

jak strzała przez nadmuchany pęcherz...

Poderwał się i wybiegł z izby, płomienie świec na stole i
kaganka

ściennego zatańczyły jakby chciały wybiec w ślad za
Cadronem, ale w

ostatniej chwili zrezygnowały z szaleńczego pomysłu.

Gibnęły się tylko na

boki, wyciągnęły ku górze, niczym prostujący zastałe
kości człowiek, i

uspokoiły usadowione na knotach. Hondelyk wziął do ręki
rulonik, odruchowo

zważył go w dłoni, podrzucił kilka razy, potem jeszcze
kilka razy z

obrotami - jednym, dwoma, kilkoma, wysoko - z
kilkunastoma i jeszcze pod

sam sufit, wirująco. W końcu rulonik z reklamami wylądował obok puzderka w kieszeni na piersi. Sprzączkę podsunął bliżej świecy. Trzeba pamiętać posłać chłopaka, by przyszył, pomyślał. Może też wyczyścić uprząż i siodła sadrą, mieszaniną quotosu, oliwy i liprydy - wilgoć na dworze. Mownie wszystko... Myśli nagle skoczyły w innym kierunku. Ciekawe, pomyślał, czy w futrze bradenswansa człowiek tonie błyskawicznie, czy odwrotnie - pływa jak na tratwie? Futro jest lekkie, leciuchne jak na futro, ale też nie jest to normalne futro. Ale, rzeczywiście, ciekawe, jak się zachowuje na deszcz... Zaraz! A jakby tak... Przecież wyprawione pęcherze są miękkie, jednocześnie mocne i nie przemakają, przecież dzieciaki bawią się nimi i w deszcz, i skwar? Jeśliby wziąć pęcherze tej olbrzymiej ryby, jak jej tam?... A - sterlity! Właśnie, z nich można by szyć cienkie, mocne, nie wilgotniejące peleryny! Normalnie leżałaby ona zwinięta w ciasny mały rulonik, a na deszcz - naciągasz i można jechać dalej! Poderwał się i przemaszerował po izbie. Gdy wpadł do pokoju Cadron, podniósł dłoń i powiedział:
- Wiesz co?
A w tej samej chwili te same słowa wyrzucił z siebie Cadron. I to on

odczekał krócej, i mówił dalej:

- Pamiętasz tę komorę na końcu korytarza? Co to nas tak ciekawiła, że

co i rusz ktoś tam wchodzi?

- To ciebie ciekawiło - sprostował Hondelyk.

- Dobrze, mnie. Idę ci ja korytarzem, spotykam paroba, pytam go, czy

sucho tam, na dole. A on zdziwiony pokazuje mi te drzwi komórki. Mówi tak:

"Bo nie ma żadnych dam w zajeździe, można, panie skorzystać tu". Ja mu o

mało w ucho nie dałem, ale prowadzi mnie i wiesz... głowa mi spuchła! -

Cadron zwałił się na krzesło, całą miną, całym ciałem okazując

bezgraniczne zdumienie, pomieszane z podziwem i zachwytem. - Tam jest

dziura, jak w normalnym kiblu, nie trzeba chodzić na dół, bo wszystko tam

i tak spada. Rozumiesz? Aż poszedłem do karczmarza pogratulować pomysłu, a

on mówi, że tu cała okolica tak buduje, żeby górne izby miały swoją

wygódkę. Proste, nie? - Plasnął się dłonią w kolano. - Dawno już nie byłem

tak zaskoczony.

- To czemu nam nie powiedział, że można...

- No przecież była ta dama!

- A. No tak - zgodził się Hondelyk. - Czekał, a nie można by było

zrobić jednej wygódki dla kobiet, a drugiej dla nas?

Cadron popatrzył na przyjaciela z niesmakiem.

- Co ty? Zwariowałeś?

- Dlaczego? Pomyśl, to proste: do jednej...
- Przestań, masz jakieś dziwaczne, dzikie myśli godne
co najwyżej

prymitywnego koczownika, a nie godnego kawalera i
xameleona.

Hondelyk machnął ręką przerywając Cadronowi.

- To ty jesteś dziki. Nie dorosłeś do moich genialnych
pomysłów. Coraz

trudniej mi wytłumaczyć ci co i dlaczego tak. A to futro
mu nie pasuje, a

to... Nieważne. - Wstał. - Stawka: dwa selity - powiedział
wskazując

kości. - Ja pójdę sprawdzić, co też da się ulepszyć w
pomysle naszego
gospodarza.

Skierował się do drzwi.

- Dobrze, gramy na pieniądze, ale kto przegra rekla
czyści konie! Dwa
rekle - dwa czyszczenia.

Odpowiedziało mu zrezygnowane machnięcie ręki,
Hondelyk wyszedł przez

drzwi, których zawiasy pożegnały go zwiewną, jękliwą
piosenką. Cadron

szybko sięgnął do kieszeni, wyjął kości i położył na stole,
a leżący

komplet zgarnął, zamierzając schować do kieszeni, coś go
jednak

zastanowiło, obejrzał kostki dokładnie, zważył, poturlał po
stole.

- Och, ty draniu! - powiedział cicho. - Podmieniłeś mi
kości, a ja

byłbym je sam zamienił na te nie kantowane! Kiedy ci się
to udało? -

Wyszczерzył zęby i kilka razy nimi kłapnął, dobywając z
piersi niski psi
warkot. Jeszcze raz sprawdził kości i te, które uznał za
uczciwe, szybko
wcisnął do sakwy. - Teraz zobaczymy!..
Chwycił kości, otulił je dłońmi, pogrzał, chuchnął.
Cisnął i
zadowolony przyjrzał się konfiguracji. Zmieszał ją i -
wzorem Hondelyka -
zaczął przemierzać pokój od progu do okna. Przy
czwartym nawrocie usłyszał
na korytarzu jakiś hałas, miękki stłumiony łomot i szybkie
skradające się
kroki. Zmarszczył brwi, klepnął się w bok, gdzie
spoczywał sztylet i wolno
otworzył drzwi, które, jakby zauroczone jego ruchami,
nawet nie próbowały
skrzypnąć, choć chętnie robiły to wcześniej. Korytarz był
mroczny, służba
jeszcze nie zapaliła kaganka obok schodów, dlatego
Cadron zobaczył tylko
jakiś cień wsiąkający w ciemność na szczycie schodów,
poczuł chłód na
karku, tam, gdzie u doświadczonego mężczyzny rodzi się
przeczuć
nieszczęścia. Sztylet wysunął się na korytarz, za nim
trzymający go
mężczyzna, cisza panowała zupełna, ale ucho Cadrona
wychwyciło jakiś
niepokojący odgłos. Pomknął w jego kierunku bezgłośnie i
szybko, groźnie.
Po sześciu krokach, gdy do sławetnej komórki zostały
jeszcze dwa, natknął

się na leżące na podłodze ciało. Przeskoczył je i błyskawicznie zajrzał za drzwiami i w koniec korytarza, a potem wrócił do leżącego nieruchomo

Hondelyka. Schowawszy sztylet, przykucnął mrużąc pod nosem:

- Miałeś ładne puzderko, przyjacielu, zamieniłeś na guza. Nie nacieszy...

Palce dotykające barku pośliznęła się na czymś ciepłym i mokrym.

Cadron znieruchomiał, potem runął na kolana, wsunął rękę pod szyję

przyjaciela, drugą złapał go pod kolana i stęknąwszy, podźwignął

przewalający się przez ręce ciężar. Skierował się do pokoju, gdzie tańcząc

na jednej nodze, drugą zrzucił z łóżka dwa toboły i delikatnie ułożył

ciało. Szarpnął poły kaftana, rozrzucił na boki. Na lewej piersi lśniła

mokrym, nieprzyjemnym, czerwonym blaskiem plama wilgoci. Twarz Hondelyka

miała kredowobiały kolor, rysy twarzy podkreślała jakaś dziwaczna sinica,

jakby każde załamanie i występ obrysowane zostały popielatą kreską. Na

Bogów, pomyślał Cadron, Maska Skonu! Porwał z ławy cieniutką lnianą

koszulę, szarpnął ją i rozdartą zręcznie złożył w kostkę, którą umieścił

na piersi przyjaciela, w miejscu, gdzie delikatnie pulsując, wypływał

cienki strumyczek krwi. Jednym szarpnięciem zdarł z siebie pas, przerzucił go przez pierś Hondelyka, zacisnął klamrę i odruchowo ocierając ręce w oderwany rękaw koszuli wybiegł z pokoju. Schody załomotały pod jego krokami, ktoś, kto miał ochotę i nieszczęście akurat teraz wspinać się na górę, potracony zwałił się na sam dół, ale i tak Cadron wyprzedził go i był tam pierwszy. Runął jak kula z garmatki przez korytarz, wpasował w ścianę jeszcze jednego pacholka, a gdy wybita z rąk decha, na której ten niósł mięso, spadła na ziemię, on sam już szarpał gospodarza za kamizelę.

- Migiem wezwij cyrulika, babkę, kogo tylko tu macie, jeśli nie -

wyślij na ilu trzeba koniach gońca... I tak go wyślij, zresztą. No?

Karczmarz bezwładnie majtał się w rękach Cadrona, wymamrotał coś.

Szarpnięty mocniej, odzyskał zdolność mówienia i myślenia.

- Już, panie. Wysyłam... - nerwowo pokręcił głową, znalazł spojrzeniem

chłopaka. - Sweryn, migiem po Kajtysa! Już!!! - ryknął. Cadron puścił karczmarza.

- Drugiego chłopaka poślij po najlepszego w okolicy medyka.

- To właśnie ten, panie.

- To po drugiego najlepszego. Szybko! - Odsunął się od machającego

rękami na drugiego chłopca gospodarza, rozejrzał po
śmiertelnie cichej
izbie. Siedzieli tu już tylko same miejscowe gołodupki. -
Ludzie,
wychodził kto tędy, wybiegał?
Niemal jednocześnie i zgodnie pokręcili głowami. Jeden
podniósł rękę i
wskazując jedną ze ścian otworzył usta, Cadron zrozumiał,
że chce pokazać
korytarz, którym on sam tu przybiegł i który prowadził
dalej na podwórze.
Rzucił się tam, ale uznał, że zemsta poczeka. Runął do
innych drzwi,
krzyknąwszy tylko do karczmarza: "Lodu i wody, i
szarpie! Pośpiesz się,
człowieku!". Wbiegł na górę, rzucił się do pokoju.
Hondelyk leżał w
identycznej jak go zostawił pozycji. Cadron zbliżył się do
łóżka i zamarł
w bezruchu. Maską Skonu, jak ocenił, nie rysowała się
wyraźniej, ale
zdawał sobie sprawę, że wyraźniej rysować się mogła już
chyba tylko na
twarzach nieboszczyków. Stał nieruchomo, choć w duszy
szalała burza. Nie
wiedział jak może pomóc przyjacielowi, nie wiedział czy
wysłać pogoń za
Malonem, bo w to, że jego to robota, nie wątpił już, czy
ułożyć Hondelyka
na boku, czy podnieść i oprzeć o poduszki... Przynął
sobie nogą zydel i
usiadł przy łóżku. Dłoń rannego była lodowato zimna,
palce zgrabiały i

sztynne, powieki posiniały, nie było wątpliwości - Skon pochylił się nad

Hondelykiem, chuchał nań swym zimnym oddechem, wyciągał szponowate dłonie,

z których kapały krople czerni i jakby zbierały się w otoczonych czarno -

sinymi obwódkami oczodołach..

- Proszę... - szepnął Cadron.

Gdyby ktoś odważył się wejść w tej chwili do izby, nie wiedziałby, do

kogo kierowana jest ta prośba - do Hondelyka, by nie umierał, czy do

Mistrza Skonu, by nie zabierał jeszcze przyjaciela, ale jedyną osobą,

która miała zamiar tam wejść i zrezygnowała od progu, wycofała się i na

palcach, krzywiąc się, marszcząc czoło i zagryzając wargi pokonała schody

z powrotem, był gospodarz. Na dole odetchnął i zaraz mocno zaczerpnął

powietrza widząc wbiegającego do izby chudego mężczyznę z kuferkiem po

pachą.

- Tam! - wskazał schody i ruchem głowy nakazał Swerynowi, by

towarzyszył medykowi.

Pobiegli obaj do góry. Karczmarz złapał się za włosy na czubku głowy i

szarpnął kilka razy na boki. Czuł, bał się tego, że dzisiejszy wypadek

jakoś źle odbije się na jego losach. Wszedł do kuchni, gdzie natrafił na

zaniepokojone spojrzenie żony. Nie odezwała się, ale nie musiała.

- Albo - powiedział z goryczą - mnie posieczę towarzysz tego zabitego,

albo on wyzdrowieje i sam mnie obedrze ze skóry.

- Zabity wyzdrowieje? - zapytała kobieta unosząc do szeroko

otwierających się ust zapaskę. Wytrzeszczone oczy wyglądały jak dwa

przekrojone jaja z brązowymi ze starości żółtkami.

- Milcz, durna pindo! Jeszcze dycha, ale czarny welon nad nim się giba

- westchnął głęboko. - A jak nawet nic mi nie zrobią, to i tak gadanie się

poniesie, że nie jest tu bezpiecznie, że byle ciul może gościowi wbić

szykanę pod żebro... Och, ty życie!.. - Podeszedł do kredensery, wyjął

tajemną kamionkową butelkę z równie sekretną co do treści nalewką i nie

bawiąc się w szukanie koneszki pociągnął z dzioba.

- A ty byś tylko... - zaczęła kobieta, nie rozumiejąc, że choć, jak

dotychczas, nie miała żadnego wpływu na bieg wydarzeń, to za chwilę

właśnie ona oberwie pięścią, jakby była wszystkiemu winna.

- Zamknij dziób, bo zabiję! - ryknął karczmarz, odrywając butelkę z

lekarstwem od ust. Schował naczynie do kredesery i pognął na górę.

Medyk kończył zawijanie piersi rannego czwartą wstęgą bandaża,

prześląkłe krwią strzępy koszuli leżały na podłodze.
Gospodarz na palcach
zbliżył się i ostrym gestem pokazał Swerynowi, co ma
robić. Sam przybrał
odpowiedni wyraz twarzy, współczujący, poważny i
odpowiedzialny, podszedł
do stojącego z zaciśniętymi pięściami drugiego z gości.
- Gońcy jeszcze nie wrócili - wyszeptał. - Nie mogli
jeszcze wrócić ze
wsi leżącej o cztery likry. - Może Babayagr by pomógł?
Żeby tylko chciał
przyjść. - I sam sobie odpowiedział: - Nie będzie, zaraza,
chciał. A jak
nie będzie chciał, to nawet go nie zobaczysz...
Kajtys prychnął pogardliwie, zamocował koniec wstęgi
i podniósł się z
wysiłkiem. Popatrzył na swoje zakrwawione ręce, Sweryn
migiem skoczył do
misy, nalał wody i podał naczynie medykowi. Ten w
zupełnej ciszy opłukał
ręce, podniósł wzrok na Cadrona, czekał na pytania. Miał
chudą, drapieżną
twarz, z wąskim, ostrym nosem, oblicze raczej wzbudzało
lęk niż zaufanie,
ale Cadron pamiętał, że Hondelyk powiedział kiedyś o
innym, garbatym
medyku: "Jeśli z taką posturą może uprawiać ten fach nie
oskarżany o
czary, to być musi naprawdę dobrym fachurą". To samo
tyczyło Kajtysa.
Medyk nie wytrzymał uporczywego spojrzenia Cadrona,
nerwowo blizał wargi.

- Ciężko z nim, panie. Gdybym mógł dokładniej zbadać okazałoby się, że

klina otarła się o serce, może nawet zadrasnęła je... Nie mogę jednak

badać, bo każdy ruch może napiąć tę nadwyreżoną ściankę, wtedy pęknie i krew buchnie do...

- Wiem - przerwał Cadron, widząc, że medyk najwyraźniej rozpędza się i

zaraz zabierze się do szczegółowego opisu. - A możesz powiedzieć coś mniej

przykrego?

Kajtys zastanawiał się chwilę.

- Żyje.

Słuchający z napiętą uwagą karczmarz kwaknął, wystraszył się, niemal

podskoczył w miejscu, poruszył dużymi stopami, przestąpił z nogi na nogę i

- nie znajdując innego wyjścia - wytrzeszczył oczy na Sweryna i wściekłą

miną usiłował wygnać go z pokoju.

- Poczekaj - mruknął Cadron do chłopaka. Położył rękę na ramieniu

Kajtysa. - Mistrzu - powiedział. Trochę oliwy na duszę nie zaszkodzi,

pomyślał. - Zapłacę, ile chcesz - masz tu siedzieć dzień i noc, mów czego

chcesz i jak to załatwić. Słowem...

- To moje powołanie, panie - powiedział medyk. W jego tonie słyhać

było - Cadron, nawet przytłoczony nieszczęściem, usłyszał to bez wysiłku -

oburzenie. - Pobieram opłaty, bo muszę z czegoś żyć, ale przede wszystkim

muszę pomagać cierpiącym. - Zasapał poirytowany. - Na razie mam wszystko,

co mi potrzebne, ale dobrze by było wysłać kogoś po czerwony kuferek

stojący na półce obok drzwi.

Karczmarz znalazł wreszcie okazję, by wyjść z izby, nie wzbudzając

zainteresowania. Mruknął, że on to załatwi, i pognął na dół. Zostali w

pokoju we czwórkę - ranny Hondelyk, Cadron, Kajtys i Sweryn.

- Chłopak ci się przyda, mistrzu?

Teraz to "mistrzu" nie służyło niczemu innemu, jak wyrażeniu szczerego

szacunku. Medyk przyjął to bez zmrużenia oka, rozejrzał się po izbie.

- Chcesz tu spać, panie? Będzie zimno - ostrzegł widząc, jak Cadron

kiwa głową. - Muszę obniżyć ciepłotę ciała twego przyjaciela.

- Nie szkodzi. - Cadron zrozumiał, o co chodzi medykowi. Trącił ramię

chłopaka, który, jeśli nie rozmawiał i nie był strofowany przez

karczmarza, nie odrywał wzroku od nieruchomego Hondelyka. - Przynieście tu

dwa łoża i dużo okryć. Nie mówcie, że nie ma: spalę tę gospodę jeśli będę

zły. Goń! - popchnął chłopca, bo mimo groźby ten jakby nie zamierzał

ruszać.

Zostali sami, medyk, Cadron i ranny. Pierwszy uznał, że
czas rozmów
się skończył, lekko skinął głową i wrócił do łoża. Najpierw
położył dłoń
na czole Hondelyka i wzniosł oczy do góry. Potem
umoczył kawałek
ściereczki w wodzie i położył na czole rannego,
zastanawiał się chwilę, aż
przypomniał sobie - podszedł do okna i pomocowawszy
się chwilę wypchnął na
zewnątrz skrzydło. Zaskrzypiało, wahało się i zamarło
polewane obfitymi
strugami niesłabnącego deszczu. Cadron podszedł do
przyjaciela, delikatnie
wytarł palcem kącik oka, gdzie zebrało się kilka kropel
wody spłynąwszy z
czoła. Wiedział, że jest zdolny do działania tylko dlatego,
że po prostu
odrzucił od siebie myśl o możliwości śmierci druha; jeśli
podsuwała się
taka czarna obawa - natychmiast stawiał przed nią wysoką
zapórę innych
myśli, choćby najbliższych, na przykład o konieczności
oprowadzenia koni,
nawet w deszczu, kupienia waksy, ale koniecznie dobrego
sortu, bo ta
tańsza wysycha, odpada płatami, potem uprzęż wygląda
jakby nabawiła się
łuszczycy. Poza tym trzeba sprawdzić... Trzeba
sprawdzić... Bogowie, on
nie może umrzeć! Nie tak głupio: pijany zakłamanym żołdak
i przy wychodku?!
Dajcież mu przynajmniej godne zejście...

- Panie... - Medyk musiał któryś już raz nagabywać
Cadrona, bo w końcu
zdecydował się pociągnąć go za rękaw. - Pa... - Zobaczył,
że zapytywany
wrócił do izby, puścił rękaw. - Panie, przyjaciel cię woła.
Cadron runął na kolana, przysunął twarz do twarzy
druha. Szare wargi
drgnęły i uleciało z nich tchnienie dźwięku.
- Nic nie mów - pośpiesznie rzucił Cadron w ucho
Hondelyka. Czuł, że
serce łomocze mu jak oszalałe, z jednej strony - bo
przyjaciel żył, z
drugiej strony - ze strachu, że wysiłek go zmęczy. - Jestem
i będę przy
tobie...
Powieki drgnęły, na króciutką chwilę uniosły się,
błysnęły mętne żółte
białka oczu. Wargi poruszyły się, głos był wyraźniejszy:
- Kto... to... był?..
Cadron zaskoczony milczał chwilę.
- Lepiej mu powiedz! - zaszeptał nerwowo medyk. -
Niech nie mówi!..
- To był Malon, ten żołnierz, którego zrugaleś. Potem
go dogonię, na
razie leż i nabieraj... Co?
- Gdzie?..
- W pierś... Ale leż i nie gadaj, rana jest ciężka...
Hondelyk znieruchomiał. Cadron rzucił bezradne
spojrzenie na medyka,
ten objął dłonią szyję leżącego, długą, nieznośnie długą
chwilę szukał
tętna i w końcu z widoczną ulgą skinął głową. Odetchnął
przez szeroko

otwarte usta. Wstał.

- Najlepiej żeby się nie odzywał - mruknął. - O włos od serca...

Pokręcił głową i podreptał do stołu, do swojego kufereka i tobołków,

które z niego wyjął. Zielony ten kuferek, zauważył Cadron i nagle

uświadomił sobie, co powiedział medyk.

- Coś rzekł, powtórz? - zapytał cicho podchodząc na palcach do stołu.

- Ja? - zapytał Kajtys grzebiąc w zawiniątkach i najwyraźniej daleki

myślami od pytania.

- Ty, ty!

- Ja - a... Ja rzekłem, że ostrze przeszło o włos od serca, może nawet

o pół grubości włosa...

- Dobrze, przestań już to powtarzać! - Cadron wiedział, że strofuje

Kajtysa, bojąc się, że Mistrz Skonu usłyszy, jak cienka granica dzieli

Hondelyka od Włości Ponurych. Żeby nie pomyślał: "Tak cienka, że aż jej

nie widać. Skoro tak?.."

- Panie, to nie ja się tu wezwałem! - warknął medyk odwracając się do

Cadrona. Ten ze zdziwieniem zrozumiał, że hardość medyka jest wrodzona, i

nie wynika z chłodnego szacunku swej mocy w tej chwili i w tym miejscu. -

Nie sądzę, byś miał dla mnie jakieś cenne rady, więc najlepiej by było, gdybyś...

- Przepraszam. Już będę milczał, ale z izby nie wyjdę. -
Rozłożył

ręce, ale zaraz je złożył i potrząsnął wyprostowanymi na kształt grotu

oszczepu dłońmi. - Zgadza się - jesteś tu najważniejszy. Dobrze?

Medyk sapał jeszcze chwilę, ale udobruchany poważną miną Cadrona

skinął w końcu głową, jego ręce wróciły do grzebania w zawiniątkach,

pudełeczkach i zwojach, ale oczy albo zwracały się do sufitu, gdzie

szukały natchnienia, albo uspokojenia, albo na rannego i każdym razem z

ulgą odnotowywały - żyje! Cadron dużym łukiem obszedł stół i Kajtysa,

zbliżył się do bagaży, bezmyślnie przerzucił kilka sakw.

Gonić drania czy poczekać, zastanawiał się. Jeśli zdecyduję czekać, to

i tak, zanim zdrowie pozwoli... Teraz? Teraz! - zdecydował nagle. Gdy

znalazł cel działania ręce zaczęły sprawnie przebierać w manelach.

Własnego pasa z mieczem nie musiał szukać - broń zawsze mieli w pogotowiu,

wyszarpnął tylko grubą pelerynę, chwycił miecz i sztylet wypadł z izby. Na

korytarzu natknął się na wspinającego się pośpiesznie po schodach

przemokniętego na wskroś Sweryna z połyskującym wilgocią czerwonym kufrem

w ręku. Odsunął mu się z drogi, mruknął: "Zgłoś się później do mnie po

zapłatę". Ruszył skokami w dół, gdy tylko na schodach
zrobiło się miejsce,

ale zaraz znowu się wstrzymał - na górę biegł drugi
chłopak.

- Babayagra ni ma! - wyrzucił z siebie wytrzeszczając
oczy.

- Z - z - zaraza... Gdzie ona mieszka?

- A hen pode lasem! Ło tam! - starannie wskazał ścianę
po swojej lewej
ręce.

- Konia mi daj! Tego siwego wałacha.

Chłopak rzucił się w dół, za nim wznowił skoki po
półmrocznych

schodach Cadron. Na dole czekając na chłopaka wypytał
miejscowych dokąd

pojechali lub dokąd mogli pojechać żołnierze. Zdania były
podzielone:

"Tam. Abo tam, panie". Podziękował kierowany jednak
tylko zdrowym

rozsądkiem, a nie rzeczywistą wdzięcznością, z ulgą
wypadł na zewnątrz,

zarzucił na głowę kaptur, ale niemal natychmiast złośliwy
podmuch wiatru

zrzucił go na plecy. Zaklął pod nosem nie przerywając
truchtu do Gabera.

Wskoczył w siodło, wyprowadził konia na drogę. Ze stajni
odezwał się,

zdziwiony rzadką za swej pamięci samotnością, Pok, ogier
Hondelyka.

Droga rozmięła i Cadron nie poganiał wierzchowca,
wiedział, że mądre
zwierzę samo rozpozna szlak i oceni jak stawiać kroki,
chwilę później
jednak trącił boki wierzchowca piętami, Gaber prychnął,
ironicznie jak się
wydało jeźdźcowi, przyspieszył jednak, przeszedł w kłus,
potem sam, nie
ponaglany, wyciągnął krok, a na pierwszą
wyartykułowaną pretensję rzucił
się w galop. Cadron wykoncypował sobie, że jeśli zbój
będzie uciekał, to
raczej postara się jak najwcześniej zejść z oczu nawet
miejscowym, dlatego
wybierze drogę, która prowadziła od karczmy na szlak, a
nie do wsi. Deszcz
gnany silnym wiatrem walił w plecy jeźdźca, i ten
kierunek ulewy cieszył
ścigającego - gdyby było odwrotnie musiałby galopować z
zamkniętymi
oczyma, z ustami i nosem zalewanymi strugami wody. Ni
stąd ni zowąd
przypomniał sobie, jak kiedyś dwaj zbójce, jadący po obu
stronach
rzeczutki, wlekli go, związanego niczym wędzony boczek,
pod prąd strugi.
Gdyby nie strzała Karchyza Zowatego i dwie inne, jego
towarzyszy, pewnie

pogłębiłby nosem koryto potoku, a potem własnymi trzewiami nakarmił raki.

Utrzymując równy galop odrzucił połę peleryny, bo nasiąkła wodą,

opadła i oblepiła nogi i broń.

- Gaberku! Dawaj! - krzyknął. Koń zastrzygł uszami, przyspieszył

jeszcze, choć kopyta grzęzły w błocie. - Ja ci, kurwisynu, dam - wyrzucił

z siebie po kilkunastu krokach Cadron nie do konia już, a do własnych

myśli kierując te słowa.

Droga leniwie zakrecała biegnąc wątlym parowem między również

nieznacznymi, rozległymi wzgórzami. W obniżeniu terenu błoto sięgało

niemal końskiej pięty, Gaber zaczął chrypieć; Cadron zrozumiał, że nie

zwojuje wiele tu, na cmokającej drodze. Postanowił porzucić szlak i pognać

na skróty, polami, i - w sumie - twardszymi gruntami. Zapłacę, pomyślał,

chłopom za stra... Co to?

Uciekający wpadli w tym samym miejscu na taki sam pomysł - na stoku

pagóra pojawiły się rozmyte ślady kilku koni, ich kopyta zapadały się w

rozmiękłe grzbiety pagórów głęboko i tylko dlatego deszcz nie zamaskował

tropów. Zresztą uciekający nie dbali specjalnie o sekret - ze szczytu

wzgórza zobaczył, że w połowie następnego zbocza leżał rozrzuciwszy ręce

na boki Malon. Cadron zwolnił, otarł wodę z czoła, brwi,
przejechał

ramieniem po nosie i ustach. Gaber parsknął.

- Cii! Nie będziesz się dłużej męczył - poklepał go po
szyi człowiek.

Podjechali jeszcze bliżej. Teraz widać było dokładnie
skąd wypływa

krew barwiąca spływającą z ciała wodę. W piersi leżącego
rodził się

purpurowy strumyk, mieszał z uderzającymi w ciało
kroplami i rozwodniony,

blednący w miarę oddalania się od rany, spływał na
ziemię, gdzie już tylko

wprawne oko znalazłoby jego ślad. Koń parsknął, ale nie
był zaniepokojony

- zbyt wielu widział już zmarłych, kilku napastników sam
wysłał do Włości

Ponurych. Cadron ściągnął wodze.

- Kompani pozbyli się kłopotu - mruknął do Gabera. -
Albo się bali

pościgu, albo uznali, że z takim wykrota nie będą się
wodzić.

Gdy gnał po błocie, gdy przed oczy nachodziła blada
maska twarzy

przyjaciela wiedział, że zgnoi Malona, że nie będzie takiej
kary, takiego

podłego uderzenia, których nie wykorzysta dla zemsty na
nikczemnym

żołnierzu. Teraz przyglądał się chwilę ciału, ale nie
przyszło mu do

głowy, żeby przynajmniej splunąć w ziemię - Malon
należał już do Mistrza

Skonu, tego samego, który ważył duszę Hondelyka.
Ostatnim spojrzeniem
musnął powłokę Malona, na poruszenie wodzy Gaber
ostrożnie wycofał się,
skoczył bokiem i poczuwszy lekki ucisk łydek jeźdźca
pokiwał potakująco
głową i ruszył stępą z powrotem. Cadron ponaglił konia,
na rozkisiej
drodze przeszli znowu w galop, coraz to szybszy w miarę
oddalania się od
ciała i zbliżania do wsi, w miarę oddalania od ważnej
sprawy i zbliżania
do tej ważniejszej. Koń gnał w gęstym deszczu, parskając
co kilka kroków.
Człowiek prychał co dwa oddechy, wymrukiwał akieś
łagodne przekleństwa pod
adresem miejscowych bożków pogody.
Wracał pod karczmę dwa razy dłużej niż się od niej
oddalał. Pod samym
budynkiem pomyślał sobie, że lepiej już będzie od razu
pojechać na
poszukiwanie tej jakiejś babki Yargi, niż za jakiś czas
znowu wystawiać
się na słotę, zimno, wiatr. Przypomniawszy sobie jak stał
chłopak pokazując
kierunek, zrezygnował jednak, wrócił na podwórze i
wypytał go jeszcze raz,
bo akurat ten sam pojawił się słysząc kołatanie w drzwi.
Zgodnie ze wskazówkami posuwał się przez wieś,
potem wjechał między
dwa obejścia, obszczeły go niemrawo, nawet nie
wystawiając nosa z bud,

dwa burasy. "A tylko mi wyjdźcie!" zagroził i psy nie zaryzykowały,
zostały w budach. Potem skończyły się sady, ogrody i szopy. Pola z
kapustą, motrelą, burakami i seprasenką cierpliwie mokły, ścierniska z
rezygnacją nasiąkały wodą. Pod lasem, chyba dlatego że teren trochę się
wznosił, było suszej, nie czuło się wiatru, a nawet można było poczuć
słabe zapachy dymów z chat. Zaś trochę dalej, w niecce, o dziwo zupełnie
na oko suchej, stała drewniana chata z dziwacznym kurnikiem czy
gołębnikiem z boku - na grubym mocnym pniu, z rozcapierzonymi na wszystkie
strony garbami korzeni, zamocowana była pomniejszona kopia właściwej chaty
stojącej obok. Komuś chciało się nawet zrobić okiennice, które pewnie
niczego nie zasłaniały, i komin na pochyłym dwuspadowym dachu. Pień, z
kolistą naroślą w połowie długości był podobny z pewnej odległości do
kurzej stopy, ze szponami zagrzebanymi w ziemi i gruzłowatym kolanem. Pod
domem Cadron zeskoczył z konia i przerzuciwszy wodze przez szyję Gabera
podszedł do drzwi i zapukał. Najpierw zrobił to delikatnie, demonstrując
szacunek, po chwili czekania na deszczu - mocniej. Potem załomotał z

uczuciem, dodając wołanie, ale chata została zimna, pusta, milcząca. Coś

natomiast poruszyło się w ptaszniku na kurzej stopie.

- Potrzebuję pomocy, dobrze zapłacę! - wrzasnął Cadron odsunawszy się

o dwa kroki, żeby głos dotarł do całego domu. I okolicy. - Potrzebni

jesteście w karczmie. Jeszcze raz mówię - dobrze zapłacę.

Coś znowu poruszyło się w domku i zachichotało, a człowiek poczuł

wyraźne ciarki na plecach, i zaczęło mu się wydawać, że spływająca za

kołnierz woda aż musi się na nich pieniść. Odczekał chwilę, przełknął z

wysiłkiem gulę, nie wiadomo kiedy i jak spęczniała w gardle, i, starając

się nie okazywać strachu, ale też nie odwracając plecami do obu chat,

przysunął do nerwowo przestępującego z nogi na nogę Gabera i wskoczył w

siodło. Chwilę potem i on i wierzchowiec uznali, że krótki galop będzie

bardzo na miejscu, migiem znaleźli się pod karczmą. Cadron spędził chwilę

w stajni uspokajając wierzchowca, ale w końcu, gdy przybiegł zdyszany

gamonioваты chłopak, nie miał już powodu by zwlekać z pójściem na górę.

Bał się wejść do izby, bał się, że napotka pełne winy spojrzenie medyka,

bał się Maski na obliczu przyjaciela, Maski, która była podobno za każdym

razem jednym z niezliczonych odbić prawdziwego oblicza Mistrza Skonu.

Wdrapał się na schody czując, że każdy ze stopni wysysa z niego masę

energii, w końcu był na górze i nie miał innego wyjścia jak skierować swe

kroki do izby.

Przed drzwiami odetchnął i wszedł.

Kajtys zerknął nań przelotnie, ale nie skwitował poza tym nawet słowem

jego obecności. Wydawał się całkowicie pochłonięty, i to bardzo ucieszyło

Cadrona, wsłuchiwanym w wąły oddech Hondelyka. Cadron strzepnął

spływające z rękawów krople wody. Medyk zerknął zezem.

- Utrapienie z tą wodą - zagadał szeptem Cadron.

- Ciężar - mruknął Kajtys.

- Ciężar?

- Jej ciężar sprawia, że spływa w dół, do ziemi, która przyciąga

wszystko, co ma ciężar - wyjaśnił nie odrywając wzroku od Hondelyka.

- A co niby nie ma ciężaru? Poza powietrzem?

- Powietrze akurat ma ciężar, inaczej odleciałoby ku gwiazdom. Ale

masz rację - inne gazy...

- Zajmij się rannym! - syknął Cadron. - Nie interesują mnie twoje

dywagacje o powietrzu i jego wadze.

- Zajmuję się cały czas - obraził się uczony. - Moje dywagacje mu nie

szkodzą. Zupełnie.

Cadronem wstrząsnął dreszcz. Zrzucił z pleców
przemoczoną kurtę, potem
machnął ręką i zrzucił z siebie całe odzienie; nagi podszedł
do sakw i
wyjął dla siebie suche ubranie. Wytarł się kawałkiem
lnianej szarfy,
poparskując ubrał się i podszedł do płonącego niemrawo
ognia. Okno wciąż
było otwarte, ale tu ziąb nie był tak dokuczliwy jak na
dole, a zwłaszcza
w strugach deszczu.

- Nie może tu być cieplej - mruknął urażony Kajtys
uprzedzając
ewentualne pretensje.

- Wcale nic nie mówię, mistrzu. - Cadron poczuł, że
stosunki z

medykem się popsuły, sklął siebie w duchu za głupie
gadanie. - Jeślim

uraził cię czymś, to wybacz. Jestem rozdygotany... Tym
wszystkim - powiódł

ręką dokoła. Westchnął. - Plotę co mi ślina przyniesie na
język...

- Nie jestem urażony. - Dłoń konowała spoczywała
chwilę na czole

Hondelyka. Kajtys poruszył się, poszukał w rozłożonych
na stole rzeczach,

wyłowił gliniany flakonik. Rozejrzał się po pokoju,
wskazał brodą

szklanicę na kominku. Cadron podskoczył z nią do stołu,
Kajtys wkropił do

wody trochę aromatycznej cieczy, zabełtał. Ze stołu wziął
miedzianą rurkę,

włożył ją głęboko w płyn, zatkał szczelnie wystający
koniec miękką częścią
opuszki kciuka i przeniósłszy rurkę nad brzegiem
przytknął jej koniec do
warg Hondelyka, rozchylił je i odsunął kciuk od górnej
krawędzi; Cadron
zobaczył jak wypełniająca rurkę ciecz spłynęła do ust
rannego. Przez
chwilę połyskiwała między rozchylonymi wargami, potem
jakby wsiąkała. Nie,
to niemożliwe, pomyślał Cadron, by umarł. Tyle razy
wywijał się Mistrzowi
z rąk, musi mieć zaskarbioną jego przychylność, może
więc?.. Bo przecież
nie teraz, nie tu, nie tak... Poczuł falę gorąca uderzającą do
głowy,
myśli zakotłowały się w ponurym splocie. Błada twarz
przyjaciela z
wyostrzonymi rysami stała przed oczami gdziekolwiek
zwrócił oczy, okręcił
się na pięcie i wyszedł na korytarz, gdzie postać chwilę
wpatrując tępo w
ciągle otwarte drzwi do feralnej komórki, pozwolił leniwie
przebiec przez
głowę myśli: "Gdyby poszedł do wygodki na podwórzu?.."
Zmusił się do kilku
wolnych kroków, podszedł do drzwi i chwyciwszy je, z
całej siły ręki,
wspomaganej półobrotem ciała, zatrzasnął, mając
nadzieję, że ten huk
obudzi go z koszmarne go snu, w którym przyjaciel leży na
szali Mistrza

Skonu, a ten potężny władca czubkiem palca kołysze szale wagi

niezdecydowany, w którą stronę je przechylić. Hałas ustał, a on nadal stał

na korytarzu karczmy, przed zadziwiającym pomysłem miejscowych

budowniczych. Zgrzytnął zębami i pomaszerował na dół omijając drzwi do

swojej izby. Kajtys nawet nie wyjrzał na korytarz i to spodobało się

Cadronowi. Na dole poszedł do kuchni, zażądał od żony karczmarza butelki

najlepszego wina i powiadomienia Kajtysa, że znajduje się w stajni, po

czym wyskoczył na deszcz i przebiegł kilkanaście kroków dzielących go od

uchylonych drzwi stajni. Postanowił zrugać gospodarza, za złe pilnowanie

koni, ale zaraz po wejściu okazało się, że drzwi zostawił otwarte Sweryn,

spłoszony, z widłami w ręku, podrzucający Gaberowi siano na podściółkę.

Musiał dopiero co zacząć, bo dopiero jedna kępa ułożyła się obok nóg

konia.

- Zostaw to i uciekaj! - polecił Cadron. - Gdyby mnie szukał medyk to

tu będę. - A gdy chłopak dziwnie niechętnie ruszył do drzwi rzucił: - Hej,

stój! Co to za Babayagr? Znachor?

Chłopak wolno pokręcił głową: - Nie - e! - powiedział z przekonaniem.

- Wiedziem. Wiele może, ale prawie nigdy nie chce. A jak nie chce, to go ni ma.

- Nie chce mu się chcieć... - mruknął Cadron. Opadło go znowu

zniechęcenie, które na chwilę uleciało. Machnął ręką z butelką. - Dobra, idź.

- Może, panie, zaprowadzę was do komory? - gorączkowo zamamrotał

młodziak zamiast spełnić polecenie. - Tam można i się położyć i nawet...

- Won! - ryknął wściekły Cadron. - Bo zaćwiczę!

Młodzieniec zniknął z widoku jak zdmuchnięty płomyk świecy. Cadron

ułożył szyjkę flaszki w lewej dłoni, huknął nasadą prawej w denko, lak

prysł, korek z lekkim puknięciem wypadł i zginął w leżącej na ziemi

słomie; przytknąwszy szyjkę do ust zaczął zachłannie pić. Jego wzrok

powędrował do góry w bezgłośnym pozdrowieniu winnych bogów. Na poprzecznej

belce, o kawałek od drabiny i sterty słomy siedziała nieruchomo

wystraszona dziewczyna. Cadron omal się nie zakrztusił, dziewczyna

chlipnęła, ale jej płacz zagłuszyło kaszlanie mężczyzny.

- Ż - żeby cię!.. Co tam robisz?

Natychmiast zawstydził się własnej głupoty. Otarł rękawem usta,

machnął ręką.

- Skacz i zmykaj - poleciał.

Natychmiast wykonała polecenie, opadając w dół przytrzymała spódnicę rękami, ale i tak ujawniła, że albo nie nosi bielizny, albo już zdążyła się jej pozbyć przed karesami ze Swerynem. Przysiadła na klepisku, z dołu zerknęła na Cadrona i już nie zwlekając czmychnęła ze stajni. Mężczyzna kaszlnął jeszcze raz, częściowo tylko z powodu darcia w gardle, częściowo, bo musiał się pozbyć niezręcznego uczucia wstydu z powodu własnej tępoty. Łyknął znowu wina, podszedł do koni i sumiennie sprawdził obrok, potem ułożył między końmi małą stertę słomy, ułożył się na niej i przy akompaniamencie chrzęstu siana i owsy, pobrzękiwania kółek ogłowia i stukotu kopyt spijał słodkie wino czekając na umór i bojąc się, że wcześniej przyjdzie wiadomość od Kajtysa. Raz drgnął, gdy Pok uniósł głowę i przeciągle zarżał. Człowiek wsłuchał się w rzenie i raptownie podjąwszy decyzję poderwał się i odstawił wypitą tylko do połowy butelkę wina na krawędź żłobu. Poklepał oba wierzchowce po szyjach. - Masz rację - przyznał Pokowi. - Nie tu powinienem być. Ale zwlekał jeszcze chwilę, przesiał przez palce ziarno owsy, klepnął w blok słomy, żeby sprawdzić czy i jaki wznosi się kurz, w końcu nie miał

już powodu do pozostania w stajni. Wyszedł przez drzwi,
przystanął pod
daszkiem, oszacował deszcz, a widząc, że leje z uporem
przemknął przez
podwórko, wpadł w korytarz, strząsnął krople z włosów i
dłoni. Na górze
spotkał się z badawczym spojrzeniem łapiducha, ale nie
odezwali się do
siebie. Cadron na palcach podszedł do łóżka. W twarzy
przyjaciela,
ułożeniu rąk i całego ciała nic się nie zmieniło. Mistrz
Skon nie odsunął
się od łoża, ale też nie położył swej lodowatej dłoni na
czole rannego.

Cadron westchnął.

- Przy takich ranach każda chwila działa na korzyść
rannego - oznajmił
cicho Kajtys. - Ścianki rany zasklepiają się...

Nie patrzył na Cadrona, więc nie widział zdziwienia na
jego twarzy,
ani radości, ale nagle, wykazując się znakomitą
znajomością ludzkiej duszy
uzupełnił:

- Ale nie ciesz się, panie. Wszystko w ręku
największego medyka...

W komnacie zapanowała cisza. Dopiero teraz Cadron
zauważył, że okno
jest już zamknięte. Przetarł ramiona, przysunął do łóżka
krzesło, ale
wrócił spojrzeniem do okna, wisiało obok niego na
wystającym kołku drogie
jak słynna ładacznicza futro.

- Okno zamknąłeś? - zapytał szeptem.

- Tak, przeziębienie byłoby straszne.
- Ale ciało powinno być w chłodzie? - upewnił się podnosząc z krzesła.

- Tak, ale to sprzeczność... - przerwał widząc jak Cadron biegnie do okna i przynosi, obmacawszy je przedtem sumienne, futro, nakrywa przyjaciela.

- To bradenswans - wyjaśnił.
- Aha - powiedział z szacunkiem Kajtys. Dotknął lekko niby - piór. -

Słyszałem tylko o tym, ale jeszcze nie miałem w ręku. - Pomilczał i dodał:

- Chłodne jest. Tak będzie dobrze.

Cadron sapnął zadowolony. Przynajmniej się na coś przyda, pomyślał.

Chwilę milczał, ale nie wytrzymał długo:

- Dlaczego nikt nie chce rozmawiać o tym waszym znachorze?

Odpowiedziało mu kose spojrzenie Kajtysa, ale konował nie odezwał się.

- Czy Babayagr wam zakazał? - nie ustawał pytający. Medyk cmoknął zniecierpliwiony.

- Nie. Ale to nie jest temat do zwyczajnej sobie rozmowy. Wiadomo o nim tyle ile on chce.

- Ale czy...

- Tu i teraz... - Kajtys odwrócił się do Cadrona i rzucił mu znaczące,

bardzo znaczące spojrzenie. - ... bym o nim w ogóle nie gadał!

Nie pozostało nic innego jak skinąć głową i odstąpić od tematu, więc

usiadł na przygotowanym krześle, poprawił się. Chwilę obserwował pełgający

plomyk świecy, jednej z sześciu stojących na półce nad wezłowiem. Poczul

się jakoś dziwnie - z jednej strony nie chciało mu się spać, ale przed

oczami popłynęły nagle jakieś mętne fale, jakby mniej przejrzystego

powietrza. Potrząsnął głową, wzrok odzyskał ostrość. Na wszelki wypadek

mocno przetarł oczy palcami, zerknął na Kajtysa.

Medyk z przekrzywioną głową wpatrywał się z napięciem w twarz

Hondelyka, zaczął wyciągać rękę, ale coś przerwało mu ruch. Cadron zamarł,

medyk poruszył się i ruchem ręki nakazał mu, żeby się pochylił.

- Woła cię - szepnął. - Doprawdy... Nie wiem co lepiej - nie odzywać

się, i czekać, że odstąpi, żeby się nie męczył, czy...

Odpowiedziało mu zaskoczone, zaniepokojone i niepewne spojrzenie. Po

chwili Cadron zdecydował się. Opadł na kolana i przysunął twarz do twarzy

przyjaciela. Spomiędzy szarych warg uleciał jakiś wątył jak skrzydło

młodego motyla dźwięk.

- Hondelyku, jestem tu, przy tobie - wykrztusił Cadron.

- Wiem... - doleciało z poruszających się tak nieznacznie, że tylko

bardzo uważne oko mogło to zauważyć, warg. - Widzę...
San...

Kątem oka zauważył, że Kajtys macha rękami z
wściekłym wyrazem twarzy.

- Hondelyku, nie mów nic. Słyszysz? Nic nie mów,
każdy ruch ci

szkodzi. Proszę cię. Milcz. Porozmawiamy...jutro...
Później...

- Sandia! - powiedział nagle wyraźnie i głośno
Hondelyk.

Cadron z rozpaczą popatrzył na medyka.

- Muszę... opowiedzie....

Obaj bezradnie wpatrywali się w leżącego na łożu
rannego.

- To go zabije! - syknął Kajtys. Rzucił się do swoich
maneli,

gwałtownie grzebiąc wyszukał znaną już Cadronowi rurkę
i dwie buteleczki.

- Zaraz - zz... Zaraz... - Szybko zmieszał coś i
przytrzymując drugą ręką

drżącą prawą wlał do ust Hondelyka jakąś ciecz.

Ranny drgnął. Z ust pociekła strużka ziołowego płynu,
w zapachu

którego rozpoznał wywar z opiatecznika, skuteczny na
sen, czasem wieczny.

Hondelykowi zabulgotało w gardle.

- Po... słuchaj...

- Proszę cię - zamilcz. Będę cię słuchał kiedy indziej, ile
zechcesz,

dzisiaj nie mów!

Usta Hondelyka drgnęły, ale uleciał z nich tylko wąty
pachnący

ziołami oddech. Jedna powieka na chwilę poderwała się do góry, błysnęło mętne białko.

Cadron odczekał chwilę, oderwał się od pościeli, sprawdził czy futro zachowuje chłód i ukontentowany odsunął się od łóżka. Odetchnął głęboko.

Przez chwilę milczeli obaj z napięciem wpatrując się w leżącego na łożu. W

końcu Kajtys pokiwał głową do własnych myśli, zajął się porządkowaniem

porozkładanych na całym stole przedmiotów. Cadron usiadł w fotelu czując

nagle falę znużenia w całym ciele. Niby dlaczego, pomyślał, jestem

zmęczony? Starzeję się czy jak? Trochę wina na dole i już? Acha, pościg za

tym łajdakiem... Ale i tak - niedobrze. Muszę się zdrzemnąć... Ziewnął

rozdzierająco, przeciągnął aż zatrzeszczały kości i zaskrzypiał fotel.

Medyk rzucił mu krótkie spojrzenie, nie odezwał się. Cadron splótł ręce na

brzuchu i ułożył brodę na piersi. Sen przemknął nad jego głową, poczuł

ciepłą ciemną pelerynę muskającą twarz, nawet nie próbował otworzyć oczu.

- Gregu - u - u - sie!.. - Głos matki, śpiewny ale mocny docierał

wszędzie. Dwie dziewczki rozprawiające zawzięcie przy płocie spłoszyły się i

pognały w różnych kierunkach, przy czym ta obca pochyliła się, żeby matka

jej nie zobaczyła, a Lonka, ruda, cyncata slucha, złośliwa i leniwa nad

wyraz, już po dwóch krokach zwolniła. Gregoryn nie znosił tej dziewczuchy,

zwłaszcza od chwili, gdy przyłapana na gzikach z Bocajanem, chwyciła rękę

Gregoryna, tę zdrową, i wsadziła ją sobie pod spódnicę. Było tam gorąco,

wilgotno, a na twarzy Lonki gościł złośliwy, wredny, jadowity uśmiezek.

- Jeśli coś powiesz matce albo komukolwiek, to ja powiem, że robiłeś

mi to palcami. Powąchaj - zostaje na długo!

Zaśmiała się jazgotliwie i zawirowawszy spódnicą, rozsiewając woń

bezwstydu, poszła do kuchni. Gregoryn został na progu komory oszołomiony,

złamany, zawstydzony. Powąchał palce i zwymiotował. Cały dzień spędził na

sianie na poddaszu stajni, dopiero pod wieczór odnalazła go zaniepokojona

matka przy pomocy chłopaków stajennych. Lonka pierwsza rzuciła się do

wycierania mu twarzy, ale robiła to tylko po to, by nachyliwszy się

szepnąć: - Och, ależ mocny ten zapach!

Chłopiec zaczął się krztusić, ale żołądek miał już pusty.
Matka to

widziała i dlatego wmusiła w niego dwa surowe jaja i
jeszcze dwa razy po

dwa, w miarę jak wymiotował, a potem wykapała i
Gregoryn spokojniejszy,

choć wciąż podejrzliwie obwąchujący dłoń położył się
spać. Kiedy w pokoju

został tylko jeden kaganek wszedł doń ojciec, postać
chwilę wpatrując w

zapuchniętą od płaczu i zmagających z żołądkiem twarz syna.
Potem westchnął i

wyszedł.

Matka później płakała, obudzony jej głosem chłopiec
usłyszał jak

wyrzuca ojcu, że martwi go, że syn wyzdrowiał, a
rozdrażniony ojciec na

to: "Tak, bo sukcesja przejdzie w ręce garbatego kulawego
suchawca!"

Gregoryn nie raz już słyszał takie rozmowy i zupełnie nie
przejmował się

nimi, jak gdyby dotyczyły nie jego, a kogoś innego, na
dodatek obcego.

Zasnął zapomniawszy o Lonce i kłótni rodziców. Dwa dni
czuł się źle i

wydawało mu się, że dziewczucha ciągle go szpieguje,
dopiero trzeciego dnia,

kiedy kilkadziesiąt razy wyszorował ręce piaskiem,
błotem, zmiażdżonymi

kłęczami tataraku i dał do powąchania Katu, a ten zupełnie
się nimi nie

zainteresował, uznał, że Lonka przesadziła z trwałością
zapachu swojej
piczki. Ale i tak unikał dziewczki, której i wcześniej nie
lubił, więc
przychodziło mu to z łatwością.

- Gregusie?

Matka zatrzymała się przed jego kryjówką,
przekrzywiła głowę jak

zawsze, kiedy coś ją, pozornie tylko, gniewało.

- Gregusie, synu Illemarsa, ile razy... - Jej spojrzenie
zaczepiło o

Kata, miał na czubku nosa zdradziecko powiewające
piórko. - Czy ten pies

nie może odczepić się od kur?!

- Oczywiście, że może. Dlatego tu jest. Już tu jest -
pozwolił sobie

na chichot - mama pewnie była w dobrym humorze, jak
zwykle, zresztą.

Przykucnęła i objęła chłopca. Przytuliła, a on nagle
uświadomił sobie,

że zapach matki - o, tak, ten nie zaginie nigdy, będzie
trwał w pamięci,

nie to, co takie durne wonie parzących się dziewczek. Matka
przytulała go

tak mocno, że poczuł to nawet w swojej uschłej, otepiałej
ręce. Poruszył

się, szarpnął, zaczął głośno protestować. W końcu Demai
niby puściła syna,

ale przytrzymała za ramiona, wpatrzyła się chciwie w jego
twarz.

- Płakałeś?

Skinął głową: - Tak, nad pogryzioną cebulą.

Pociągnął nosem, przetarł oczy rękawem przedramienia.
Demai

odetchnęła, ale zaraz chwyciła go za ucho i potarła bez przekonania.

- Janki znowu będzie miała powód do narzekania, wyjedliście pewnie jej pierwszą cebulę?

- Och, niecałą. - Z dołu popatrzył na matkę, musiała mieć coś ważnego

do przekazania, rzadko szukała syna w ciągu dnia. Kiedyś usłyszał, jak

mówiła do Wiatry, że umyślnie daje mu tyle swobody, by hartował i ćwiczył

całe ciało. Gregorin był więc pewien, że mógłby bezkarnie pohulać po

obejściu, ale nie robił tego wiedząc, na jakie wyrzuty naraziłby matkę. -

Mamo?

- Słucham? - Uciekła spojrzeniem od jego ciemnobrązowych oczu, ale

zaraz wróciła. - Och, dowiesz się później...

Nagle poderwała się i pobiegła do domu nic więcej nie wyjaśniając.

Chłopiec odprowadził ją wzrokiem, położył rękę na olbrzymim łbie psa,

który natychmiast skorzystał z okazji, by strącić ją ruchem głowy i

opadającą złapać w pysk, gdzie zaczął miętolić delikatnie zębami, którymi

miażdżył bez większego trudu wołowe gnaty.

- Kiedyś ci urwę ten twój ozór! - obiecał chłopiec i spróbował chwycić

śliski język, pies aż zaskowyczał ze szczęścia i ze
zwiększonym wigorem
zabrał się do wylizywania ręki pana. - Chodźmy do sadu,
może co już
pączkuje?

Przemierzyli podwórze, Gregoryn bacznie rozglądał się
dokoła, ale
nigdzie nie widział Sandii. Trudno, może matka ukarała ją
za szczypior,

którego objedli się jak młode głupie cielaki. Pokręcili się
przy

stajniach, obgłaskał po raz drugi tego dnia Lantara,
swojego kuca,

wygrzebał z kieszeni kawałek suchara i podzielił się
sprawiedliwie z

Perłą, a potem z nieodłącznym Katem u nogi przeszedł
obok psiarni, gdzie

kilkanaście gończych rzuciło się do drewnianej kraty.

- One obiecują, że jak cię trafią w polu, to z twojej
skóry nie zrobi

się nawet leżaczka na podłogę - przetłumaczył chłopiec
psu ujadanie

współplemieńców. Kat zerknął na niego z jęzorem
wywieszonym z paszczy i

młasnął. - Dobrze, powiem im - obiecał Gregoryn, już
prawie otworzył usta

chcąc przekazać gończym odpowiedź Kata, gdy zobaczył
siedzącą pod

rozłożystą, obsypaną żółtymi puszystymi "kotkami"
wierzba, Sandię. Ruszył

do przyjaciółki, zobaczyła go, ale wpatrywała się tylko
uważnie jak

kuśtyka, jej ręce sprawnie, w sposób, jaki zawsze
Gregoryna dziwił,
zaplatały z długich ciemnokasztanowych włosów dwa
warkocze, które potem
układały w jedno splatające się koło. - Sandia... - sapnął
wałąc się na
trawę.

- Sandia - Sandia! - przedrzeźniła go. - Nie zmieniłam
imienia od
wczoraj!

- A skąd mam o tym wiedzieć, skoro cię nie widziałem?

- Głupi!

- Mądrzejszego i tak tu nie ma.

- Jest Kat.

- Kat jest przyjacielem, dlatego ciągle udaje, że jest
głupszy.

Napięcie opadło, oboje poczuli, że znowu są
przyjaciółmi, a

wyjaśnienie przyczyn jej złego humoru Gregoryn zostawił
na inną okazję.

Uśmiechnęli się do siebie. Dziewczynka sięgnęła za plecy,
miała tam

schowane zawiniątko, wyjęła zeń cztery kawałki
suchodańca, wypieczonego na

kamień miodownika, z lukrowanym wierzchem
połupanym i popękany na kształt
nieregularnych kółek.

- Patrz, zupełnie jak to nasze błoto, gdy wyschło,
prawda?

- Wiesz co!?! - obruszyła się.

- Przepraszam, ale przecież podobno ciebie takie
gadanie nie dziwi?

Przypomniała sobie, że rzeczywiście tak mówiła: - Bo się do ciebie

przyzwyczaiałam. Masz, wybieraj.

Gregoryn błyskawicznie rozważył wszystkie warianty i wybrał największy

kawałek. Ugryzł. Sandia pokręciła w podziwie głową.

- No nie! - obruszyła się po najwyraźniej naśladowując kogoś dorosłego.

- Wziąć największy kawał, to trzeba być draniem!

- Ż - żywie czy szie... - wymamrotał z pełnymi ustami. - Jeden kawałek

- kh!.. - odkaszlnął - ...jest dla Kata, trzy dla nas. Jedno dostanie dwa,

drugie - jeden. - Przełknął do końca swoją porcję słodkiego suchara. -

Gdybym wziął najmniejszy chciałabyś mi to wynagrodzić i dałabyś drugi,

czyli miałbym więcej niż ty i to znacznie. A tak - ja mam największy, Kat

- średni, a ty najmniejsze, ale dwa. Wszystko sprawiedliwe.

Włożył do ust swój suchar i mocno zacisnąwszy na nim zęby przekręcił

kęs, cała głowa częściowa powtórzyła ruch, czoło zmarszczyło się w

wysiłku, w końcu suchar trzasnął i kolejny kawał zaczęły obrabiać mocne

białe zęby dziewięciolatka. Kat wpatrywał się w chłopca z rozdziawionym

pyskiem, w końcu kłapnął zębami i głośno przełknął ślinę.

- Och, co ja z wami mam!.. - naśladowując matkę powiedziała Sandia.

Westchnęła: - Masz i ty, boraku.

Podawała Katu jego kawałek, zniknął w paszczy, raz
chrumknęło. Psisko z
godnością majtnęło ogonem i położyło się udając, że nie
jest

zainteresowane dalszym podziałem smakołyka. Każdy
inny, pomyślał Gregory, n,
rzuciłby Katu ten kawałek, ale nie Sandia, nie, ona nie
rzuca ciasta

przyjaciołom. Chłopiec poczuł, że gdy tak o niej myśli
chce mu się płakać.

Odwrócił wzrok na podwórze, pomrukał, żeby spędzić
rosnące, wzbierające,
pęczniejące pod powiekami łzy. Któryś z chybasów ojca
podszedł do kraty

psiarni i zaznaczył moczem swoje terytorium, zaraz po
nim przyszły jeszcze
dwa; pod stajnią Zuze kopniakiem poczęstował
niemrawego parobka.

- Przyjechał bałagan, Bassomplery - powiedziała Sandia
nieco

niewyraźnie. - Mają niedźwiedzia, dwa! - poprawiła się. -
Rodzinę rysia,

ale tylko w klatce i jeszcze dwa takie dziwaczne lejenie - z
puchatymi
rogami.

- Jelenie - poprawił odruchowo. - A akrobaci są? -
Odwrócił się do

przyjaciółki, szybko dodał, żeby nie wyczuła pośpiechu w
jego głosie, gdy

pytał o akrobatów: - Skąd to wszystko wiesz, założę się, że
nawet Wiatra

nie wie jeszcze o nich tyle co ty?

- Wiatra zagrzebała się w kuchni - prychnęła dziewczyna. - Możemy pójść ich obejrzeć. Pytałam - starszy pozwolił przyjść na ćwiczenia, bylebyśmy nie opowiadali wszystkim. - Zawahała się. - To znaczy - powiedziałam, że dziedzic ma takie życzenie... - Słusznie - Pochwalił. Po chwili zapytał: - A skąd wiedziałaś, że będę chciał ich zobaczyć jak najprędzej? - Przecież tam jest ciągle ta mała Bassomplerka! - Uśmiechnęła się zjadliwie, nie odsłaniając zębów, mrużąc oczy i marszcząc czoło. - Pamiętam jak na nią patrzyłeś w zeszłym roku. Wyrosła - dodała. - Ale chuda nadal jak pasek tatki. Jest zazdrosna, pomyślał ze zdziwieniem i nagle zrodzoną radością. To miłe! - Wiesz, co w niej podziwiam - to, co wyrabia ze swoim ciałem - wyznał. Oboje poczuli się niezręcznie - on, bo przyznał się do tego, że interesuje się ciałem wędrowniej akrobatki, ona - ponieważ zrozumiała, że nie chodzi mu o ciało dziewczyny, tylko o swoje, kalekie, dalekie od tego doskonałego córki Bassomplera. Sandia wsunęła w dłoń chłopca drugi z przysługujących jej kawałków.

- Masz tę część, ale gdybyś się ze mną podzielił było by dobrze! -

wyrzuciła z siebie pośpiesznie.

- Yhy... - Zacisnął zęby na sucharze aż na szyi wystąpiły żyły i gałki

oczne odsłoniły się niemal całkowicie. Kiedy zęby przełamały twardość

suchodańca i zetknęły się z wyraźnie słyszalnym trzaskiem - jęknął. - Aż

mi iskry w oczach rozbłysły... - poskarżył się podając jej ten kawałek,

który nie zawędrował do ust.

- Nie widziałam! - zbyła go. - Jak zwykle przesadzasz.

Chrumkali zgodnie suchary, rozpływały się w ustach, słodycz wędrowała

do gardła, po drodze jaśniej rozpalając słońce i oczyszczając powietrze z

nie zawsze miłych zapachów podwórka.

- No to chodźmy. - Nie byłaby kobietą, gdyby teraz, zapomniawszy o

niezręczności, nie prychnęła: - Do tej twojej Bassomplerki!

Przemilczał tę zjadliwość. Wyczuwał już wiele z tego, co jeszcze jakiś

czas temu wydawało mu się nieznaną, niezręczną, niezgłębioną. Dokończyli

suchary, oblizali palce nie zauważając, że w oczach psa, śledzącego

uważnie każdy ich ruch, zatrzepotała rezygnacja.

Dziewczynka wstała

pierwsza, strzepnęła ze spódnicy okruchy, przytupnęła nogą. Podniósł się i

Gregoryn, poderwał Kat. Ruszyli razem przez podwórze,
przez bramę, wyszli
na łąkę specjalnie nie zaorywaną, nie uprawioną,
wypasaną tylko owcami,
które zostawiały równy kobierzec murawy; łąka służyła
takim właśnie spędom
ludności, jarmarkom, targom, rzadkim hucznym zabawom,
jak podczas Święta
Spadających Gwiazd, czy jak ta, którą ogłoszono w dniu
urodzin Gregoryna.
Teraz stało na jej obrzeżu pięć wozów z budami, domy na
kołach wędrownych
bałaganarzy. Jeden miał wyraźną dostawkę - połączoną z
wozem krótkim
dyszlem klatkę z niedźwiedziami, z drugiego, tylko trochę
przedłużonego
doleciało nagle wyraźne "wrrrau!" rozzłoszczonego czymś
rysia. Dziwne,
większe, opatulone w futra jelenie z puchatymi rogami
pasły się na małym
wybiegu. Kat pisnął, ale na wyraźne żądanie chłopca: "Nie
rusz tych
zwierząt, ani żadnych innych tu! Rozumiesz?" stęknął i
odprężył się. Na
wszelki wypadek Gregoryn wyjął z kieszeni kawałek
sznurka i założył
symboliczną pętlę na jego szyi. Podeszli bliżej. Po łące
maszerował w te i
z powrotem mężczyzna z okazałą czarną, poprzetykaną
kilkoma wyraźnymi
pasmami siwizny, brodą. Zobaczywszy dzieci z psem
najpierw groźnie

zmarszczył brwi i ruszył w ich kierunku, jakby chciał przegonić, ale

zbliżywszy się uśmiechnął szeroko:

- Ach, to wy?! Sam Gregoryn z najpiękniejszą - po twojej mamie,

chłopcze - rudą damą w okolicy, Sandią! - ale mówiąc to przykucnął i

wczepił się w futro Kata przy uszach, potarł nos. Pies wydał z siebie

szczęśliwy skowyt. - Czy tak się zachowuje dorosły groźny szwancer? -

zapytał Bassompler przysuwając twarz do pyska psa.

- On ma dopiero dwa lata, dorośleją podobno gdy mają trzy - cztery.

- Aha. No to w przyszłym roku jeszcze nie będę się bał podejść do tego

kolosa. - Wstał, ale nie wyprostował się do końca, cały czas jego ręka

spoczywała na głowie Kata. - A co u was nowego? Doroślejecie też?

- Oczywiście - z godnością odparła Sandia.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nagle zza wozu wyprysnęło jakieś

szczupłe ciało, dziewczynka pochyliła się, uderzyła dłońmi o trawę, odbiła

od niej i zawirowała w powietrzu, bokiem, znowu przodem, na koniec jej

ciało wykonało obrót w powietrzu tyłem i wylądowało na nogach, ale

zachwiała się i miękko opadła na pupę.

- No tak... - powiedział Bassompler patrząc na córkę podnoszącą się z

trawy. - Nie przygotowałaś rozstawy i stąd takie zakończenie.

Dziewczynka podeszła do nich uśmiechając się szeroko.

- A bo chciałam jak najszybciej skończyć i przywitać się
- wyznała bez

cienia skruchy w głosie. - Witajcie - dygnęła przed
Gregorynem i Sandią.

- Witaj, Biké, - powiedzieli chórem. Chłopiec pokręcił
głową i dodał z

podziwem: - Gdyby ktoś chciał cię trafić strzałą musiałby
wystrzelić całą

chmurę!..

- Głupi jesteś, Gregorynie - zareagowała natychmiast
Sandia. -

Strzelać do kobiety, cóż za pomysł?!

Ojciec Biké, przechylił głowę i wykrzywiwszy pełne
usta w podkowę

zmarszczył brwi.

- A wiesz... Coś w tym jest... Takie na przykład
strzelanie za jakieś

pieniądze - trafi - wygra, nie trafi - płaci - powiedział
wolno, przed

oczami rozgrywając już tę scenę.

- Ależ to nieludzkie! - oburzyła się Sandia.

Bassomler wrócił do rzeczywistości. - Spokojnie,
przecież

wystarczyłoby zdjąć groty i założyć miękkie czuby, a Biké
włożyłaby gruby

strój i jakiś ładny hełm na głowę...

Biké, podskoczyła i klasnęła w ręce: - Tato! Taki jak
miała ta

aktresa, wiesz - z piórami i taką grzywą!?

- No właśnie! - zgodził się ojciec. Oboje zapomnieli o gospodarzach i przekrzykując siebie uzgadniali szczegóły: - Cały strój byłby kolorowy...

Albo czarny, a tylko hełm... Tak, i wszyscy strzelają z jednej odległości.

A koniec strzały usmarowany kredą i zostaje ślad na stroju... Ha, jeśli trafią?

- No i coś narobił? - zapytała Sandia trącając łokciem chłopca.

Bassomplerowie zamilkli, potem on roześmiał się z lekkim przymusem.

- Przepraszam, ale pomysł jest przedni, więc trzeba go obgadać, żeby

nie uciekł. Ale to już później, rzeczywiście. - Położył rękę na szyi

córki. - Kochanie, zrób całą grupę ćwiczeń, dopiero potem ten łańcuch

skoków, dobrze? Przecież wiesz - nierozgrzany mięsień łatwo zerwać.

Biké skinęła głową, odsunęła się i zaczęła wykonywać całe serie

skłonów, skrętów, wymachów kończynami. Raser Bassompler odszedł na bok

pociągając za sobą całą trójkę. Usiadł na trawie zachęcając do tego samego

dzieciaki, zauważył, że Gregoryn dziwnie, łakomie przygląda się jego córce

odruchowo dotykając prawą ręką swojej chudej lewej.

- Ciało można rzeźbić - powiedział z namysłem uważnie obserwując

chłopca. Po żywym spojrzeniu rzuconym na siebie zrozumiał, że dobre odczytał jego myśli. - Ćwiczenie określonych części ciała może spowodować, że na przykład ktoś będzie miał mocne jak jeleń nogi i wątłą górną połowę ciała. Oczywiście to głupie - biegacz musi mieć czym oddychać, ale można by tak zrobić. Można wyćwiczyć ciało tak, by odwrotnie - miało mocne ręce i takie sobie nogi. To też nie jest mądre, bo jak dźwigniesz ciężar, jeśli nogi się pod tobą uginają? Najlepiej, rzecz jasna, określić komu o co chodzi i tego się trzymać w pracy, nieustannej pracy, długiej i mozolnej.

- Wpatrzony w niego chłopiec pokiwał głową. - Przy tym jeszcze trzeba pamiętać, że ćwiczenie pewnych mięśni może być szkodliwe, na przykład Bik, nie wolno rozwijać kilku mięśni, bo straci na gibkości i szybkości zginania rąk i ciała...

- Wydłużyć ciało też można? - rzucił szybko chłopiec. Jego sucha krótsza noga drgnęła.

- Wiesz co - o długości ciała decydują kości. O wydłużaniu kości nie słyszałem, może to możliwe tylko nikt się tym nie zajmował. - Mówiący zobaczył smutek w oczach dzieciaka i dodał szybko: - Na pewno nie

zaszkodzi poprawienie mięśni takiej kończyny - porzucił mówienie ogródkami

i wskazał po prostu nogę Gregoryna. - Poza tym, po poprawieniu jej

działania powinieneś nosić but z grubszą podeszwą, sprawna noga utrzyma

ciało na takim bucie i będziesz kulał mniej albo wcale. Rękę też

powinieneś ćwiczyć - powiedział postanowiwszy nie owijać niczego w bawełnę.

- Myślisz, że będę mógł ją wyćwiczyć? - szepnął chłopiec.

- Nie jestem pewny, ale jeśli cokolwiek czujesz, a czujesz? - Gregoryn

pokiwał głową. - No, to myślę, że na pewno może być lepiej. Chodź pokażę

ci jak ćwiczyć - wskazał miejsce na łągu za wozami. - Biké, będziesz mi przez chwilę potrzebna.

Poszli we trójkę, z Katem za wozy. Sandia została sama, zastanawiała

się chwilę czy nie powinna się obrazić, ale w końcu wielkodusznie

wybaczyła Gregorynowi. Przecież jeszcze nawet biedak nie wiedział, co go

czeka za kilkanaście dni, za dwie - trzy dekady, pomyślała. Miała wyrzuty

sumienia, ale jednocześnie nie potrafiła wydusić z siebie informacji,

którą posiadała podsłuchując - najpierw niechcący, a potem żarłocznie -

rozmowy matki z Wiatrą. Wynikało z niej jednoznacznie,
że Illemars

postanowił wysłać syna w podróż do Tarsandry, pod
pozorem rozpoczęcia

nauki w słynnej szkole. Wiatra i matka pochlipując
zgodziły się, że

chłopiec albo nie przeżyje tej podróży, albo tej nauki i
życia w obcym

nieprzyjaznym dla kalek świecie. Matka ściszyła nawet
głos i mruknęła coś,

że łatwo można spowodować krzywdę za niewielkie
pieniądze, byle z dala od

domu, gdzie Demai jak lwica broni syna. Wiatra
natychmiast zasyczała jak

rozgrzana płyta pieca, na którą wykypiała zupa i matka
umilkła, mrużąc

jednak przekornie: "Dobrze - dobrze! Znam go
jednakże...".

Zza wozu dobiegały fragmenty komend Rasera: - ...na
brzuchu, tak...

kilka razy... Nie, bardziej do tyłu! Jeszcze bardziej! Tak...
Przekręć się

na bok i unieś ile możesz nogę... Oddychaj głęboko...

Podniosła się i zastanawiając jak może bardziej
przysłużyć się

przyjacielowi: mówiąc mu co go czeka, czy pozwalając
spokojnie przeżyć

następnych kilka dni, zajrzała za wóz. Kat zerknął na nią
młaśnięciem

kwitując widok: Gregoryn na trawie, Raser nad nim, Biké
obok, demonstrując

ćwiczenia. Uznała, że tutaj na razie nie ma nic ciekawego
do roboty,

poszła obejrzyć niedźwiedzie, rysie i przede wszystkim te dziwne futrzaste

jelenie. Udało jej się nawet dotknąć rogu jednego z nich i okazało się, że

to, co z pewnej odległości wyglądało jak mech na porożu w rzeczywistości

było twarde, a więc rogi ich wcale nie były miękkie i przyjemne w dotyku.

- F - fu? - mruknęła Sandia. - Dziwoląg jakiś - ni to lejeń, ni to co!

Odeszła od spokojnie pasących się zwierząt, a widząc, że zza wozu

wyłania się zaczerwieniony Gregoryn pomachała ręką kierując go w swoją

stronę. Za wozem, słyszała to wyraźnie, rozgorzała dyskusja czy można

potraktować ćwiczenie z Gregorynem jako zagzewkę do praktyki, czy nie.

Zdania ojca i córki były podzielone.

- Wiesz - wysapał chłopiec dokuśtykawszy do przyjaciółki - Raser mówi,

że powinienem do końca lata poczuć wyraźną poprawę. Jeśli tylko nie będę

się obijał i próbował... Hej? Dlaczego płaczesz? Płaczesz? Co ci jest?

Co mam mu powiedzieć, pomyślała Sandia odwracając się i usiłując

ukradkiem wytrzeć wzbierające łzy, że nie będzie go tu za kilkanaście dni,

a tam nie będzie miał czasu na ćwiczenie? A może Wiatra i mama nie mają

racji? Nie, niemożliwe - mama się nie myli. A mnie nie wolno płakać!

- Możesz sobie ćwiczyć z tą swoją akrobatką! - wyrzuciła z siebie i

sama usłyszała, że zabrzmiało to nadspodziewanie prawdziwie.

- Sandio... No wiesz? - Gregoryn zająknął się, zakołysał przestępując

z nogi na nogę. - Przecież masz moją przysięgę...

Dziewczynka poczuła wzbierający w piersi szloch, poderwała się,

okręciła na pięcie i pobiegła do bramy w wiekowej palisadzie. Gregoryn

westchnął i pomaszerował za nią starając się, zgodnie ze wskazówkami

Rasera napinać odpowiednie mięśnie i - choćby wyglądało to śmiesznie -

machać lewą ręką, bo każdy ruch będzie dla niej korzystny. Sandia zniknęła

gdzieś, pomaszerował więc do sadu i pracowicie sprawdził niemal wszystkie

drzewa, a na pewno wszystkie gatunki rosnących tam drzew. Spróbował

chwycić się niskorosnącej gałęzi nie - jak to czynił zwykle - jedną mocną

prawą ręką, a rozłożyć ciężar na obie, na prawej więcej, na lewej

minimalnie, byle palce utrzymały się na konarze. Nie udało się za

pierwszym razem, nie udało za drugim, trzecim i czwartym. Po chwili

odpoczynku, kiedy Gregoryn najpierw po kolei ułożył palce lewej dłoni na

gałęzi i zacisnął je, udało mu się powisieć chwilę podkurczając nogi.

Zawył z radości, odtańczył coś w miejscu, "przytupując" lewą nogą. Jakiś

czas potem, gdy pot obficie uperlił czoło i spływając w dół szczywał w

oczy, odważył się zawisnąć na konarze bez możliwości podparcia się nogami

w razie potrzeby.

Od razu przy pierwszej próbie zmęczona niedorozwinięta ręka nie

wytrzymała ciężaru i ciało majtnąwszy się w bok upadło na ziemię. Gregoryn

trafił głową w gruby konar leżący na ziemi i na chwilę stracił

przytomność, kiedy wrócił do świadomości leżał na mokrej ziemi z

dudnieniem w głowie i - wymacał go bez trudu - olbrzymim guzem na skroni;

gdy chciał się podnieść opierając o skomlącego bezsilnie Kata okazało się,

że dodatkowo skręcił w kostce prawą nogę. Żeby wyjść z sadu musiał czołgać

się po błotnistych ścieżkach. Najpierw próbował wykorzystać sytuację do

ćwiczenia chorej ręki, ale potem dał spokój, bo ból był zbyt wielki, a

jeszcze jakąś chwilę później po prostu się rozplakał i pochlipując czekał

na pomoc. Kat rozszczękał się rozpaczliwie, potem pognął do ludzi i

znalazwszy Sandię przyprowadził ją do umorusanego nieszczęśliwego

Gregoryna.

Wykapany, z okładem na głowie i kostce leżał w łóżku próbując

opowiedzieć przyjaciółce co udało mu się osiągnąć pierwszego dnia ćwiczeń.

Potem przyszła matka i przepędziła Sandię na występ Bassomplerów.

- Zostanę z Gregorynem - zaproponowała dziewczynka.

- Nie, kochanie. To by nie była kara, a powinien być ukarany za

lekkomyślność. Mógł zrobić sobie większą krzywdę albo...

- Nie

dokończywszy machnęła ręką i westchnęła.

Gdy wyszły chłopiec mozolnie przełknął wzbierające łzy, a potem,

niespodziewanie dla samego siebie zasnął. Obudził się, gdy cicho stuknęły

nieuważnie przemykane drzwi.

- Po prostu starał się ćwiczyć swoją biedną rękę - usłyszał z

korytarza głos matki.

- Akurat! - prychnął pod drzwiami ojciec. - Chce opóźnić swój wyjazd!

- Jeszcze nie wie, że ma wyjechać - zaproponowała mama.

- Widocznie jednak wie! - uciał ojciec. - Ale to niczego nie zmieni -

wyjedzie, kiedy tylko gościńce podeschną. Za dekadę, półtorej.

- Ależ, panie...

- Powiedziałem i słowa nie cofnę!

Rozległy się oddalające kroki i cichnący głos matki, ale już nie dało

się zrozumieć co mówi. Gregoryn odrzucił przykrycie i przeczekawszy lekki

zawrót głowy, pomagając sobie niezgrabnie laską, którą przyniosła mu

Sandia, pokuśtykał do drzwi, udało mu się je cicho otworzyć i przedostać

pod drzwi komnaty sypialnej rodziców. Tam przyłgnał uchem do drzwi i

wstrzymał oddech.

- To jest bardzo mądry chłopiec...

- Może. Ale tu są takie ziemie, że nie wystarczy być mądrym! -

podniósł głos ojciec. - Można stracić wszystko co udało się dotychczas

naszemu rodowi zwojować.

- To o to ci chodzi?

- Tak, o to też. Żeby nie stracić tego, co miał ojciec i co mam ja.

Nie chciałbym umierać jak Grut, na posłaniu w stajni swojego dawnego

wroga!

- Nie zmienisz, widzę, zdania?.. - jęknęła matka.

- Nie. Na pewno.

- Nawet jeśli ci powiem, że jestem brzemienna?

Nastała długa chwila ciszy, potem, o wiele ciszej niż dotychczas,

odezwał się ojciec:

- A jesteś, pani?

- Tak. Jestem już pewna.

Cisza wysłała do komnaty swoją siostrę, młodszą i silniejszą, dłuższą.

Gregoryn zdążył zmienić rękę na lasce i zaczerpnąć kilka głębokich

oddechów zanim ojciec powiedział:

- To nic. Musi wyjechać...

- Ależ... Jeśli to będzie chłopiec, a to będzie chłopiec, to
Gregoryn

mu ustąpi prymat w domu. Na pewno. Nigdy nie był...

- Pani, pomyśl co się stało w rodzie chociażby Gruta
właśnie, w rodzie

Dawingów, Trotelny... Co? Wszędzie to samo: waśnie
następców, trucizna,

podchody, intrygi... Koniec jednak - przejęcie ziem za
długi, za zdradę,
z niemocy.

- On...

- On się zgodzi, tak! Potem podrośnie i albo sam, albo
ktoś inny

uświadomi mu, że mógł być najważniejszy. Może ktoś mu
podpowie, że kilka

kropel tego czy owego może pomóc zdobyć władzę. -

Chwila ciszy i znowu

ojciec: - Zaprzeczysz, pani?

- Tak.

Nawet Gregoryn pod drzwiami usłyszał, że w głosie
matki brakuje wiary

w wypowiedziane słowo. Ojciec po prostu prychnął. Dały
się słyszeć głośnie

kroki, Illemars przemaszerował po komnacie, potrącił
chyba krzesło, bo

drewniana noga zgrzytnęła po podłodze. Gregoryn drgnął i
omal nie runął na

bok oparłszy się na bolącej nodze. Koniec laski cicho
stuknął o drzwi,

chłopiec zacisnął zęby i rzucił się do ucieczki. W
komnacie runął na łóżko

odrzucając laskę na podłogę, nakrył się z głową i wyrównał oddech udając głęboki sen. Nikt jednak nie przyszedł do jego pokoju, może nikt nie usłyszał czynionych przezeń hałasów, może szukali przyczyn w innym końcu dworu. Po chwili jego oddech wyrównał się naprawdę. Uświadomił sobie, że najważniejsze z tego, co usłyszał, to to, że opuszcza rodzinny dom. Wyjeżdżam, pomyślał. Dokąd? Po co? Na ile? Daleko czy blisko, pewnie daleko, bo Demai by nie protestowała tak gorąco. Wyjeżdżam? Za dwie dekady! Sam! Sam? A Sandia? Kat? Nie, bez Kata nigdzie nie pojedę! Rozgorączkowany usiadł na łóżku, głośno i ciężko oddychał, skrzyżowana kostka zapulsowała bólem, który, na szczęście, ustał zanim rozbudził się na dobre. Gregoryn szarpnął mocno rozcięcie koszuli nocnej, wyciągnął z rękawa lewą rękę. Chudy piszczel obciągnięty skórą i cieniątką warstewką mięśni po uwolnieniu z rękawa zwisał jak obca kończyna, której nie umocowano jeszcze na dobre do ciała. Chłopiec zacisnął zęby i kazał palcom się poruszyć. Drgnął wskazujący i kciuk, pozostałe nie zmieniły położenia. Gregoryn spróbował jeszcze raz i jeszcze, ale nie udało mu się poruszyć

pozostałymi palcami. Chciał jeszcze odrzucić przykrycie i poruszać stopą,
ale nagle ogarnęła go fala żalu i rozgoryczenia.
Rozszlochał się i długo
płakał zadając pytania i szukając na nie odpowiedzi.
Potem zasoby łez
skończyły się, chlipnął kilka razy, wytarł twarz i prawie natychmiast
skleiły mu się podpuchnięte powieki, a mrok nocy rozjaśnił się przyjemnym
snem, w którym on sam, zgrabny i mocny, wraz z dwoma identycznymi psami,
polował na przeturki i szparnice na bezkresnej łące pod wspaniałym
błękitnym niebem.

Siodło na Lantarze, kucu Gregoryna, miało specjalnie wykonany przez
siodlarza dodatkowy rzemień z kłamrą na strzemieniu z lewej strony, dzięki
czemu, po wpięciu felernej nogi, chłopiec mógł się czuć w nim niemal tak
pewnie, jak gdyby miał obie kończyny zdrowe. Dzisiaj, z obolałą prawą czuł
się mniej pewnie, ale nie zamierzał przecież urządzać dzikich galopad

tylko przejechać po miedzach podsychających pól. Po pierwszych niepewnych chwilach poczuł się w siodle znowu dobrze, a nawet bardzo dobrze.

Szczególnie, że było to jego pierwsze wyjście z domu po upadku w sędzie.

Demai nie pozwoliła mu nawet wyjść na pożegnalny występ Bassomplerów,

zanim zdążył oburzyć się i rozplakać okazało się, że będzie miał swój

występ w dużej komnacie, dla siebie tylko; dołączył do niego Kat i - rzecz

jasna - Sandia. Stracił więc tylko występ niedźwiedzi i dłuższe oglądanie

rysi w klatce, które - "Jak to koty!" machnął ręką Raser - i tak nie

poddają się żadnej tresurze. Zaraz potem bałagan Bassomplerów odjechał, bo

rodzina śpieszyła na doroczny pierwszy wiosenny i w ogóle największy targ

w Karmisinidrze. Chłopiec usłyszał jak matka wypytuje Rasera, czy nie

będzie przypadkiem tędy przejeżdżał za dekadę - dwie, jak z żalem

wysłuchuje tłumaczenia Bassomplera i domyślił się, że byłaby szczęśliwa,

gdyby udało się jej wyprawić go z nimi: przynajmniej przez część podróży

miałby zacne towarzystwo.

Na przecięciu dwóch polnych dróg otrząsnął się ze wspomnień, zatrzymał

kucyka i poczekał na Sandię, jej klacz chętnie poskubywała młodą trawkę, a

niepewny jeździec nie potrafił go opanować. Gdy konik wreszcie raczył zbliżyć się Gregoryn smagnął go w zad, kucyk przysiadł zaskoczony i ruszył zwawo przed siebie. Chłopiec roześmiał się głośno, nawet oburzona Sandia musiała się uśmiechnąć z powodu nagłego przyływu gorliwości klaczki, której nie potrafiła zmusić do uczciwej pracy od początku wycieczki. Teraz galopowała po drodze aż ta wbiła się piaszczystym parowem w las. Gregoryn dogonił ją zamierzając powiedzieć, że las nie był dzisiaj planowany, ale - uznał - skoro już los pchnął ich w tym kierunku - trudno. Pojechali obok siebie.

- Strasznie cicho! - szepnęła dziewczynka. - Ale nie strasznie - uzupełniła szybko, żeby sobie czegoś nie pomyślał. - Szkoda, że Kat pognął gdzieś za sukami... - dodała pozornie bez związku, ale gdy Gregoryn zestawiał te słowa z wcześniejszymi zrozumiał, że Sandia czułaby się lepiej mając w zasięgu wzroku potężnego szwancera.

- Cicho, jest, bo jeszcze za wcześnie na gody - powiedział szybko - a po zimie trawożercy muszą się napaść, a drapieżniki - równie szybko napolować do woli i do syta. - Po kilku krokach wyciągnął rękę i powiedział: - Poczekajmy, niech się napiją.

Odczekali chwilę, w trakcie której koniki napiły się kryształowo
czystej odstąlej wody z kałuży pośrodku drogi; ich prychanie było jedynym
dźwiękami w najbliższej okolicy. Gregoryn kilka razy otwierał usta, ale za
każdym razem uznawał, że wobec zaplanowanego wyjazdu wszystkie tematy,
jakie zamierzał poruszyć stawały się nieaktualne: budowa na skraju sadu
nowego szałas - zasiadki na zajęcie, letnia wyprawa na przepływającą rzeką
łaserki, dekada Spadających Gwiazd, podczas którego dzieciaki i młodzież
spędzają trzy noce w polu. Nieważne stały się plany co do przebieganej
zabawy na zakończenie żniw, nieważna jesienna pogoń za młodymi lisami.
Katastrofa zbliżała się dużymi krokami i nie można było dłużej udawać, że
się jej nie widzi.
- Wiesz... - W głosie znalazło się tak dużo chrypki, że musiał wydać z
siebie długą serię chrząknięć zanim odezwał się znowu. - Wiesz...
Słyszałem, że mam wyjechać z domu. Matka nie chce mi tego powiedzieć, ale
ja już wiem. Ty też wiesz, prawda? - Skinęła głową wpatrując się pomiędzy
uszami Perły w drogę. - Wszyscy wiedzą... - stwierdził z goryczą. -
Tylko...

Nagle przerwał uderzony pewną myślą, aż stęknął
trafiony pomysłem
zesłanym mu przez jakieś dobre bóstwo. Gorączkowo
rozważał go przez kilka
chwil.

- Sandio... - wyszeptał. - Mam pomysł!..Tak! - krzyknął
nagle nie

widząc żadnej złej strony projektu. Wychylił się i
ponownie przeciągnął

bacikiem po zadzie Perły. Gdy skoczyła do przodu trącił
piętą bok Lantara

i dogonił Sandię. - Zsiądziemy z koni na łągu nad rzeką,
dobrze?

Skinęła głową zajęta przede wszystkim utrzymywaniem
się w siodle,

galopowali chwilę, potem zastała przez zimę i opóźnioną
wiosnę kuce

zwolniły, Gregoryn pogonił je ponownie, więc
pogalopowały jeszcze trochę,

ale potem kategorycznie odmówiły większego wysiłku.
Chłopiec nie nalegał,

musiał szybko obmyślić swój plan, żeby trafił do
przekonania Sandii i od

razu zacząć go realizować. Konie zwolniły do marudnego
stępa na rozmokłym

brzegu rzeczki, w ogóle maszerowały tylko dlatego, że
jeźdźcy wbijali im

pięty w boki i z przyjemnością parsknęły, gdy dzieci
zeskoczyły z siodła,

zarzuciły wodze na napęczniałe pąkami gałęzie i
zatrzymały się rozglądając

po okolicy.

- Chodźmy do Pępka - zaproponowała Sandia.

Gregoryn zawahał się, podejście do skalnego kręgu,
grupy ostrych i
tajemniczych skał pomiędzy drzewami na wzgórzu, tam
wyżej, wymagało
sporego dla niego wysiłku, ale z drugiej strony - mógł
jeszcze raz
pobieżnie sprawdzić swój plan.

- Dobra. - Po kilku krokach wyrwało mu się: - A nie
boisz się tam iść?

- Wieczorem nie weszłabym za nic - przyznała się
Sandia. - Ale teraz?

W dzień? Zresztą, co tam - skały, dziwacznie ułożone i
tyle. Tylko mrok

czyni je strasznymi. - Odetchnęła głęboko, łąka stawała się
coraz bardziej

spadzista, dziewczynka zwolniła i zerknęła na przyjaciela.
- No, co to za

plan? - przystanęła, by mógł odpocząć.

- Ucieknę z domu! - wypalił Gregoryn. - Nie dam się
wywieźć. Jak się

dowiem, że wyjeżdżam - ucieknę! Rozumiesz? Zgromadzę
zapasy, zacznę od

dzisiaj. Będę spokojny, nic po sobie nie okażę, ale mając
kryjówkę i

zapasy mogę posiedzieć w lesie nawet pół lata, a potem
będzie już za

późno. - Wpatrywał się w Sandię szeroko otwartymi
oczami, szukając w jej

spojrzeniu aprobaty dla swojego planu. Coś jeszcze
przyszło mu do głowy,

uzupełnił, żeby ją przekonać: - Przez ten czas będę
ćwiczył uparcie, nic

innego nie będę robił i - zobaczysz! Wrócę normalny... -
zawahał się - ...

w każdym razie normalniejszy i wtedy ojciec nie będzie
miał powodu, żeby

mnie wysyłać. A jak nawet - to dopiero w przyszłym roku,
a przez rok nie

wiadomo co może się zdarzyć!.. - Nie czekając na Sandię
ruszył pierwszy ku

jeszcze niewidocznemu nawet na tle nieba pierścieniowi
skał.

Z tyłu dobiegło go niepewne chrząknięcie.

- Co tam hmykasz? - rzucił przez ramię. Sandia
wymyśliła to słowo,

oznaczające nieokreślone chrząknięcie, gdy nie wiadomo
co powiedzieć.

Odwrócił się i poczekał na idącą o dwa kroki z tyłu
dziewczynkę. - No i

jak?

- Nie wiem, Gregusie - powiedziała zdyszana, cicho,
bez przekonania. -

Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. - W jej oczach błysnęło nagle
zdecydowanie. -

Jesteś moim najlepszym przyjacielem, lepszego w życiu
nie będę miała i nie

chcę mieć, ale ta ucieczka... - Pomruwała powiekami. - Nie
wiem... nie

wiem czy to dobra rzecz...

Wzruszeni i onieśmieleni ruszyli zgodnie do góry.
Zostało do szczytu

garbu kilkanaście kroków, kilka głazów uformowanych w
szereg wystawiało

swoje twarde garby, tworząc coś niemal jak stopnie,
bardzo przydatnych

tutaj, schodów. Weszli na nie.

- Ja też do końca nie wiem - przyznał Gregory. - Ale wiem, że jeśli wyjadę to na długo i nic już nie poradzę. A jeśli przetrwam tutaj przez

taki czas, że już nie będzie można mnie wysłać - to tyle zyskam, że nie

wyjadę. - Stał chwilę zaciskając i prostując palce prawej dłoni. - Co mnie

może gorszego spotkać?! - krzyknął w końcu, a w tym okrzyku nie trzeba

było głęboko szukać stłumionych łez.

Zawstydził się niemęskiego drżenia głosu, gwałtownie ruszył do góry,

machając szeroko ręką poderwał ciało i szybko przebył kilka ostatnich

kroków. Na tle rzadkich drzew i szczytów w skałach wyglądał jak duże

ptaszysko wymachujące jednym skrzydłem. Z drugim złamanym, pomyślała

Sandia. Dogoniła Gregory, zatrzymała się obok. Dyszeli oboje głośno,

potem dziewczynka rozejrzała się dokoła, zmarszczyła brwi.

- Coś tu jest inaczej, prawda? - Chłopiec jeszcze chwilę dyszał

zagłębiony w swoich uczuciach, potem wolno, jakby niechętnie porzucając

żał, poszedł za jej przykładem, rozejrzał się. Na dole, na brzegu rzeki

przeciągle parsknął któryś z kuców. - Taka cisza... i zapach?

Gregoryn wciągnął powietrze w nozdrza, powtórzył to kilka razy,

szybko, sapiąc głośno.

- Jak w kuźni?.. - powiedział cicho.

- Masz rację! Rozgrzane żelazo?

- Tak... - Sandia zobaczyła jak jego prawa ręka wolno poruszyła się,

przejechała po brzuchu, dotknęła pasa, przesunęła się ku pochwie z dużym

bojowym sztyletem w szczelnej masywnej skórzanej pochwie. Poczowała jak

niesforne włoski na karku, te, których nie mogła wpleść w warkocz, prężą

się i sztywnieją. - Gregus? Boję się... - Uprzytomniła sobie, że pierwszy

raz w życiu przyznała się do strachu. Natychmiast ogarnęła ją złość.

Rozwarła zaciśnięte szczęki i wydusiła z siebie: - Musimy sprawdzić co to

jest!

Chłopiec wolno zacisnął palce na rękojeści, był gotów w każdej chwili

wyszarpnąć sztylet i wbić go we wroga. Rozejrzał się, natrafił wzrokiem na

pełne napięcia spojrzenie Sandii, to wystarczyło, by bez słów zgodzili

się, że nie odejdą nie wyjaśniwszy przyczyn własnego niepokoju. Oboje go

czuli i nie potrafili umiejscowić - dopiero co przebyty stok aż do wody

był pusty, porośnięty starą ubiegłoroczną trawą nielicznymi kępami

tegorocznej, w kilku miejscach czerniały wydarte ich stopami płytkie i nieregularne wyrwy w murawie. Niepokój wzrastał w miarę podchodzenia, więc to coś musiało być tu, na górze, gdzie stali przed szpalerem drzew otaczających pierścień skalnych palic. Kiedyś Sandia powiedziała, że wyglądają jak pepek olbrzyma, zagrzebanego w ziemi giganta, któremu wystaje tylko spod ziemi wypukły duży pepek. Od tej chwili tak mówili o skałach. Teraz Gregoryn poruszył brwią w kierunku skał i szepnął:

- Pepek...

Sandia szeroko otworzyła oczy, widniał w nich niepokój i strach, nie przyznałaby się za skarby świata do lęku, ale nie potrafiła go też ukryć.

W duszy chłopca rozegrała się krótka, ale intensywna walka: z jednej

strony szanę rozumu obsadzał rozsądek, który mówił, że nie mają broni, są

dziećmi i nikt z dorosłych nie wie, że potrzebują pomocy, z drugiej strony

szturmowały je głosy harde: A co tracimy? Komu na mnie zależy? Może jak

coś zrobię to nie wyjadę z domu?! Serce zabiło mocniej na ostatnią myśl.

Puścił sztylet, chwycił za rękę dziewczynkę i pociągnął pod niemal nagie

gałęzie drzew. Odruchowo ustawili się tak, że Sandia miała na oku stok

wzgórza, a Gregoryn drzewa i lukę w ich szpalerze.

- Zostań tutaj, ja pójdę sprawdzić Pepek. Gdybym nie wrac...

Odwróciła się do niego i popatrzyła z taką siłą, że tylko kłapnął

zębami zamykając jak mógł najszybciej usta.

- Jeszcze raz mi zaproponujesz taką rolę!.. - syknęła i nagle poczuła,

że jej strach uleciał błyskawicznie, a przyjaciel nie: został i uśmiecha

się ironicznie. Podstawiła mu pod nos zaciśniętą pięstkę. - Zabiję!

- No to chodźmy, ja mam nóż więc pierwszy. Ale cicho! Szybko ruszył nie dając jej czasu do namysłu, sztylet trzymał w

opuszczonej ręce, ale tak, jak go uczył Farnepel - ostrze skierował w górę

i do przodu. Sandia idąc z tyłu ze zdziwieniem zauważyła, że kuleje bardzo

nieznacznie, lewą stopę stawia mocno, topornie, ale pewnie, w każdym razie

pewniej niż jeszcze chwilę wcześniej. Weszli pod gałęzie, kapały z nich

krople wody, czasem trafiały w głowy dzieci, ale one nie reagowały na to.

Zapach rozżarzonego metalu i jeszcze czegoś niewiadomego stał się

mocniejszy, wyraźniejszy, zabijał już wszystkie inne; z przeciwnego brzegu

parowu nadleciał nieśmiały wietrzyk, na krótką chwilę przyniósł zapach

pączkującej zieleni, ale zaraz ustąpił miejsca ciężkiej metalicznej woni.

W szpalerze drzew widniała przerwa, która - jak to świetnie dzieciaki wiedziały - prowadziła do szczyrby w szczelnym skalnym pierścieniu.

Dlatego uznali kiedyś, że można by tu zbudować warownię - mury były już niemal gotowe, studnia dostarczyłaby wody, las trzeba by wyciąć i

niewielka załoga dałaby radę powstrzymać ogromne siły wroga. Teraz

znaleźli się w naturalnej przecince, zrobili kilka kroków, weszli między

wysokie szczelnie przylegające do siebie, tworzące zwarty wysoki mur,

iglice. Skręcili w bok. Gregoryn odwrócił się i zerknął pytająco na

Sandię, skinęła głową, też usłyszała niskie buczące brzęczenie, jakby

kilka rojów szerszeni toczyło ciężki bój o jedną wydrążoną kłodę. Zrobili

jeszcze kilka kroków, przysunęli się do skały; teraz wystarczyło wychylić

głowę, by zobaczyć polanę otoczoną wysoką palisadą kamiennych palic, ale

coś powstrzymywało dzieci przed tym krokiem. Chłopiec zerknął do tyłu,

dziewczynka odpowiedziała mu bezradnym spojrzeniem, zamierzała położyć

rękę na ramieniu i powstrzymać przed ostatnim, dla niej już wyraźnie

niebezpiecznym, niepotrzebnym krokiem, ale Gregoryn ruszył do przodu, a

pozostawianie przyjaciół w niebezpieczeństwie nie leżało w charakterze

Sandii, zrobiła dwa długie kroki i ramię w ramię weszli na polanę.

Potrzebowali na to trzech dziecinnych kroków.

W połowie drugiego czuli, że trzeci powinien skierować ich z powrotem.

Ale nie zrobili tego.

Kończąc ten trzeci wiedzieli, że popełnili błąd.

I zaczęli się bać.

Sandia chwyciła za uzbrojoną rękę Gregoryna, ścisnęła i zrobiła pół

kroku w tył, chłopiec okręcił się na zdrowej stopie, choć głowa nadal była

skierowana na polanę. Dziewczynka pociągnęła mocniej, odwróciła się i

jęknęła. Dopiero teraz Gregoryn energicznie przestąpił z nogi na nogę

stając plecami do środka polany. Było już i tak za późno. Zanim zdążyli

chociażby krzyknąć ogarnął ich mrok, miękki, nieprzyjemny, bo duszący,

pełen zapachu rozgrzanego metalu i czegoś, co od biedy dałoby się nazwać

suchą wodą. I jakiejś ostrej ziołowej przyprawy. Nagle, równie

niespodziewanie jak zapadła ciemność rozwiała się i skamieniały, nie

mogący i nie chcący mimo strachu poruszyć nawet powieką, Gregoryn

zobaczył, że niemal całą przestrzeń w palisadzie skał wypełnia granatowo -

bura, jak burzowe niebo, masa. Przypomniał sobie jak
kiedyś kryjąc się

przed burzą wpadł do pustego spichlerza, przez szereg
okienek wpadało mdłe

słabe światło, a na środku czaił się granatowo - czarno -
żeliwny mrok.

Uciekł wtedy czym prędzej, jądro mroku wystraszyło go,
tak jak to tutaj.

Ale teraz nie mógł uciec, tkwił w miejscu skamieniały
wiedząc, że

cokolwiek by się stało nie zostaw tu Sandii. Chciał
poruszyć ręką, by

dotknąć przyjaciółki, ale nie zdążył - na kokonie mroku
rozjarzyło się

kilka jaśniejszych plam. To są jakieś dziury, przebiegła
przez głowę

chłopca myśl, a z nich wypadają i pędzą na nas... Co to
jest?!

Cadrona obudziło własne kichnięcie. W pokoju panował
półmrok, kominek

przygasł niemal zupełnie, tylko pojedynczy szereg
karminowych węgielków

znaczył ślad ognia w drewnie. Z sześciu świec cztery
zgasły, jedna

zupełnie niedawno, bo właśnie swąd jej tłącego się knota
zaświdrował mu w
nosie. Kajtys drzemał z głową obsuniętą na pierś, skulony
na krześle przy
łożu Hondelyka, kichnięcie Cadrona wyrwało go z
bezdennych pokładów snu do
płytszych - poruszył głową, pyknął wargami, ale zaraz
zapadł z powrotem w
głęboki sen. Cadron chwilę walczył z oporną pamięcią
złośliwie podsuwającą
tylko świadomość śnienia dziwnego, trochę straszego, ale
ciekawego snu,
zmagał się z umykającą jego końcówką i nie mogąc nic
więcej sobie
przypomnieć wstał w końcu i wzięwszy dwie świece z pęku
zapalił je w
świecznikach. Nasilający się blask padł na schowaną
dotychczas w cieniu
twarz rannego. Rysy Hondelyka rozmyły się, zatraciły w
obcej pobrużdżonej,
pозnaczonej cierpieniem twarzy starca. Czując zimne
ciarki na plecach
Cadron na palcach podszedł bliżej.
O bogowie, pomyślał, czując ciężkie brzemie strachu
przygniatające go
do ziemi. To Ttafeond! Wypisz - wymaluj król Ttafeond,
gdy nas powitał, a
właściwie później, gdy Hondelyk już się zgodził go
zastąpić! Ale co ta
maska znaczy: odzyskuje siły i dlatego może się
przeistaczać, czy też
ciało samo przybiera jakieś zapamiętane kształty?
Dlaczego nigdy z nim o

tym nie rozmawiałem!? Przecież nic nie wiem o jego
zdolności, prócz tego,
że byłem przy kilkunastu przeistoczeniach... Coś
powinienem, ż - żeby
to!.. Co? Co!?

Przełamując sztywność mięśni podszedł na palcach
bliżej. Wyciągnął
rękę i dotknął wierzchem dłoni policzka przyjaciela, był
ciepły, nawet
bardzo ciepły. Odetchnął z ulgą, w tej samej chwili przez
twarz Hondelyka
przebiegł skurcz, po którym rysy, drgnąwszy po dwakroć,
ułożyły z powrotem
w znaną twarz.

Gdy dotknąłem Hondelyka wrócił z jakiegoś dalekiego
świata do swojej
postaci, uświadomił sobie Cadron. Muszę go pilnować, bo
jeszcze kto
zobaczy...

Jakby na potwierdzenie tych myśli ranny jęknął cicho i
zgrzytnął
zębami, a gdy Cadron rzucił bezradne spojrzenie na
medyka i wrócił
wzrokiem do warzy przyjaciela, to na jej miejscu zobaczył
oblicze innego
człowieka - nalana czerstwa rumiana twarz... Jak mu tam?
Zendel Gar -

Trucie! Tak, ten grubas... Och nie! Przecież Hondelyk na
zmiany zużywa
całe fury życiowej energii! Teraz potrzebuje jej do czegoś
innego, a nie
do miotania się po użytych powłokach!

Błyskawicznie położył rękę na czole leżącego, znacząco przydusił,

gładkie pulchne czoło niemal natychmiast zapadło się i pod dłonią poczuł

znowu bruzdy suchej ciepłej skóry. Odetchnął. Przez cały czas muszę go

trzymać w płytkim śnie, pomyślał. Nie wolno go puszczać w taki sen, gdzie

traci kontrolę nad własnym ciałem; musi jakąś częścią siebie być

zaczepiony o normalne życie, o ten pokój, tę noc. Chyba lekkie hałasy,

jakieś dźwięki trzymają go tutaj, a gdy wszystko cichnie - zaczyna

odpływać.

Cadron, jakimś bocznym myśleniem, w jakiś natrętny sposób atakowany

bezdźwięcznymi głosami, odpychał je od siebie gorączkowo myśląc o czymś

innym. A owe obce niedobre głosy szeptały: "Po prostu umiera. U - mie -

ra! Dlatego nie panuje nad ciałem. Jak nie panuje świeżo powieszony, jak -

pamiętasz? - nie zapanował ten biedak, na którego zwał się kawał muru i

zapach krwi i bólu zmieszał się z odorem uryny i kału?! Jak...".

Cicho syknęły drzwi, w szparze pojawiła się wyraźnie zaniepokojona

twarz karczmarza, napotkawszy spojrzenie Cadrona wsunął głowę głębiej do

izby, ale rezsta ciała została na korytarzu.

- Panie, nie ma innego medyka, wrócił chłopak com go posłał. Tego

łapiducha posiekli - wyszeptał. Chwilę milczał. - W pobliżu to był ostatni...

Cadron zacisnął pięści, odsunął się gwałtownie, potraćając stół, zabrzęczały flakoniki, a jedna ze świec wypadła ze swego gniazda w

świeczniku i stuknęła głucho miękkim końcem o stół. Gospodarz raptownie

cofnął głowę i przymknął drzwi, a obudzony Kajtys poderwał głowę z piersi

i szybkim pełnym winy spojrzeniem obrzucił izbę. Obaj jednocześnie

odwrócili się do Hondelyka, Cadron z ulgą zobaczył, że przyjaciel nie

obudził się, ale ma swoją twarz.

- Nie możemy obaj spać - zdecydował. - Obudził mnie jego szept, choć

nie usłyszałem, co mówił. - Miał wyrzuty sumienia okłamując sumiennego

medyka, ale nie mógł mu przecież powiedzieć, że w komnacie musi być jakiś

hałas, musi coś trzymać rannego w tym świecie. - Tak nie może być -

zakończył zdecydowanym tonem.

- Oczywiście - zgodził się szybko Kajtys. Poczucie winy widoczne było

w każdym jego ruchu, w pochyleniu głowy, o spojrzeniu nie wspominając;

zakrzętał się poprawiając niepotrzebnie futro, dotykając policzka, dłoni,

rzucił się do stołu i najpierw zapalił świecę, potem
pochrzakując

przemieszał woreczki i butelki. - Może czuć się lepiej
skoro się odżywa -

bąknął.

- Pewnie tak - powiedział cicho Cadron. Miał nadzieję,
że mówi

wystarczająco cicho i niewyraźnie, by żaden ze złośliwych
bogów nie

usłyszał i przekornie nie zdecydował o innym losie
Hondelyka.

- Ale lekką gorączkę chyba ma - powiedział konował i
przygryzł dolną

wargę. - Będę szczery, panie - to też może zabić.

- Nie kracz!

- Nie kraczę, tylko już zdarzyło mi się tłumaczyć przed
jednym...

- Rób, co masz robić i nie przejmuj się tłumaczeniem -
przerwał

Cadron. Przemaszerował po izbie, ziewnął, przeciągnął
się. Rzucił okiem na

Hondelyka i uspokojony widokiem znanej twarzy
przemierzył izbę jeszcze

kilka razy. Medyk w tym czasie zmieszał coś i
zaaplikował choremu. Cadron

przechwycił zatrwożone spojrzenie, zawrócił i stanął przed
medykiem. -

Mów, co masz do powiedzenia, nie ma czasu na
ukrywanie czegoś. - Dźgnął

palcem w mostek Kajtysa. - No?

Medyk pokręcił głową: - Nie jest dobrze. Oddech ma
trochę płytszy,

może być, że w płucach zaczyna się wydzielanie gorączkowej flegmy. To utrudni oddychanie, zmusi serce do energiczniejszej pracy, a to może przerwać świeżą bliznę.

Cadron zamarł w bezruchu, miał świadomość, że po kilku godzinach

oczekiwania uznał postępujący proces zdrowienia za przesadzony i właśnie

usłyszane słowa zaskoczyły go. Potoczył bezradnym spojrzeniem po izbie.

- To... Co można... Co mogę zrobić? Mów! Potrzebujesz pieniędzy?

Pomocy? Coś ci przywieźć?.. - Kajtys wolno kręcił głową.
- No to co?

- Nic. Po prostu musimy czekać...

- Czekać to dać szansę przeciwnikowi - powiedział z goryczą Cadron. -

Hondelyk tak mawia - odruchowo wskazał brodą przyjaciela.

- Wiesz przecie kto tu jest przeciwnikiem - mruknął medyk.

Oby Mistrz Skonu nie usłyszał, pomyślał Cadron i szybko złożył kółka z

kciuków i wskazujących palców w hołdzie dla Mistrza Skonu. Nie powinien

był słyszeć, że w głosie konowała zabrzmiała pewna dziwna nuta, jakby

ukrywanego lekceważenia czy protekcyjnej pobłażliwości. Nie ośmielił

się jednak zapytać o powody takiego tonu.

- Może jakiś kataplazm? Gorący napar...

- Nie!

- No to... - zawahał się i nagle uprzytomnił sobie, co go dręczy od

kilku chwil: - Babayagr! Czy on może pomóc?

W przeciwieństwie do wcześniej okazywanej niechęci, tym razem Kajtys

zawahał się i niemrawo poruszył ramionami. Lekka zmarszczka przebiegła

przez jego twarz i nos, poruszył wargami jak wyszarpięty z wody wąskonosy

leszcz.

- Próba nie zawada - wydusił w końcu. - Ale jest noc - dodał innym

tonem.

- To co? Mówże!

- No nic... Tylko nikt tam nie chodzi po nocy...

- A, chrzanisz, konowale!

Zadowolony, że może działać, że nie musi bezradnie i beczynnie

patrzeć na wiszącego nad urwiskiem śmierci przyjaciela, rzucił się do

kąta, szarpnięciem wydobył ze stosu rzeczy pelerynę, jeszcze wilgotną, ale

nie szukał innej. Z mieczem w ręku na palcach wyszedł z izby; na korytarzu

pełgał ognek tylko jednego kaganka, ale to wystarczyło, by znaleźć schody

i zbiec po nich. Karczma była pusta i cicha, zaspana, musiała być późna

noc, ale Cadronowi nie chciało się iść do izby głównej i sprawdzać na

wodnym zegarze godziny. Po omacku wy dostał się na podwórze, deszcze

wreszcie ustał, noc była jasna, pełnia, i ucieszony mocnym światłem

księżycyca Cadron pomaszerował do stajni, po drodze szturchańcem obudził

"pilnującego" obejścia uzbrojonego w marną drewnianą tarczę i krótki miecz

strażnika i powiadomił go, że zamierza wyjechać i wrócić.

- Niech - no się okaże, że jak wrócę nie będę mógł tu wejść, to

pożałujesz! - zagroził.

- Co też, panie! - zachnął się wartownik, ale jego zaspany głos nie

zostawiał miejsca na złudzenia.

Nie zawracał sobie już nim głowy, nie szukał też siodła, wyprowadził

trochę zdziwionego Gabera i ominąwszy stojącego przy uchylonym skrzydle

bramy dozorcę wyszedł przed karczmę, wskoczył na grzbiet wierzchowca. Znał

już drogę i bez kłopotu wy dostał się inną drogą na pola, by szybko znaleźć

się pod dwoma izbami. Starannie przywiązał konia do giętkiej młodej

brzozy, podszedł do chaty i zastukał, najpierw lekko, a po chwili mocniej,

na końcu dwa razy stuknął pięścią. Długą chwilę nic nie wskazywało, żeby

hałas obudził czy wywołał Babayagra, potem jednak coś zabrzęczało, jakby

miska spadła na podłogę czy została potracona wolno przesuwaną się

stopą.

- Babayagr! Potrzebuję pomocy! - krzyknął Cadron. -
Mam rannego
przyjaciela. Słuchaj!

Coś szurnęło przy drzwiach, Cadron zamilkł, odsunął
się trochę, ale,

ku jego zdziwieniu, drgnęła i otworzyła się tylko górna
połowa drzwi, jak

w niektórych bogatych i dużych stajniach. Z czerni otworu
wyłonił się

grot, a Cadron poczuł, że brakuje mu powietrza - z takiej
odległości nikt

jeszcze nie mierzył do niego z napiętej kuszy. Grot był
wykonany ze

sklepanych umyślnie niedbale kilku płatków metalu, które
po uderzeniu w

cel rozchylały się jak kwiat. Barbarzyński wynalazek
rozwierał

niewiarogodnych rozmiarów ranę i niemal uniemożliwiał
normalne wyjęcie

bełta z rany.

- Ktoś? - warknął trzymający kuszę, a broń wahnęła się,
jakby nie miał

pewnej ręki, albo trzymał ją jedną ręką, albo był pijany. W
każdym z tych

wariantów bełt miał do przebycia nieznośnie małą
odległość. - Czego?

- Zatrzymałem się z przyjacielem w karczmie. On został
napadnięty i

zraniony, blisko serca, ciężko. Potrzebuję pomocy.

Grot bełtu kiwnął się, potem kusza dziwnie zadarła się
w górę, potem

wykonała coś, czego Cadron nie przewidziałby w
najgorszym śnie -

gwałtownie opadła w dół i uderzyła łozem w ramę drzwi, a grot niemal

wyrysował mu bruzdę na nosie. Nie czekał aż puści mechanizm spustowy i

runął na ziemię. Za drzwiami coś zaszurało, stuknęło, ktoś coś warknął.

Zgrzytnął rygiel, zawiasa drzwi rozdarła się wniebogłosy, stało się jasne,

że wdarcie się do domu znachora bez obudzenia połowy wsi jest wykluczone.

Cadron podniósł się, czyszcząc dłonie i otrzepując spodnie uważnie

wpatrywał się w ciemność za drzwiami.

- Wchodź! - rozkazał obcesowo głos niewidocznego ciągle Babayagra. -

Próg jest niewysoki, ale nie próbuj niczego!

- Czego miałbym próbować? Przyszedłem po pomoc.

- Niejeden już tak gadał! - warknął z ciemności głos. I dodał z mocą:

- A teraz leży pod darnią z pyskiem pełnym korzeni trawy!

Cadron zrozumiał, że gospodarz jest wystraszony, odetchnął więc po

kryjomu, stanął nieruchomo i czekał. W izbie panował dziwny zapach, jak w

stolarni czy bednarni. Drzwi za plecami wrzasnęły, znowu ogłaszając

światu, że przemierzyły dobrze sobie znaną półkolistą drogę. Potem, w

końcu, gospodarz krzesał ognia i zapalił kaganek. Cadron zdębiał. Babayagr

był karłem. Gdy chwycił w krótkopalce dłonie kaganek i poniósł do stołu,

gdy pełgające światło opadło na jego twarz okazało się, że skóra ma

niespotykany kolor: szarofioletowy, a na brzegach uszu łuszczy się i

odpada płatami odsłaniając jaśniejsze placki. Podobnie wyglądała na rękach

- łysinki nieco jaśniejszej, odrobinę bardziej czerwonej skóry upstrzyły

wierzchy dłoni. Karzeł miał wypukłe bardzo mięsiste wargi; gdy wdrapał się

na wysoki zydeł, postawił kaganek i wbił spojrzenie w gościa okazało się,

że pulchne wargi, z powodu sercowatego kształtu nie mogące się ze sobą

zetknąć, odsłaniają fatalne zęby - niemal czarne, nierówne co do długości

i szerokości i z różnej szerokości szparami pomiędzy nimi. Cadron

zaczerpnął powietrza, drugi raz i jeszcze raz. Kusza leżała obok ręki

karła, za daleko, by gość mógł szybko jej sięgnąć, fatalny grot zerkał na

jego pierś.

- No? - warknął karzeł. - Nagapiłeś się?

- By - e... Ja... Hegh - hm! Tak, ja mam prośbę: ranny...

Ranny jest

mój przyjaciel, uderzony nożem w serce, prawie w serce - poprawił się. -

Ostrze otarło się o serce...

- Krwawi? - przerwał gospodarz przekrzywiając głowę i drapiąc się

głośno po czerepie porośniętym rzadkim mokrym, pewnie spoconym we śnie

włosiem, język przejechał po wargach, był biały i matowy.

- Nie, chyba nie, ale wdała się gorączka...

Karzeł pokiwał głową.

- Ta - rzucił krótko. Znowu kiwnął głową jakby do swoich myśli.

Wsadził palec zakończony zielonkawym paznokciem w ucho i energicznie nim

potrząsnął aż ruch wprowadził w drżenie całą głowę. -

Gorączka przeniesie się

albo umiejscowi w płucach, wypełnią się flegmą. -

Babayagr wyjął palec z

ucha uważnie przyjrzał się paznokciowi. - Twój przyjaciel się po prostu

utopi.

Przełknięcie twardej guli wyrosłej w gardle okazało się niezmiernie

trudne, ale w końcu Cadronowi udało się tego dokonać.

Karzeł plasnął

dłonią o stół i rzuciwszy: - Nie ruszaj się! - zeskoczył z zydełka. Po

chwili przyniósł dwa inne kaganki i rozpałił je. W izbie pojaśniało.

Cadron wolno rozejrzał się, pod ścianami stały, leżały i wisały na

ścianach kosze, koszyki, płaskie wiklinowe talerze, patery, prostokątne

puddła bez wiek i z wiekami, ale najwięcej było związanych z gałązek

grabiny mioteł z długimi prostymi ostruganymi do białego drewna kijami.

Babayagr wdrapał się na zydeł, potrąciwszy łokciem kuszę, Cadron omal nie

jęknął.

- Mógłbyś odsunąć trochę tę broń? Albo skierować w inne miejsce? Tak

przy okazji - niektórzy władcy za taki grot wieszają za nogi nad ogniskiem.

- A inni niektórzy mają mi co nieco do zawdzięczenia! - powiedział z naciskiem karzeł.

Cadron wzruszył ramionami: - Nie zamierzam cię pouczać...

- Myśle! - prychnął gospodarz. - W końcu to ty przyszedłeś po pomoc!

Najwyraźniej miał świadomość swojej wagi. Przy prychnięciu trochę

śliny wyprysnęło mu z ust, jakaś kropelka trafiła w kaganek, zaskwierczał

knot. Cadron z trudem przełknął ślinę, postanowił nie ustępować za bardzo

pola. Na dłuższą metę zawsze była to zgubna taktyka.

- ...i gdyby grot mierzył w co innego - niechby sobie mierzył. -

Dokończył. Wyciągnął rękę, a kiedy karzeł drgnął wskazał kciukiem siebie i

dodał: - Pod koszulą mam najcieńszą i najtrwalszą z możliwych kolczugę,

wyrób tmutarańskich mistrzów, znasz to?

Karzeł nie mógł znać nieistniejącego miasta słynącego z wymyślonych w

tej chwili kolczug, ale nie zamierzał się do tego przyznawać. Pokiwał

głową i sapnąwszy tracił broń tak, że celowała daleko w bok od Cadrona.

- No? Zadowolony?

- Tak. Ale bardziej będę, gdy udasz się ze mną do karcz...

- Na pewno nie! - uciał Babayagr. - Nigdzie się do nikogo nie udaję.

- Ale pomoc...

- Jeśli zdecyduję się na pomoc to wystarczy jeśli się zdecyduję -

znowu przerwał gospodarz i Cadron zrozumiał, że kłótnia do niczego nie doprowadzi.

- Dobrze, zgadzam się na twoje warunki tylko pomóż przyjacielowi.

- Zapłata? - szybko rzucił gnom.

- Jaka zechcesz.

- Słowo?

- Słowo!

- Dobrze, w takim razie wybieram z góry i natychmiast.

- Na jego

obliczu rozgościł się szeroki chytry uśmiech.

- A co z pomocą?

- Jak tylko otrzymam zapłatę.

- Płacę!

- Dobrze - powtórzył Babayagr. - Zapłata jest taka - przyniesiesz mi jeden zużyty czar...

Cadron otworzył usta i trwał tak długą chwilę, aż uświadomił sobie, że

gospodarz umilkł i czeka na jego protesty. Skinął głową, jakby się zgadzał

na żądanie. W końcu, pomyślał szybko, musi coś więcej powiedzieć, wtedy

będę się targował.

Karzeł rozczarowany milczeniem gościa poruszył
zuchwą, rozgniatając
między zębami: - Jest takie miejsce, taki śmietnik z
wykorzystanymi
czarami. Niektóre takie czary znikają, inne zostawiają po
sobie ślad na
owym śmietniku. Wyślę cię tam, przyniesiesz mi jeden, a
ja natychmiast
spróbuję ulżyć twojemu przyjacielowi.
- Uratujesz go?
- Nie, źle mnie zrozumiałeś - spróbuję pomóc. Nie
gwarantuję skutku,
nie wiem jak blisko jest Mistrz Skonu. Na pewno nikt
więcej nie zrobi niż
ja, ale to może nie wystarczyć. Zresztą, twój druh może
już nie żyje...
- To jaki ja mam w tym interes?..
- Jeśli się da to pomogę. Ja, nie ten cały Kajtys!
Zapadła cisza. Cadron bał się ugody i jednocześnie w
dziwny sposób
przemawiała do niego arogancja i pewność siebie karła.
Mógł, oczywiście,
być chamskim naciągaczem, ale wtedy dlaczego
karczmarz niemal natychmiast
wywołał jego imię? Dlaczego Kajtys niechętnie, ale
przystał na jego
pomoc?.. Musiał mieć w okolicy dobrą opinię. Jeśli tak...
- Zgoda. Byle szybko. Wolałbym, na twoim miejscu,
żebym nie odchodził
stąd zagniewany! - zagroził.
Ale nie zrobiło to na karle żadnego wrażenia. Zeskoczył
ponownie z

zydła i pognał kiwając się na krzywych nóżkach do kufra pod ścianą. Wyjął

zeń dwa flakoniki, postawił na stole, rzucił się do kufra jeszcze raz i

pomrukując pod nosem dostawił dużą butlę i czarę. Z flakoników niedbale

chlusnął po niewielkiej porcji ciemnych, ostro pachnących cieczy, dopełnił

czymś, co miało konsystencję i zapach starej miodówki i podsunął

Cadronowi.

- I to tyle?

- Tak.

- Ależ ja nie wiem co mam robić!

- Powiedziałem - przynieś czar. Nie obawiaj się, nie pomylisz tego z

niczym.

- Ale gdzie ja będę, gdzie jest...

- Zaraz! Ty wypijesz to - wskazał palcem czarę. - Ja użyję magii, by

przenieść cię do Krainy Yuliq, a tam już będziesz musiał sam sobie radzić.

- Przysunął czarę do gościa. - No?

Płyn miał smak rzeczywiście starej dobrej miodówki zepsutej jakimiś

gorzkimi domieszkami. Z żołądka cofnęła się fala wzburzonych kwasów,

Cadronowi odbiło się głośno, zakręciło w głowie. Zdziwił się, że tak

zareagował na płyn, szerzej otworzył oczy, bo w izbie, nie wiadomo

dlaczego, ściemniało. Zaraz gruchnę na podłogę, pomyślał leniwie. Głupio

postąpiłem. Hondelyk czeka na pomoc, ja zaś zawierzyłem
jakiemuś karłowi,
który głupoty plecie o czarach i magii, a sam podsunął mi
miodówkę z
makowichą... Przy tym mag z niego jak z capa koń
bojowy.... Nawet nie
wykrył, że lżę o kolczudze... Cadronie, jakież z ciebie głu...
głup...
głu...

obudził go natrętny promień słońca penetrujący połać
lasu pod
drzewami, pod wysokimi krzewami; właściwie promień
nagrzał tylko siodło
usadowiwszy się na błyszczącej skórze na długą chwilę, a
śpiący
odwróciwszy się i dotknąwszy policzkiem rozgrzanego
miejsca poderwał się
wystraszony. Ręka od razu spoczęła na rękojeści miecza,
druga poszukała
czegoś do osłonięcia ciała. Ale nie było kogo ciąć i przed
kim się
osłaniać. Jakieś dwie ptaszyny postanowiły zmagają się w
długości i
urodzie swych treli, a rozpoczęły konkurs tuż po
przebudzeniu Wędrowca,

jakby zamierzały właśnie jego wybrać sobie na sędziego.
Widząc, że nic i
nikt mu nie zagraża z przyjemnością posłuchał śpiewu i -
nie zamierzając
wdawać się w jakiegokolwiek rozstrzygnięcia - przeciągnął
się najpierw na
siedząco, potem, gdy wstał, raz jeszcze, przykucnął dwa
razy i rozgrzany,
zgubiwszy senną sztywność, podszedł do konia od
dłuższej chwili
przeciągłym cichym parskaniem przywołującego go do
siebie. Wędrowiec
poklepał konia po szyi, zdjął derkę, przeniósł ją na plamę
słońca, a
kawałkiem suchej szmaty dokładnie przetarł skórę
wierzchowca.
- Poczekaj, potem pójdziemy do źródelka - obiecał.
Wrócił do legowiska, przypasał miecz, jeszcze raz się
przeciągnął.
Zamarł na chwilę ze zmarszczonymi brwiami, coś chciał
sobie ważnego
przypomnieć, coś, co mu pozostało z wczorajszego dnia.
Wspomnienie jednak
pozasłaniało się jakimiś innymi myślami i nie dawało się
wyciągnąć na
światło dzienne.
- Może tylko mi się śniło? - mruknął mężczyzna do
siebie jak człowiek
od dawna samotny i zmuszony do rozmowy z samym
sobą, kiedy raz przemawia
do siebie głosem, raz - myślą. - Albo później sobie
przypomnę...

Wzruszywszy ramionami odwrócił się do wierzchowca
zamierzając podejść
i spełnić daną przed chwilą obietnicę, ale nagle doleciał go
od
pobliskiego źródelka dziwny jękliwy i piskliwy dźwięk.
Wędrowiec starał
się nie spać w bezpośredniej bliskości wody, gdzie zawsze
pojawiał się
zwierz i człek, z nie zawsze przyjaznymi zamiarami. Teraz
też do wody miał
kilkanaście kroków, przebył je szybko i cicho, mimo że po
drodze miał
gęstwinę krzewów kryżnicy i sałamachy, a w ręku niósł
cienki i lekki, ale
długi miecz. Bezszelestnie pojawił się na skraju płataniny
krzewów i
jednym długim spojrzeniem ocenił sytuację na polance.
Po prawej miał źródelko, po lewej - ścieżkę zwierzyny
podchodzącej do
wodopoju. Na ścieżce stała sarna wpatrująca się w
Wędrowca miękkim
spojrzeniem ogromnych, ciemnych, cierpiących oczu. Z jej
karku sterczał
bełt, sarna stała bokiem, więc nie widział jak mocno
skrwawiona była jej
pierś, ale sądząc po tym, co wyciekło na bok, rana musiała
być poważna. Z
drugiej strony, nad źródłem, do sterczącej nad taflą wody
gałęzi ktoś
przywiązał dziwny puchaty sznur, koniec sznura oplatał
złożone razem stopy
trauta, a traut wpatrywał się w Wędrowca niemal tak
błagalnie jak sarna.

Potem jego spojrzenie prosząc: "Nie odrywaj ode mnie wzroku!" przeniosło się do góry, na sznur. Wędrowiec zmarszczył brwi i zobaczył teraz, że puchatość liny polega na tym, że oblepiona ona jest tysiącami mrówek, a w dwu miejscach przecięły one sznur niemal całkowicie. Skóra trauta, w normalnych warunkach nieapetycznie jasno - fioletowa, teraz miała odcień blado - sino - czerwony, przy czym głowa, jako część najniżej położona, miała najwyraźniejszy kolor czerwony, a wyżej, poprzez spętane ręce aż do oplątanych nóg, ciało nabierało koloru bledszego i fioletowego. W zupełnej ciszy nagle głośno turknął jakiś pękający splot sznura. Traut zakołysał się, a jego oczy i tak zazwyczaj duże, okrągłe i wytrzeszczone, teraz wyglądały jak dwie połówki małych czerwono - żółtych tykw. Sarna wyczuła wahanie Wędrowca i przestąpiła z nogi na nogę, trafiła kopytkiem w kamień i ten dźwięk zagłuszył trzask kolejnego pękającego włókna. Traut zaskwirzył przeciągle przypominając, że czasem nazywa się ich skwirami. Wędrowiec rzucił się do źródelka. Ciął mieczem, a los im pomógł - gdy wyciągał lewą rękę, chcąc nią sięgnąć sznura ten pękł, a stworek zaczął

spadać do wody i skuczyć jednocześnie; mężczyzna
rozpaczliwie runął do
przodu i zdołał uchwycić za goleń skwira. Sam
rozpędzony miał do wyboru
albo wpaść do źródelka, albo przeskoczyć je, spróbował
tego drugiego, ale
lustro wody było zbyt duże - wpadł po kolana, wzbiła się
fontanna kropel,
a traut zaskwirzył cienko i falująco. Jego rozdwojony ogon
podskoczył do
góry i opadł uderzając płasko w przedramię ratującego go
Wędrowca.

Mężczyzna zaklął pod nosem, wydostał się z wody i
przypomniawszy sobie o
sarnie rozejrzał wciąż trzymając w niewygodnej pozycji,
do góry nogami,
trauta. Sarna zniknęła.

- Hm? - mruknął mężczyzna. Wyszarpnął z pochwy
sztylet, położył trauta
na trawie i ostrożnie popiłowawszy lepki sznur uwolnił go
z więzów. Jeniec
przeturlał się, usiadł z widocznym wysiłkiem, odrzucił
resztki sznura i
długą chwilę chrząkał, kaszłał, pochrypywał.

- Dzięki ci, szanowny panie - powiedział w końcu
drżącym głosem. -

Może jesteśmy mali, ale nasza wdzięczność jest równie
duża jak Wielkich

Ludzi. Tym bardziej, że miałeś do wyboru pomoc innemu
stworzeniu. - Wstał,
zatarł przybierające już normalną fioletową barwę ręce. -
W końcu nie

wiedziałaś, że ranna sarna była li tylko wytworem magii Batchaline'a.

Spojrzenie Wędrowca jeszcze raz pobiegło do miejsca, gdzie przed

chwilą drżało ranne zwierzę. Wyciągnął szyję, spenetrował wzrokiem ścieżkę

- była czysta, trawa wyprostowana, ani śladu juchy.

- Batchaline rzucił standardowy czar opcjonalny - powiedział traut. -

Cykliczny, rzecz jasna, czyli pojawiał się na ścieżce wściekły kougur,

żeby wystraszyć, potem lamentująca dziewczynka ze zwichniętą kostką,

pardrwa ze zwichniętym skrzydłem i - na końcu - ta sarna - zakończył nie

kryjąc wstrętu. - I od nowa. Widziałem ten cykl siedemnaście razy, coś

okropnego.

Stworek najwyraźniej odzyskiwał kontenans, nadzwyczaj szybko, biorąc

pod uwagę, że jeszcze przed chwilą wisiał na włosku nad lustrem wody.

Człowiek uwolniony ze śmiertelnego niebezpieczeństwo jeszcze dłuższą

chwilę gadałby od tym, jak śmierć patrzyła mu w oczy, jak się męczył, jak

żegnał w myślach z bliskimi i przyjaciółmi. Skwir odzyskiwał o wiele

szybciej kolor i dobry humor.

- Czar, nie oszukujmy się, był zadany niedbale, w pośpiechu, tym nie

mniej cała masa ludzi rzuciłaby się do tej pozornej sarny, która zrobiłaby

kilka kroków resztką sił, potem jeszcze kilka, a ja w tym czasie wpadłbym

do wody! - wykrzyknął z wyraźną pretensją w głosie.

Przesłonił, po raz

pierwszy od poznania, błonami łuskowymi oczy, chwilę trwał nieruchomo.

Westchnął. - Przepraszam, ale tyle czasu wisiałem do góry nogami... Te

mrówki, które bezmyślnie cięły sznur byle zebrać odrobinę więcej

przeklętego miodu!

Wykrzywił w skierowaną w dół podkowę zaciśnięte płaskie wargi. Wypukłe

oczy popatrzyły na człowieka z nadzieją. Wędrowiec uśmiechnął się,

pochylił i położył dłoń na ciepłej, porośniętej miękkim puchem głowie.

- Musiałeś mu się narazić, temu magowi...

Błony łuskowe znowu zasłoniły na chwilę oczy. Traut wzruszył

ramionami, rozdwojony ogon zwinął się i rozwinął. Coś mi o takim

zachowaniu mówiono, pomyślał Wędrowiec, oznaka zdenerwowania? Strachu?

Wstydu? Chęć okłamania rozmówcy? Zadowolenie?

- Nie mówmy o tym - bąknął skwir. - To nic przyjemnego.

- Dobrze - wzruszył ramionami mężczyzna.

Wyprostował plecy, podszedł

do leżącego na ziemi miecza, podniósł, dwoma wypracowanymi ruchami

przetarł głównię połą kaftana i włożył do pochwy.

Rozejrzał się dokoła,

opuścił wzrok na ciamkający przy każdym kroku but. - No to bądź zdrow!

Pomaszerował dokoła źródelka w stronę swojego biwaku.

- Zaraz, poczekaj, panie! - usłyszał z tyłu pośpieszny krzyk i

chlastanie gałęzi. Obejrzał się, traut pędził w jego kierunku z wyrazem

zaniepokojenia na puciołowatym, a jednocześnie chudym pyszczku. - Chcesz

odejść?

- Tak, mój mały. Mam... swoje plany przecież.

- A ja?

Wędrowiec poczekał aż skwir podejdzie bliżej.

- Nie znam się za bardzo na twoim plemieniu - powiedział

usprawiedliwiającym się tonem. - Czy uratowanie cię wiąże się z jakimiś

szczególnymi... zobowiązaniami?

Po raz pierwszy od poznania traut uśmiechnął się szeroko. Miał w

pyszczku po dwa szeregi drobnych szerokich siekaczy i trzonów; na kły,

zęby mięsożerców, nie było w szczękach miejsca. Język miał delikatny

różowawy kolor, niby płat tambali, słynnej ze swego smaku ryby.

- Nie. Nie masz żadnych zobowiązań. To ja je mam, ale to też nie jest

tak, że muszę ci służyć... - zatrzepotał rozcapierzonymi palcami - ...do

śmie - erci, czy aż do splacenia dłu - ugu. - Przeciągał słowa jak dziecko

wyliczające swoje niezbyt lubiane obowiązki. - Ja bym chciał ci się odwdziżyć, ale jeśli nie chcesz mieć przy sobie małego zimnego skwira...

- Wzruszył ramionami, splótł długie palce i zacisnął splot tak mocno, że trzasnęły stawy.

- Nie - nie! - pośpieszył z zapewnieniem Wędrowiec. - Możesz...

możemy... Nie przeszkadza mi, że będziesz ze mną, nawet lepiej - będzie z kim porozmawiać.

Poczuł się niezręcznie i wiedział, że widać to po jego twarzy, ale nie

wiedział jak dobrze czytają z ludzkich twarzy trauty.

- No to chodźmy do mojego obozu. - Wskazał ręką kierunek, a sam

przykucnął i szybko ochlapał wodą twarz, sprawdził czy skwir odszedł

wystarczająco daleko i potrząsnął głową pozbywając się nadmiaru wody z

włosów. Dogonił maszerującego energicznie trauta.

Wypada wziąć go na rękę

czy nie? Może posadzić na ramieniu? Wzruszył ramionami. - Wybacz, ale mało

- jak mówiłem - znam wasze obyczaje, czy nasze rodzaje jedzą to samo?

- Tak, do pewnych granic - rzucił traut przez ramię.

Potknął się i

niemal nie wywrócił idąc bokiem. - Czy byłoby dużym dla ciebie wysiłkiem,

gdybyś wrzucił mnie sobie na ramię? - zapytał. - Po pierwsze, byłoby mi

łatwiej patrolować okolicę i ewentualnie odwdzięczyć ci się ostrzegając

przed opresją. Po drugie, nie spowalniałbym marszu. Po trzecie, gdyby co -

nie przeszkadzałbym w walce...

- Nawet gdybym chciał nie znalazłbym błędu w twoim rozumowaniu -

przyznał Wędrowiec. Pochylił się i choć wiedział, że do biwaku zostało

kilka kroków wziął skwira pod pachy jak dziecko i posadził sobie na

ramieniu. - Spodziewasz się walki?

Zapytał bez przekonania, ot, żeby jakoś zagadać. Traut poprawił się na

ramieniu, jego chwytny ogon oplótł się dokoła rzemienia biegnącego na ukos

przez pierś i ramię Wędrowca z powrotem do pasa.

- A ty nie? - odpowiedział pytaniem. W jego głosie nie słychać było

ani zmęczenia, ani strachu, choć spędził noc do góry nogami w śmiertelnym

niebezpieczeństwie, otrząsnął się szybko, zapomniał, odrzucił. - Wędrujący

po tej okolicy człowiek musi spodziewać się opresji, bo inaczej nie

doszedłby... - Zobaczył wierzchowca i poprawił się: - ... Nie dojechałby

tak daleko. - Energicznie rozejrzał się po małym obozie. - Sam?

- Sam - odpowiedział Wędrowiec zdejmując skwira i stawiając go na

ziemi. Podszedł do konia i odplątał wodze. - Rozgość się, proszę. Możesz z

sakw wyjąć suchary i suszone mięso, ser i co tam jeszcze jest. Ja muszę
napoić konia...

Skwir pokiwał główką. Gdy mężczyzna i jego koń
zniknęli za krzewami
rozejrzał się omiatając gospodarskim spojrzeniem derkę,
na której spał
człowiek, sakwy, siodło, drugi miecz oparty o pień
drzewa, pod którym
znajdowało się było legowisko.

- Lewą ręką walczy - mruknął do siebie. - Prawy miecz
jest cięższy,

raczej osłania i działa jak straszak. Tak... - Podeszedł do
sakw, zaparł

się stopą w ziemię, szarpnął sznur pętający jedną z nich.
Mimo że sięgał

Wędrowcowi do kolana, mimo że dla jego małych dłoni
sznurek był gruby jak

dla ludzkich gruba lina, poradził sobie zręcznie z
rozsupłaniem węzłów i

wyjmowaniem zapasów. Przy połowie ogromnego bochna
namordował się trochę,

ale zerknąwszy na wydeptaną już przez Wędrowca ścieżkę
zaparł się,

wyszarpnął bochen z sakwy, niemal przewrócił się pod
jego ciężarem na

plecy, ale stęknąwszy utrzymał równowagę i doniósł
brzemień na rozłożoną

wcześniej cienką nabukową skórę. Upewniwszy się, że
człowiek nie widział

jego zmagania z ciężarem odetchnął i otrzepawszy ubranie z
okruchów, przy

okazji ścierając trochę miodu z nogawek ciasnych grubo tkanych spodni,
usiadł w końcu na trawie. - Próżność mnie kiedy zgubi - mruknął do siebie.

Przełknął ślinę, ale nie dotknął niczego z rozłożonych zapasów,
dopiero gdy Wędrowiec wrócił i usiadł skrzyżowawszy nogi, a potem wskazał
zapasy, traut podziękował skinieniem głowy i odłamał klin sera, w który z
wyraźną przyjemnością wbił zęby. Mężczyzna odciął kilka płatów mocno
uwędzonej ciemnej szynki, oderwał kawał chleba.

- Jak cię zwa? - zapytał.

- Lassawan Gurby Tre Hanli - Frewyn á Lusse
Zrawendass Hum Honye
Kollop - Te Wontowon Tewonti.

Traut, zanim wygłosił tych kilka słów, odłożył ser, wyprostował się i
odchrząknął. Po wygłoszeniu kwestii chwilę patrzył uważnie w oczy

człowiekowi, który nie wiedział jak zareagować na słowa skwira. W końcu

mruknął: - Godnie nadzwyczaj. - Odkąsił delikatnie kawałek sera, popatrzył

na siedzącego nadal nieruchomo trauta. - Kpisz sobie ze mnie, prawda?

- Nie. - Skwir pokręcił głową. - Nie kpię, ale po prostu żartuję. -

Wrócił do swojego sera. Spod oka zerknął na człowieka. - Pomyślałem, że
żart na początek dnia nie jest złym pomysłem.

- Nie jest! - Mężczyzna parsknął śmiechem.
Przypomniał sobie jak
uważnie, starając się choć cokolwiek zapamiętać, słuchał
długiego
"imienia". - Ale - tak poważnie - masz imię?
- Lassawan. - Zawiesił głos i czekał chwilę na reakcję
mężczyzny, ale
ponieważ tamten milczał kontynuował:
- Myślałem, że wiesz - wszystkie skwiry w ludzkim
języku nazywają się
Lassawan. - I dodał: - Przyjaciele mówiliby mi Lass,
wybawcy mogą mówić
jak chcą.
- Wszystkie skwiry nazywają się Lass? - Mężczyzna
przerwał zucie,
przełknął kęs, żeby zadać pytanie. Traut skinął poważnie
głową. - No to
jak mamy was odróżnić?
Lass wytrzeszczył oczy.
- Nie ma człowieka, który by widział więcej niż jednego
skwira naraz!
To jest po prostu niemożliwe - powiedział z
przekonaniem. - I się nie
zdarzyło...
Człowiek był pewien, że zakończenie miało brzmieć:
"...i nie zdarzy!",
ale z jakiegoś powodu traut nie dokończył. Wrócili do
jedzenia, ale skwir
czekał na coś. Żuł wolniej, zerkał na człowieka, który w
końcu westchnął i
odłożył swój chleb.
- No dobrze. Jeśli chodzi o mnie, to muszę się przyznać,
że nie

pamiętam swego imienia. Nic nie pamiętam, nie wiem kim
jestem, nie wiem co

to są skwiry czy też trauty i dlaczego mają na imię
Lassawan. - Rozłożył

ręce. - Uwierzysz?

- Tak - oświadczył poważnie skwir. - Od pierwszej
chwili wydawało mi

się, że jesteś pod czarem. Są takie czary, kapturowe,
znajdujący się pod

nim człowiek nie wie kim jest, po co robi to, co robi;
czasem też ma coś

zrobić, choć nie musi do końca wiedzieć, co ma zrobić?..

- To ja - mruknął Wędrowiec z ustami wypełnionymi
jedzeniem.

- Nie przejmujesz się tym zbytnio?

- A po co? - Wzruszenie ramion. - Przekonałem się, że
tłuczenie łbem o

ścianę nie ma sensu i nie jest zdrowe. Od jakiegoś czasu
wiem: obudzę się

i będę wiedział w jakim kierunku podążać. Tak sobie
wymyśliłem, że coś na

mnie tam czeka, ale co - dowiem się tam i nie wcześniej.

Traut wysłuchał słów mężczyzny z najwyższą uwagą,
gdy mówca wrócił do

jedzenia trwał jeszcze chwilę nieruchomo, potem poruszył
wargami jakby

chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.
Jedli chwilę w

milczeniu, potem nasyciwszy się Wędrowiec odetchnął i
poszedł do konia, by

wyczyścić go przed drogą. Wierzchowiec parsknął z
wdzięcznością, traut

skończył swój ser i zaczął powoli pakować resztę jedzenia;
chleb był już

mniejszy, ale zostawił go na koniec i - tak jak się
spodziewał - zanim

upakował wszystko mężczyzna skończył czyszczenie
konia, podszedł i bez

słowa porwał bochen, żeby wpakować go do sakwy. Lass
zręcznie zarzucił

pętlę na wór i omotawszy otwór zadzierzgnął. Rozejrzał
się, ale nie

zobaczył już dla siebie zajęcia. Usiadł więc pod drzewem i
przyglądał się

człowiekowi.

- W razie czego - powiedział nagle - potrafię zrobić tak.

- Wyciągnął

rękę w kierunku krzewu po swojej prawej ręce i nagle za
krzakiem coś

huknęło.

Wędrowiec odruchowo sięgnął do miecza, ale zaraz
pokiwał z aprobatą

głową.

- Na pewno może odwrócić uwagę w ważnym
momencie - stwierdził

poważnie.

- Ehe. Do tego właśnie służy. To jest czar wrodzony
skwirów i -

niestety - nasz jedyny, dlatego nie używamy go przesadnie
często, żeby

skutecznie działał.

Mężczyzna starannie wytrzepał derkę, zarzucił koniowi
na grzbiet,

wygładził, nałożył siodło, poprawił, zaciągnął popręg,
sprawdził. Chwilę

później był gotów do drogi. Podniósł głowę, żeby popatrzeć w niebo, wyglądało jakby wietrzył chwilę, wskazał Lassowi kierunek.

- No więc - ja tam. Jeśli nie masz nic lepszego do roboty i chcesz

podróżować ze mną - zapraszam.

Lass uśmiechnął się z wdzięcznością, poczekał aż człowiek włożył drugi

miecz do przymocowanej do siodła pochwy, podszedł do konia i zanim

Wędrowiec zdążył się pochylić podskoczył, chwycił strzemień, podciągnął,

przełożył rękę wyżej, potem drugą i już siedział okrakiem na szyi konia,

tyłem do głowy, z łękiem pomiędzy rozkraczonymi nogami, z ogonem zwiniętym

na pęku włosów z grzywy, by nie spaść w niespodziewanym przypadku.

Wędrowiec podszedł do wierzchowca i wstawił nogę w strzemień, gdy nagle za

krzakami rozległ się głośny ponury warkot. Oskoczył od konia i sięgnął do

miecza, skwir szybko zamachał rękami.

- To ten czar, ten kougur, co to miał odstraszyć ewentualnego zbawcę!

Mężczyzna skinął głową, wrócił do konia i wskoczył w siodło, poprawił się.

- Ten czar będzie tu działał do końca świata? - zapytał. - Każdy

podróżnik, który tu będzie spał może być zaatakowany przez kota?

- Zaatakowany - nie - e! - lekceważąco machnął ręką skwir. - Zauważ:

twój koń nawet nie strzyże uchem, to zwykła mara czasowa. Ktoś uważny nie

wystraszy się, gdy zauważy, że przez ciało kougura prześwitują krzaki.

Zresztą z czasem czar będzie słabł i wszystkie te widma będą coraz

bledsze.

- Już wszystko rozumiem. - Wędrowiec chwycił wodze, poruszył nimi i

posłuszny, świetnie ułożony wierzchowiec okręcił się w miejscu i skierował

w ścieżkę prowadzącą z szerokiego traktu na tę malutką wyrwę w gąszczu. -

Dziwne - rzucił nagle jeździec przecząc wcześniejszemu oświadczeniu. Traut

mrugnął dwa razy. - Dziwne, że dopóki ciebie nie spotkałem nie męczyło

mnie kim jestem i dlaczego tu się znajduję - powiedział człowiek. - Mam

wrażenie, że to nawet było wygodne - budziłem się i wiedziałem co mam

robić...

- My to nazywamy zawłaszczeniem umysłu - stwierdził mały pasażer.

- A ty się chyba nieźle znasz na magii, przyjacielu?

Wyjechali na trakt, skręcili w lewo i przeszli w kłus.

Milczeli. Po

długiej chwili traut ryzykownie puścił łąk i plasnął w dłoń.

- Co? - zapytał wyrwany z własnych myśli jeździec.

- Wisiałem nad wodą za karę, rzecz jasna - oświadczył skwir.

- To rzeczywiście jasne - prychnął mężczyzna. - Po co ktoś miałby cię

wieszać, gdyby nie chciał cię wystraszyć, to znaczy - ukarać - poprawił się.

- Ale - o ile mogę cię prosić - nie mówmy o tym więcej - powiedział

Lass.

- Dobrze - zgodził się człowiek. Jechali chwilę w milczeniu. - Wiesz

co, przyjacielu, zastanawiam się czy by nie było dobrze przyjąć jakieś

imię, wiesz, dla zwykłej wygody. Żebyś nie musiał krzyczeć w razie

potrzeby: "Ej, człowieku!". Mam tylko kłopot - żadne imię nie przychodzi mi do głowy.

- Może Bosse - rzucił natychmiast skwir, jakby czekał na tę propozycję od dłuższej chwili.

- Może być - zgodził się Bosse, jeszcze przed chwilą Wędrowiec, i po

chwili, odmierzonej rytmicznym odgłosem kopyt uderzających w niezbyt

dobrze ujeżdżonym szlak, zapytał: - Dlaczego akurat Bosse? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Jeśli znasz mit o Bosse Bez Złości... - Jeździec pokręcił głową -

...to... Acha. No, nieważne, przeglądałem kiedyś księgę z opowieściami,

między innymi o Bosse. Ilustracja przedstawiała, wypisz -
wymaluj, ciebie

- wysoki, szczupły, pobrużdżona twarz, ostre spojrzenie,
zręczność i pewna

groźba w ruchach...

- Ciekaw jestem jak dojrzałeś zręczność w ruchach
ilustracji!?

przerwał uśmiechnięty po raz pierwszy od zawarcia
znajomości człowiek.

Skwir zamilkł z otwartymi ustami, przyglądał się Bosse,
jakby chciał

zdecydować, czy aby z niego nie żartuje, w końcu zamknął
usta, oblizał

wargi.

- To była ruchoma ilustracja, rzecz jasna.

Bosse uniósł jedną brew i skinął wolno głową.

- Ruchoma, rzecz jasna - powtórzył.

Zerknął spod zmarszczonych brwi na trauta,
najwyraźniej czekał aż

tamtę przyzna, że żartował, ale Lass wpatrywał się w
niego poważnie i nie

zamierzał niczego prostować. Bosse skrzywił się
komicznie i zmienił temat:

- Znasz tę okolicę?

Odpowiedziało mu skinienie głowy, ale skwir nie
odezwał się. Bosse

zaczął zastanawiać się co może oznaczać nagłe milczenie
gadatliwego, jak

się dotychczas wydawało, stworka. Jechali w milczeniu
chwilę, chwila ta

wydłużała się aż stała się tak długa, że nie wolno jej było
przerwać byle

czym. Najpierw obaj zastanawiali się o czym myśli ten drugi, potem niepostrzeżenie pograżyli się we własnych myślach. Skoro jestem w jakimś magicznym świecie, myślał Bosse, to musi, że mam tu coś do zrobienia. Ten, kto mię tu wysłał, płynęły wolno myśli, miał w tym jakiś cel, dobry albo zły. Chciałbym wiedzieć, by nie splamić honoru... Chociaż, wydaje mi się, kiedyś honor wydawał mi się ważniejszy niż teraz. Teraz... Czy jestem sobą czy tylko magicznie popychaną kukłą? O, może ruchomą ilustracją, o której mówił skwir?! Zabawny stworek. Nic o nich nie wiem, chociaż na jego widok natychmiast przypomniałem sobie, że to traut albo po ichniemu skwir. Czy to, że znalazł się na mojej drodze jest znakiem? Jakim? Pomoże mi? Przeszkodzi? Jak? W czym? Westchnął i powstrzymał konia, przeszli do stępa. Dziwny człek, myślał Lass. Na pewno zaczarowany, ale od dawna... nie - nigdy nie widziałem człowieka tak dobrze spętanego czarem kapturowym. To słaby czar i najczęściej szybko puszcza, a przez cały właściwie czas działa tak sobie. Bosse zaś wygląda jakby był nadzwyczaj słaby duchem i dlatego... To znaczy - nie, on nie jest słaby duchem, ale czar jest tak

skuteczny w jego przypadku, że sam musiał chcieć mu ulec. Poddał mu się

bez walki i bez zastrzeżeń. Sam tego chciał. Po co? Jeśli ktoś chce coś

robić, to po co ukrywanie przed nim, co będzie robił? Tajemnica. Sekret.

Lubię sekrety. Zatarł w myślach ręce. A czy on wie, że kres wędrówki jest

tuż? Dalej nie zajedzie, bo i po co? Jeśli kieruje nim kaptur - czar to

tylko TO może być celem wędrówki. I co potem? Można TAM wejść, ale jak

wyjść?

- Gaber - odezwał się nagle Bosse. Popatrzył na trauta i ten zobaczył

jak wiele bezradności odbija się we wzroku mężczyzna. - Koń nazywa się

Gaber...

- Przypominasz sobie - stwierdził traut.

- Tak, ale... - Przygryzł wargi nie bacząc na to, że jeśli koń potknie

się, to grozi mu bolesne przygryzienie obu warg. - To nie ten koń! -

stwierdził zdziwiony, Lass nie zrozumiał co go konkretnie zdumiewa: to, że

ma innego konia, czy to, że wie o tym. - Ten... Ten?.. Nie pamiętam.

Pograżył się w rozmyślaniach, z miny - osądził traut - dość ponurych

albo ciężkich. Czasem z piersi mężczyzny wyrywało się długie westchnienie,

czasem błyskało w nich coś jak ulga czy nadzieja, ale z ust nie padało

żadne słowo. Co jakiś czas jeździec podrywał
wierzchowca do kłusa, ale
bardzo starannie odmierzał jego wysięk - znał się na
pewno na koniach i
na pewno je szanował. Minęło południe, a na bokach
wierzchowca nie
pojawiły się nawet plamy potu. Traut chwycił w każdą
garść po pęku włosów,
skrzyżował ręce na piersiach i w tej pozycji,
zabezpieczony przed
upadkiem, zdrzemnął się po kolejnym przejściu na stęp.
Człowiek nazwany
Bosse nie zauważał upływu czasu, odrywał się na chwilę
od rozmyślań,
wodził wzrokiem dokoła, zerkał przez ramię do tyłu i
znowu pogrążał w
zadumie. Dopiero gdy słońce, pokonawszy większą część
drogi po
nieboskłonie, wyrysowało na drodze, dokładnie przed
jeźdźcem długi cień,
Bosse otrząsnął się z rozmyślań, doczekał do pierwszej
przydrożnej polanki
i skierował nań konia. Gdy zeskoczył z siodła skwir
otrząsnął się,
otworzył oczy i puściwszy ubezpieczającą uprząż z włosów,
przełożył nogę
przez szyję i bez strachu zeskoczył na ziemię, choć
wysokość przekraczała
kilka długości jego ciała.
Nie rozmawiali ze sobą. Bosse popuścił popręg konia i
odprowadził go w
zakątek polanki, gdzie zachowało się kilka kęp wysokiej
nasączonej

cienistą wilgocią trawy. Sam ułożył się pod drzewem w słońcu, oparł

plecami o pień i gestem zachęcił trauta do spożycia obiadu. Sam odskubnął

kawałek sera i położywszy go na plastrze szynki pogryzał i pracowicie

rozcierał między zębami.

- Jesteśmy blisko - powiedział nagle Lass.

- Blisko czego?

- Parowu.

- Parowu. - Milczenie, mężczyzna zamyślił się na długą chwilę, lewa

ręka, z jedzeniem zamarła w bezruchu, palce prawej zatrzepotały. - Nic mi

to nie mówi. Dlaczego myślisz, że tam się wybieram?

- W okolicy nie ma niczego innego. Kto dotarł tu na pewno kieruje się

do Parowu, to jasne. Dla niektórych wszystkie drogi doń prowadzą. Twoja na

pewno - też. Zwłaszcza że...

Umilkł nagle i wsłuchał się w ciszę delikatnie nakrapianą szelestem

liści i czasem przerywaną brutalnym chrzęstem trawy w pysku wierzchowca.

Lass podniósł się i wyprężył na całą swą niedużą wysokość.

- Coś się dzieje? - zapytał Bosse. Wepchnął do ust pozostały kawałek

szynki z serem, wolno wytarł rękę o trawę, wstał, położył lewą dłoń na

szyszce kończącej rękojeść miecza. Palce zostały rozcapierzone, sztywno

wyprężone, skierowane we wszystkie strony, drgające niecierpliwie, żadne

mocnego chwytu i pracy: przekazania uderzenia z ręki na broń. - Wydawało

mi się, że nie ma tu zbójców...

- Zbójców?

- No, w ogóle - że od ludzi nic nie grozi...

- Tak. Od ludzi - nie.

- No to...

- Óóó... - Traut przyłożył pionowo ustawiony palec do szpary między

wargami. - Słyszysz?

Od południa narastał szmer. Mocny szurgot, przeciągły, narastający. Co

jakiś czas towarzyszyło mu trzaśnięcie jakiegoś konara, czasem skrzypiało

coś, zaskrzeczał jakiś oburzony ptak.

- Tabun koni? - zapytał cicho Bosse. - Coś innego?

Może przesuniemy

się, żeby nas nie stratowały?

- Na razie nie wiemy w jaką stronę, ale to nie konie...

- No to co?

- Jeśli się nie mylę... - Wsłuchiwał się w hałas, a ten narastał i

dawał się już bliżej określić - Bosse pomyślał, że taki hałas spowodowałyby kilka dużych pni drewna wleczonych po ziemi przez jakąś

siłę, może bezgłośnie stąpające konie. - To musi być...

Zamilkł znowu. Bosse sapnął ze zniecierpliwieniem.

Traut uniósł rękę,

zmarszczył się i pokiwał głową.

- Oygrafa - powiedział. - Tylko z której strony?

- Co to - do licha - jest?!

Skwir pokręcił głową, cmoknął.

- Jak by to wyjaśnić...

- Wykrztuś wreszcie, może będę w stanie zrozumieć!

Zanim traut otworzył usta, a nie śpieszył się, hałas stał się

dominującym w najbliższej okolicy dźwiękiem. Teraz brzmiało to jak szmer

jakiejś miękkiej, ale bezwzględnej lawiny obsuwającej się po łagodnym

zboczu. Trzeszczały gałęzie, szurgotało coś, huknęło pękające drzewo.

Bosse, widząc, że od Lassa nie dowie się niczego zacisnął ręce na

rękojeści miecza. Wpatrzył się w stronę lasu, zobaczył jak zadrzały

wierzchołki drzew, drzenie przeniosło się bliżej i jeszcze bliżej. To coś,

co wywoływało hałas, posuwało się wprawiając w drzenie ziemię. I było już

blisko. Traut podskoczył i zatarł ręce:

- Dobrze, nawet nie musimy się przesuwać, ominie nas...

Znowu trzasnęło jakieś drzewo. Zachwiały się gwałtownie krzewy i

między nimi pojawiło się łeb, a za nim szare obłe cielsko gigantycznego

robaka.

- Robał?..

- Ale jaki! - sapnął traut.

Oygrafa zamarła i nagle po jednym skurczu ciała wypadła na polanę. Jej

grubość przekraczała wzrost mężczyzny, wątpliwe by zmieściła się w

drzwiach przeciętej stajni, Bosse odruchowo cofnął się.
Cielsko śliskie,
połyskujące rzuciło się znowu do przodu, a potem łeb
zamarł w bezruchu
czekając na resztę członowanego odwołka. Na samym
czubku łba, bliżej ziemi
znajdowało się trójkątne rozcięcie, jak nozdrza królika,
rozwierało się na
chwile, stwór wciągał powietrze aż pochylały się w jego
kierunku
najbliższe zielska i krzewinki, potem akłapki zamykały
się, a od czoła
ruszał do tyłu spazm, którego wynikiem było przesunięcie
reszty ciała w
kierunku głowy. Nagle wierzchovec Bosse kwiknął
przeraźliwie, jakby
dopiero teraz zauważył niesamowitego przybysza,
poderwał głowę szarpnął
się, zerwał zawinięte na pniu wodze i - zanim Bosse
zdażył się poruszyć -
rzucił się do ucieczki strzeliwszy na wszelki wypadek
tylnymi nogami w
powietrze. Traut rzucił się przed Bosse, zamachał rękami.
- Nie ruszaj się, oygrafa może ruszyć na ruch, a to nie
będzie
przyjemne! - syknął.
Robal trwał jeszcze chwile w bezruchu, potem
spazmatycznie szarpnął
bezokim łbem, reszta ciała wreszcie zrozumiała czego się
od niej oczekuje
i podążyła za głową. Okrągłe boki cielska pokryte były
gęstym śluzem, do

którego przywarły gałęzie, kępy mchu, masy liści, ziemia,
piach -
wszystko, co mogło przywrzeć do lepkiego ciała
posuwającego się na oślep
przez las. Głowa rzuciła się do przodu, ruch na polanie
pozbawionej
przeszkód był rzeczywiście szybki; ktokolwiek czy
cokolwiek znajdowałyby
się na jej drodze zostałyby zmiecione czy odrzucone w
dobrym przypadku,
zgniecione i przywalone w gorszym i najgorszym. Do
nozdrzy człowieka i
skwira dotarł ostry zapach, przypominający woń panującą
w zaniedbanej, nie
czyszczonej i nie wietrzanej stajni. Jednocześnie
zmarszczyli nosy i
zerknęli na siebie. Robal przeczołgał się przez niemal już
całą polanę,
jego łeb leżał już na drodze, a ciało rzucało się w
nieustającą pogoń za
nim. Oblepione przywarłym do śluzu poszyciem lasu
segmenty ciała poruszały
się niemrawo, ale gdy Bosse przestał patrzeć na głowę, a
skierował wzrok
na część najbardziej od niej oddaloną, zrozumiał, że
końcówka cielska
porusza się już w zastygłym na powietrzu kokonie ze śluzu
i przyklejonego
poszycia lasu. Teraz, kiedy trochę ochłonał po pierwszym
zaskoczeniu,
dotarło doń, że oygrafa była nie robakiem, ale raczej
olbrzymią larwą -

pękata, krótką, ślepa. Został po niej kokon, olbrzymia rura,
ta akurat

przegradzająca Bosse drogę. Ciekaw jestem, pomyślał, co
może wyrosnąć z

takiej larwy? Poczul powiew zimna na karku, strząsnął to
uczucie,

wyciągnął rękę i wskazał skwirowi drogę.

- Odetnie nas!

- Nie próbuj przeskoczyć jej przed łbem - szybko
ostrzegł Lass. -

Pluje czymś nieprzyjemnym, choć niegroźnym, ale nie
zdążysz już przebiec

po drodze, a w lesie chyba nie będziesz próbował?

- Ale nie przedostanę się...

- Przedostaniesz się, spokojnie! To za jakiś czas się
rozwali.

- A niech to!..

Bosse machnął ręką, nie odrywał jeszcze dłoni od
rękojeści miecza, ale

uspokoił się uznając racje trauta. Przyglądał się spokojniej
podrygującemu

cielsku, starając oddychać przez usta. Przypomniał sobie,
co stracił wraz

z koniem i w tej samej chwili Lass powiedział:

- Parów już jest blisko, nie będziesz potrzebował konia.

Odsunął się dalej od szlaku oygrafy, sprawdził dłonią
kępę trawy czy

nie jest wilgotna, usiadł na niej, a potem ułożył się.

Człowiek podszedł

bliżej, przykucnął. Zdawało mu się, że czuje na języku
smak tego czegoś,

co tak śmierdziało i wtedy szybko wciągał powietrze przez
nos, a potem

łumiąc łyzy wracał do oddychania ustami.

- Parów? - powiedział. - Co to jest? Czy to z jego powodu pojawia się

ten stwór, bo nie widziałem wcześniej... - przerwał i zamyślił się. -

Ciekawe - skąd wiem, że nie widziałem jej wcześniej?

Popatrzył na trauta, w jego wzroku Lass znalazł prośbę i ponaglenie.

- Myślę, że twój kaptur słabnie - powiedział. - Zresztą jesteśmy ak

blisko parowu, że nie masz innego wyjścia...

- Dużo wiesz - zatoczył ręką koło - o tym wszystkim?

Traut wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

Wyciągnął szyję i

przyjrzał się oygrafie. Tępy łeb dotarł już do drugiej strony drogi i wbił

się w las. Trzask nasilił się, ucichł, gdy łeb zamarł czekając na resztę

odwłoka, potem wzmógł się znowu i ścichł, gdy oddalił się od trauta i

człowieka. Zostali sami z odmienionym krajobrazem przeciętym ogromną

śmierdzącą rurą biegnącą nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd. Bosse

usiadł również, przemierzył spojrzeniem całą przegrodę i nagle powiedział

stanowczo:

- Albo mi powiesz co wiesz o Parowie, albo się rozstajemy. Jeśli coś

ukrywasz nie chcę cię mieć za towarzysza!

Wbił spojrzenie w pyszczek skwira i czekał. Lass odpowiedział długim

uważnym spojrzeniem, jego błony łuskowe na moment zetknęły się ze sobą w połowie wypukłych gałek ocznych, potem na moment wysunął się brzeg drugiej błony, mętno - błękitnej. Obaj czekali: Bosse na wyznanie trauta, Lass chyba na jakieś łagodniejsze słowa, ale nie padły. W końcu skwir westchnął.

- Każdy czar pozostawia po sobie ślad, żeby nie szukać daleko można powiedzieć, że zostaje po nim łuska, otoczka, skórka, może szkielecik?..

Czasem jakiś czar całkowicie się kończy, albo jest stworzony przez jakiegoś potężnego maga tylko na jeden raz; wtedy zostaje po takim czarze,

nie po magu, jądro, to coś, z czego został wywołany. - Małe ręce pokazały

kulę, otoczyły ją okrągłymi ruchami dłoni. - I to wszystko, te resztki,

łupiny, otoczki, pestki spływają do Parowu. Czy tyle chciałeś wiedzieć?

- Nie, ale widzę, że pytanie ciebie, co ja tu robię...

- Ty tu jesteś, bo masz wejść do Parowu, to oczywiste - przerwał skwir.

Bosse zamarł z otwartymi ustami. Siedział tak chwilę, potem potrząsnął głową.

- A... A to skąd wiesz?

- To proste - żaden człowiek nie przedostanie się tu, jeśli nie

kieruje się do Parowu. I to nie z własnej woli. To nie jest zwykła odległa

kraina za dwoma górami, trzema pustyniami, czterema morzami. - Zobaczył,

że Bosse marszczy czoło. Dodał: - Nie męcz się, przypomnisz sobie kiedy

będzie trzeba, ani mgnienie oka wcześniej, ani pół mgnienia później.

Zawahał się, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zmilczał, a człowiek

postanowił nie pytać, w obawie, że odpowiedź nie będzie przyjemna. Włożył

do ust ostatni kawałek sera, wstał z zamyślonym wyrazem twarzy, długo i

bez potrzeby otrzepywał ręce o spodnie, poprawił kaftan. Jego wzrok

przyciągnęła jakaś iglasta gałąź przyklejona do kokona, ale zsuwająca się

teraz po obłym boku, bezgłośnie przejechała cały bok i zaszurgotawszy

upadła na trawę. Bosse przeniósł wzrok na las, tam skąd wytoczyła się

larwa. Rura kokonu bez początku i końca zaczynała tam już się łamać -

górną część w oczach zapadała się, boki wyginały się do wewnątrz, ale

zanim wyłamały się zaczynały mocno parować, kruszały, odpadały od nich

całe kawały. Gdy powłoka kokona zaczynała dymić, to proces ten stawał się

coraz szybszy, nabierał tempa i właściwie nic nie opadało na ziemię, nic z

wyjątkiem przyswojonych części lasu - gałęzi, liści,
szpilek, mchu, trawy,
całych krzewów, jakiegoś pechowego gniazda. Mocny
zapach butwienia dotarł
do nozdrzy Bosse, przypomniał larwę. Popatrzył w lewo,
nie było jej już
widać, tylko chwilami słysząc było trzask. Posuwała się
wolno, miarowo,
ale bez przerwy i gdy się na chwilę odjęło od niej
spojrzenie natychmiast
okazywało się, że w tym czasie pokonała zadziwiająco
dużą odległość.
Pokręcił głową żegnając wspomnienie o gigancie,
odwrócił się do trauta.

- Czy to, że mnie nie dziwi twój widok - Leciutki
uśmiech przemknął
przez usta człowieka - to też magia?

- Tak, mówiłem - czar kapturowy, osłaniający cię,
jakbyś chodził w
szczelnym kapturze, przez który widzisz tylko część
świata, a to co
widzisz cię nie dziwi. Rozumiesz? Bo tylko to ci wolno
widzieć...

Wędrowiec znowu pokręcił głową z niedowierzaniem,
znowu, otrzepał
dłonie, przez kruszący się i zapadający pod własnym
nietrzymałym ciężarem
kokon popatrzył na drogę.

- Czyli wszystko, co się tu przydarza jest zaplanowane?

- Nie. Część jest nieprzewidywalna, jak oygrafa.

Mówiłem - bliskość

Parowu powoduje takie śmietnikowe efekty.

- Ucieczka konia też nie jest zaplanowana?

Lass roześmiał się. Człowiek znowu zobaczył dwa szeregi drobnych zębów. Padlinożerca, pomyślał.

- Nie wiem, ale myślę, że to nie ma znaczenia. Człowiek, którego pobyt w Parowie nie jest zaplanowany przez kogoś czy zaaprobowany, może mieć tabun śmigłych koni i nie dotrze nawet w pobliże tego miejsca. I odwrotnie - kto ma tam przybyć - przybędzie, nawet gdyby nie poruszał nogami.

Traut spod oka patrzył na człowieka, podniósł patyk i cisnął nim płasko, jakby puszczał kaczki na wodzie, w rozpadający się kokon; kij uderzył w miękką ściankę, przebił się przezeń i zniknął z oczu patrzącym.

- Hm? - chrząknął Bosse.

Skwir nie zareagował na pytająco - niedowierzający odgłos człowieka, powtórzył jego gest - otrzepał dłonie o nogi, rozejrzał dokoła.

- No to chodźmy.

Najpierw skierowali się w las, w stronę tej części kokona, która już

spłynęła na ziemię i zamieniła w burą maź. Skwir zatrzymał się i popatrzył

do góry, Bosse skinął głową, podniósł go i posadził go sobie na ramieniu.

Sam ostrożnie wybrał szlak pomiędzy plackami błota, udało mu się suchą

stopą przejść na drugą stronę polany, skwir nie poprosił o postawienie na

ziemi, więc Bosse podziwiwszy się w duchu nic nie powiedział, ruszył w kierunku, w jakim jeszcze kilka chwil temu konno podążali. Słońce wyraźnie opadało już ku horyzontowi. Obudziłem się w południe, pomyślał Wędrowiec nazwany Bosse. Może trochę wcześniej... I wcale mnie to nie zdziwiło? Nic mnie nie zdziwi? Nie dziwi nawet to, że nie dziwi? Jak to możliwe, co mi zrobiono, kto, kiedy, po co? Kara? Nagroda? Po prostu zlecenie? Może jestem wykonawcą takich dziwacznych zadań? Czy to możliwe, żebym coś takiego robił i nie pamiętał tego? Tak, skoro w ogóle nie pamiętam co robię, to może być też tak, że nie pamiętam czy pamięt... Och, co ja plotę?!

Roześmiał się głośno, z goryczą, kątem oka zobaczył jak skwir przekręca głowę, żeby popatrzeć mu w oczy.

- Nie przejmuj się, to śmiech, którego źródło leży w mojej własnej bezsilności i irytacji, nie ma niczego wspólnego z kimkolwiek poza mną.

Wydużył krok wróciwszy z polany na ubity szlak, pomaszerował szybciej, nie zwracając już uwagi na słońce. Dopiero po dwóch likrach marszu dotarło do niego, że dokoła niemal zapadają ciemności. Serce nagle

wykonało gwałtowny podskok i zakotłowało się w gardle;
słońce wisiało

jeszcze nad widnokregiem, w szczybie między dwoma
nierównymi szczytami,

ale jego mdłe promienie dziwnie pochłaniało czerstwiejące
powietrze -

blady mizerny krąg wisiał na bezchmurnym niebie i
wydawało się, że za

chwilę zgaśnie całkowicie.

Co to? - rzucił odrywając wzrok od słońca tylko po to,
by nerwowo

rozejrzeć się we wszystkie strony. - Do nocy jeszcze
daleko?..

- Deszcz? - bąknął skwir.

- Pha! Z czego? Gdzie chmura? Przynajmniej jedna? -

Wyciągnął rękę,

jakby chciał wziąć niebo na świadka i niemal w tej samej
chwili rozległ

się cichy najpierw werbel na niewidzialnym bębnie,
nadleciał zimny

wietrzyk tak niespodziewany i przenikliwy, że Bosse
odruchowo wstrząsnął

ramionami. Skwir omal nie spadł z ramienia, przetoczył
się i chwycił jedną

ręką za kołnierz, a drugą za ramię. - Przepraszam... -
Chwycił trauta,

pochylił i - wciąż wpatrując w niebo - postawił na trawie.
Wietrzyk

przeleciał raz jeszcze wlokąc za sobą cichy turkot, jakby
ktoś uderzył

opuszkami palców w napiętą skórę długiego basowego
bębna. - Nigdy czegoś
takiego...

- Wejdźmy pod drzewo - zaproponował traut. - Ale nie pod wysokie.

Jego propozycja spotkała się z uznaniem, Bosse szybkim krokiem zszedł

z drogi i skierował pod najbliższą kępę drzew, lecz zanim doszedł dokoła

panował szum ulewy. Tylko szum. Gałęzie drzew ugięły się jak pod strugami

wody, liście trzepotały i drżały, a trawa pokładała się pod uderzeniami

strumieni ciężkiego deszczu. Powietrze zgęstniało, powietrze warczało i

nawet uderzało masą niewidzialnych palców w ramiona i głowę człowieka.

Słuch informował Bosse, że znajduje się w środku strasznej ulewy, że na

jego ciele wygrywa werbel jakiś wieloreki stwór. Jedyne co przeczyło tym

odczuciom to to, że ani jedna, ani pół kropli wody tak naprawdę nie

uderzyło w człowieka, ani kropla wilgoci nie rozplynęła się plamą na jego

ubraniu. Dobiegł pod drzewo, spod gałęzi przyglądał się otoczeniu, ale nie

udało mu się dojrzeć niczego, co by tłumaczyło pozorny deszcz. Okolica

wyglądała zwyczajnie, jak droga i las polewane ulewnym deszczem, tyle że

nie było deszczu. Przez chwilę Bosse walczył z uczuciem, że deszcz pada,

ale zawsze poza jego wzrokiem; nawet usiłował szybko odwrócić się, ale

wszędzie widok był taki sam - trawa i liście drżące pod uderzeniami

kropel, których nie było. Nic nie czało się poza polem widzenia, nic nie

uciekało. Traut milczał, potem rzucił:

- Jeśli męczy cię to, to zamknij oczy.

Posłusznie przymknął na chwilę powieki, rzeczywiście - teraz złudzenie

prawdziwego deszczu wzmogło się i nie pozostawiło miejsca na żadne

wahania. Deszcz. Zwyczajna ulewa. W nos uderzył zapach wilgoci, podmuch

wiatru osadził na twarzy uczucie welonika mgły. Z piersi wyrwało się

przeciągłe westchnienie, Bosse po omacku sprawdził ziemię wokół siebie,

usiadł. Nie otwierając oczu, otoczony odgłosami ulewy, w którą chciał

uwierzyć, zapytał:

- Ile jeszcze do Parowu? Nie mamy zapasów... Koń je uniósł.

- Parów jest gdzieś tutaj - usłyszał. - Może za dwa kroki, może za

dzień marszu.

- No to jak mam...

Urwał słysząc chichot trauta, był to tak niezwykły dźwięk, że najpierw

musiał się chwilę wsłuchiwać, żeby określić co to jest, potem otworzył na

chwilę jedno oko i popatrzył z wyrzutem na współtoarzysza. Miał szeroko

rozciągnięte wargi, prawie do uszu, ale niemal nie odsłaniał zębów.

- Nie narzekaj - niektórzy mają Parów już za sobą. Przez całe życie,
od zawsze do zawsze - pocieszył go Lass nachichotawszy się do woli.

Bosse zamknął oko i chwilę rozważał słowa trauta, niewątpliwie w jakiś sposób pochlebne, ale zastanawiał się, czy aby nie niosą ze sobą jakiegoś

zobowiązania, jak większość pochlebstw. Zamyślił się tak głęboko, że

otworzywszy po chwili oczy odruchowo wystawił spod drzewa rękę, chcąc

sprawdzić czy deszcz nie słabnie. Lass znowu się roześmiał. Bosse zamknął

szybko oczy przywracając złudzenie. Długą chwilę leniwie rozmyślał nad

zachodzącymi od przedpołudnia zdarzeniami, kolejny raz, ale pobieżnie,

zadziwiła go jego własna reakcja na nadprzyrodzone pojawienie się skwira,

larwy - oygrafy, pozorny deszcz, suchy i głośny. Powolnie płynące myśli w

pewnej chwili zmieszały się, rozmyły, Bosse zrozumiał, że zasypia, ale ani

go to nie zmartwiło, ani ucieszyło, po prostu stwierdził: "Zasypiam? No to co!?"

Coś poruszyło się obok, coś dotknęło ramienia Bosse, jego kolana i

łokcia. Nie wiadomo dlaczego uznał, że to kilkanaście węży pełźnie po jego

ciele, jęknął i poderwał się na równe nogi; jakaś gałąź zadrapała ucho i

uderzyła w bark. Żadnych jednak węży nie było, na ziemi stał Lass z pstrą grubo tkaną derką w ręku, zamarł trzymając ją w wyciągniętych rękach.

Człowiek zrozumiał, że węży, których się wystraszył, na pewno nie było,

był natomiast Lass, który usiłował delikatnie go przykryć. Usiadł na

ziemi, ale wystraszony sen uciekł... Uciekł... Hej?! Wzdrygnął się

odpędzając senność, rozejrzał gwałtownie, tak - deszczu już nie było, nie

było słyhać, nie czuło się wilgoci i mokrego powiewu. Było jasno i

ciepło, wychylił się i wyjrzał spod konarów drzewa - słońce świeciło jasno

i wesoło i raczej było na nieboskłonie wyżej niż przed deszczem, choć

powinno być inaczej. Bosse pokręcił głową: wszystko może się tu zdarzyć.

Tak jak... O, właśnie!

- Skąd masz derkę? - zapytał Lassa.

Stworek śmiesznie zakłapał powiekami jak przyłapany na łasuchowaniu w

spizarni dzieciak. Popatrzył na derkę z wyrzutem.

- M - m - m - mmmm... E - em - mmm...

- Jeszcze można: "immmm" oraz "ammmm" -

podpowiedział zjadliwym tonem człowiek.

- Y - y... - Lass poderwał głowę i wyrzucił w końcu z siebie: -

Wyczarowałem, po prostu wyczarowałem. Pomyślałem, że jest nam potrzebna,

bardzo potrzebna i nagle poczułem, że ją trzymam w ręku.
- Zaraz! Mówiłeś wcześniej, że...
- Nie ciesz się, że przyłapałeś mnie na kłamstwie -
przerwał traut
tupiąc nogą, był zły i rozżalony. - Mówiłem, że mamy
przyrodzony jeden
czar i to jest prawda, ale mówiłem ci też, że w pobliżu
Parowu wszystko
się zmienia, prawda? - krzyknął. - Może gdzieś widziałeś
taki deszcz, po
którym zostają kałuże, ale nie czujesz go na twarzy?!
Bosse rozejrzał się dokoła - rzeczywiście: na drodze
widać było kilka
owalnych i nieregularnych lusterek gładkiej
zniecieruchomiałej wody.
- Pewnie, że nie widziałem - przyznał potulnie i zaraz
się poprawił: -
Nie pamiętam czy widziałem. - Zastanawiał się chwilę. -
Ale skąd wiem, czy
nie obudzą się w tobie inne możliwości?
- A w tobie nie mogą?
Bosse miał na końcu języka coś jak pytanie: "A czy to
ja się znalazłem
na twojej drodze?", ale przełknął je. Uznał, że nie ma
sensu zrażać do
siebie jedynego sojusznika, jakiego zyskał w tej
tajemniczej krainie,
jedynego, który coś wiedział o otaczającym ich, coraz
mniej zrozumiiałym,
świecie.
- Nie wiem - odpowiedział. - Ale mogę spróbować.
Zaczerpnął powietrza chcąc nateńczyć się i pomyśleć o
czymś z mocą, ale

traut zamachał rękami:

- Nie żartuj sobie, nie wiesz, co może ci się udać i jak się potem od

tego uwolnić. - Bosse wypuścił powietrze. - W moim plemienu - kontynuował

skwir - opowiada się jako przestrozę historię o tym, jak to pewien leniwy

traut postanowił zdobyć i jakoś, nieważne jak, zdobył buty wielkokroczone.

Wiesz - jeden twój krok w takim bucie to ileś tam kroków w rzeczywistości.

- Począł aż człowiek skinął głową i kontynuował: - Ale ten głupek nie

sprawił co zdobył, buty były nierówne, jeden robił krok - pół likry,

drugi krok - likra.

Zamilkł, Bosse odczekał przyzwoitą chwilę. Chrząknął znacząco.

- Nie rozumiesz? - zdziwił się traut. - Rozerwało go przy pierwszym kroku!

Człowiek uprzejmym śmiechem nagroził opowieść skwira. Wstał i

przeciągnął się. Wszedł spod dachu gałęzi. Rozejrzył się, pokręcił głową

rozciągając mięśnie szyi.

- No to może chodźmy dalej - zaproponował. - A nuż uda się dogonić

konia, w sakwach są zapasy.

Lass wstał i odrzuciwszy derkę skinął głową.

- Możemy iść.

Człowiek zamierzał wziąć trauta na ramię, ale skwir ominął go i

wyszędłszy na drogę pomaszerował raźnie, Bosse nie
zostało nic innego jak
tylko udać, że pochylił się, żeby otrzepać kolana spodni.
Splunął bez
śliny w trawę, ruszył za traudem. Dogonił go bez trudu,
zaczął się
zastanawiać, co znaczą słowa: "Parów jest gdzieś tutaj.
Może za dwa kroki,
może za dzień marszu". Nie było - jeśli skwir miał rację -
sensu się
śpieszyć, magiczne miejsce objawi się, kiedy będzie
trzeba, bez względu
czy on będzie w tym czasie leżał pod drzewem czy biegł
na wyścigi z
wiatrem.
Mały stwór kroczył zamasyżście, jakby chciał pokazać,
że wykorzystuje
człowieka tylko wtedy, kiedy ma to głębsze uzasadnienie,
a nie dyktowane
jest po prostu lenistwem. Nie chcąc przerywać ciszy Bosse
oddał się
kontemplacji okolicy, ale nic niezwykłego nie przykuwało
uwagi, las
wyglądał zwyczajnie: jak zwykle przy drodze krzewy były
wydeptane,
wycięte, przy drodze więc znajdowały się do razu wysokie
drzewa, dopiero
potem poszycie ginęło w gęstwinie krzaków. Jakieś ptaki
odzyskały werwę po
i zaczynały pierwsze krótkie i nieśmiałe popisy, jakby nie
były pewne czy
warto jeszcze dzisiaj rozpocząć kolejną turę
niekończącego się

śpiewaczego turnieju. Myszołów uznał, że można jeszcze
zapolować na
jakiegoś skołowanego "deszczem" gryzonia, wzleciał więc
z pojedynczym
trzaskiem skrzydeł i wzniósł się ponad drzewa, odleciał
pewnie nad jakiś
płaski, nie tak porośnięty teren.

- Właściwie, skoro wszystko jedno, posuwamy się czy
nie, to może byśmy

zrobili popas? - powiedział Bosse, żeby tylko jakoś
zagadać do skwira. Ze

zdziwieniem uświadomił sobie, że zaraz po tym jak słowa
uleciały z ust

poczuł rzeczywiście znużenie. Na dodatek coś w bucie się
przesunęło i

zaczęło uwierać. - Jakoś nie mam ochoty na dalszy marsz -
przyznał.

- Dobrze - ochoczo zgodził się traut. - Pierwsza polana
czy

cokolwiek, byle nie na gościńcu, i zalegamy.

Nasze zapasy, pomyślał Bosse, galopują gdzieś ho - ho!
A właściwie nie

jestem głodny, to też Parów? Zapytam... Nie, nie zapytam
Lassa, ciągle go

pytam. Jak dziecko na pierwszym w życiu targowisku. A
cio to, a cio tamto?

Droga skręciła i okazało się, że po jej lewej stronie
otwiera się mała

polanka, wymarzone miejsce dla niewielkiej grupy
wędrowców albo człowieka

i z natury swej niedużego trauta. Trawa była wysoka,
mięsista, dwa wysokie

rozłożyste chojaki szerokimi dolnymi gałęziami stykały się ze sobą tworząc

dość gęsty i szczelny dach nad murawą. Było to tak dobre miejsce, że obu

wędrowcom nawet nie przyszło do głowy pytanie drugiego, czy tu zostaną.

- Nazbierajmy gałęzi na ognisko - zaproponował Bosse i pierwszy ruszył do lasu.

- Poczekaj, pójdę z tobą. Jeśli będziemy mieli szczęście... - Lass

podbiegł i maszerował z uniesioną do góry jedną ręką, żeby nie pozwolił

sobie przerwać - to znajdziemy jedną dobrą i wystarczy na całą noc.

- Jedną?.. - powątpiewająco mruknął człowiek. Najpierw chciał zadrwić

z trauta, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że to raczej Lass jest

tu przewodnikiem i zdążył zmienić kpinę na zwątpienie. - Może lepiej

kilka? - dodał na wszelki wypadek wyraźnie pojednawczym tonem.

- Szukaj takiej, która ma wyraźne poprzeczne pierścienie ze

srebrzystej pleśni. - Nagle rzucił się w bok i podniósł gałąź. - O,

takiej!

Zawrócił w miejscu i wrócił do szpilkowców. Bosse poczekał chwilę, ale

widząc jego zdecydowanie ruszył za nim. Lass siedział już w kucki pod

drzewem, przed nim piętrzył się stosik równo połamanych patyczków, który

normalnie można by uznać co najwyżej za rozpałkę pod normalny ogień. Lass

niecierpliwie pomachał ręką, a gdy dostał krzesiwo strzelił iskrami w stos

i - mimo że nie było widać żadnego efektu - oddał krzesiwo. Chwilę później

- Bosse nie chował jeszcze krzesiwa - wbrew jego doświadczeniu i naturze

ognia, w stosiku coś prychnęło jak rozzłoszczony chrząszcz i uleciała zeń

strużka dymu.

- Nie?! - okrzykowi towarzyszyło plaśnięcie dłoni o udo.

Uśmiechnięty pyszczek skwira uniósł się do góry.

- Nie? - zapytał uprzejmie.

- Przecież... Ach tak - Parów. Parów?

- Tak. Niektóre gałęzie, te wszystkie... - majtnął palcem w prawo i w

lewo - ... płoną jak nie wiem co. - Dmuchnął delikatnie w coraz mocniej

dymiący stosik i gdy błysnął wesoły ogienek sięgnął po leżącą obok nogi

gałązkę i włożył w ogień. Błysnęło, fuknęło i zwarty kłębuszek dymu

poszybował ku górze. - Koniec - oznajmił zadowolony z pokazu traut. -

Mógłbyś zbierać nie wiem jaki stos i nieostroźnie krzesząc opaliłbyś

sobie brwi i wąsy, bo hufnęłoby tylko. Ale - przybrał pouczający ton i

podniósł do gry palec - jedna odpowiednia gałąź daje ci światło i ciepło przez całą noc. - Nagle pomarkotniał. - Tylko po co ja ci to mówię - poza

Parowem to wszystko nie ma znaczenia...

- No właśnie - powiedział Bosse zastanawiając się co też chciał przez to powiedzieć.

- Lepiej by było gdybyśmy...

Bosse nigdy nie dowiedział się co chciał powiedzieć Lass. Oczy skwira

rozszerzyły się na całą szerokość, aż widoczny stał brzeg trzeciej kociej

powieki, ukazał wszystkie zęby i na dodatek zatrzepotał rękami.

- Za! - jęknął. - Z - za... Z - z - za!..

Bosse nage poczuł, że za plecami rozwarła się gardziel z lodowatym

powietrzem. Ryknęło bezgłośnie i owiało całe ciało.

Zacisnął zęby, położył

lewą rękę na rękojeści miecza i wolno odwrócił się.

Za nim stała ognista, dorównująca mu wysokością postać. O wiele

chudsza, można by rzec: niepomiernie chuda, szczególnie jeśli by ktoś

popatrzył na nią z boku. Wtedy bowiem stawała się cienka jak wyrzeźbiona z

płonącej deski. Stworzenie kiwnęło się na boki, płonące ciało dziwnie

zaskrzypiało, pojedyncze ogniki oderwały się i poszybowały krótko w górę.

Twarz, mimo że jak i reszta ciała rysowana była płomykami, miała dziwnie

wyraziste rysy, niedobre, złośliwe, złe. W miejscu oczu migotały dwa stałe ciemniejsze płomyki; tak samo odpowiednio ciemnymi i jasnymi płomykami zaznaczane były wszystkie rysy twarzy ognistego stwora oraz inne detale jego sylwetki. Przez mgnienie oka Bosse oskarżał w duchu trauta, bawiącego się magicznymi gałązkami, o spowodowanie pojawienia się zjawy. Na dole oblicza potrzaskującego z cicha przybysza poruszyły się płomyki i zarysowała się kreska ognistych niby - ust.

- Jestem O - gniew - rozbrzmiało niewyraźnie.

Głos przypominał furkot ognia w dobrym i dużym kowalskim piecu, gdy nie ma w nim jeszcze sztaby metalu, a tylko miechy wbijają weń strugi powietrza. Głos był niewyraźny i groźny. W komplecie z postacią, z brzmieniem i znaczeniem imienia, i ciepłem - dopiero teraz Bosse to poczuł

- bijącym od sylwetki spowodował, że w gardle człowieka wilgoci zrobiło się tyle, co w południe na środku pustyni Qoke - Macanta. Kątem oka zauważył z wdzięcznością, że traut staje obok jego prawej nogi.

- Ja jestem Lass, a to Bosse. Tak go nazwałem - powiedział cicho Lass.

- Nazwałeś go, bo jest twój?

Mówiąc "twój" O - gniew tak przeciągle furknął, że dwa płomyki

oderwały się od jego "brody" i wystrzeliły w kierunku skwira, na którego w

tym momencie patrzył. Bosse zdążył wysunąć rękę i przegrodzić drogę

płomykom. Uderzyły w dłoń. Zgasły. Nie poczuł nic.

- Nie. Jest oczarowany, nic nie pamięta, tyle że ma przyjść...

- Co on ma jest nieważne, ważne co ma! - przerwał O - gniew zagadkowo.

Odruchowo zastanawiali się czy ma coś szczególnego na myśli, czy po

prostu nie zrozumieli jego ognistej mowy. Stwór wyciągnął rękę i zanim

poruszyli się chwycił Bosse za lewy łokieć, pociągnął, sam cofając się.

Lass krzyknął coś i chwycił człowieka za nogę ciągnąc w drugą stronę.

- Nie! - wrzasnął. - On ma coś zrobić i nie wolno ci w tym

przeszkadzać!

- Nie - e? - zdziwił się O - gniew. Puścił ramię Bosse, który dopiero

teraz poczuł w nim nieznośne pieczenie. - A kto mi zabroni? Może ty,

pokurczu? - Zadarł głowę do góry i furknął kilkoma płomieniami w niebo.

Bosse odchrząknął.

- Do wyzwisk sięgają przegrani.

O - gniew przeniósł ciemne płomienioczodoły na trauta i popatrzył nań

- jak się Bosse wydało - ze szczególną uwagą.
- Dobrze więc. - Odwrócił się do człowieka i oświadczył: - Możesz po prostu pójść za mną prostą drogą...
- Bez możliwości powrotu! - wrzasnął skwir.
- Owszem - zgodził się dobrodusznie O - gniew. - Ale przejście do Parowu bez wzniecania mojego gniewu też coś znaczy.
- A... druga możliwość? - zadał pytanie Bosse.
- Zmuszenie mnie bym cię wpuścił. Jeśli ci się uda - wchodzisz doń jak gość i wychodzisz kiedy chcesz.
- Zaś gdy się nie uda... - znowu odpowiedział traut.
- Hm... Trudno, wtedy ja decyduję o losie takiego nieszczęśnika. Ha -

ha!
Myśli jak stado śmigłych pierzyków przemknęły przez głowę Bosse, każda wyrazista i głośna. Jeśli... może... gdybym... o ile... ale... Przecież nie zostałem tu przysłany, by oddać się na łaskę O - gniewa, pomyślał tłumiąc wszystkie wątpliwości. Coś mam zrobić? Lass niedawno o mało nie zdradził co wie albo czego się domyśla, ale... Zaraz! Jeśli zostałem wysłany do Parowu, to przecież nie po to, bym walczył z O - gniewem!?

Skoro zaś tak, to jedyne, co można było mi zlecić to przeniesienie czy przyniesienie jakiegoś czaru? Jądra? Czego?

- To co mam zrobić, żebyś mnie wpuścił? - zapytał starając się mówić

jak człowiek spokojny i pewny siebie. W miarę, rzecz jasna, pewny siebie.

- Wymień warunki.

- Ho! - furknął głośno O - gniew. Gwałtownie wyciągnął ogniste ramiona w górę, ten ruch spowodował, że przez chwilę wyglądał jak ognisty ptak

wzlatujący w niebiosach. - Zagadka.

- Zagadka???

- Tak. Po prostu zagadka. A co chciałeś - zmagań ze mną? - Roześmiał

się głośno, a człowiek i traut zgodnie odskoczyli na boki. Długa wstęga

ognia oderwała się od płomieni i O - gniewa, poszybowała przez

przestrzeń, przed chwilą przez nich właśnie zajmowaną i uderzyła w ziemię.

Wbrew temu co Bosse czuł, a właściwie czego nie czuł przed chwilą, gdy

płomieniodłoń chwyciła go za ramię, teraz w miejscu uderzenia płomienia

zafurkotały spalające się w jednym błysku gałązki. O - gniew przeciął ręką

powietrze, zafurkotało, a ramię rozjarzyło się mocniej, jak rozpalana

żagiew. - Gdy przegrasz możemy nawet się pomocować - oświadczył. - Czemu

nie? Wtedy będziemy mogli...

- No to zagadka! - twardo oświadczył Bosse nabierający w miarę rozmowy

przekonanai, że tylko sama postać O - gniewa jest przerażająca, a jego

groźby mają na celu skruszenie jego hartu. Lass z aprobatą klasnął w

dłonie. - Czekam.

O - gniew cofnął się o pół kroku i jakby nadał, w każdym razie jego

postać zrobiła się masywniejsza, jakby cięższa, większa. Trwał chwilę

nieruchomo, a potem wycharczał ciężkim niskim porykliwym głosem:

- Co jest najzimniejsze na świecie, co jest najgorętsze i które

stworzenie może przetrwać i jedno i drugie?

- To są trzy zagadki - zaprotestował Bosse zastanawiając się

gorączkowo.

- Twoim zdaniem - trzy. Moim - jedna. Ale to ja zadaję zagadki -

wymruczał nieco ciszej O - gniew, ale nawet w tym niewyraźnym pomruku

nietrudno było znaleźć sporo zjadliwej radości i triumfu.

Mam wrażenie, że znam to, myślał gorączkowo Bosse. Znam, muszę znać.

Dlaczego...

- No? - ponaglił O - gniew.

- Zaraz - wypalił Lass. - Nie było mowy o tym, że ma natychmiast

odpowiedzieć, ty zadajesz zagadki, a on odpowiada. To są jedyne warunki!

- Zgoda - po chwili namysłu powiedział O - gniew. - Może sobie myśleć

aż do szczytności czasu. Aż do...

Chłód kojącym ciepłem rozlał się po duszy Bosse. Uniósł rękę i

powstrzymał gadatliwego strażnika Parowu.

- Nie muszę już myśleć. Mam odpowiedź. Więc tak - najgorętsza jest

miłość, najzimniejsza - nienawiść... - O - gniew otworzył płomieniusta,

Bosse natężył głos i przyspieszył: - ... a stworzeniem, które przetrwa i

jedno i drugie jest człowiek! - Nagle poczuł, że musi coś jeszcze

powiedzieć, bo inaczej przegra i ktoś, coś przesądziło mu do umysłu

właściwe słowa: - Cokolwiek byś nie powiedział - to właściwa odpowiedź i

nie zgadzam się, jeśli uważasz inaczej! - wykrzyczał.

Zamarły w bezruchu O - gniew wahał się, tworzące go płomyki zadrżały

i Bosse nabrał pewności, że stwór zaraz rozplynie się, rozmyje, zgaśnie, a

wtedy oni będą mogli już bez przeszkód dojść i wejść do Parowu i...

- Dobrze. Idziemy! - i zanim Bosse zdążył się poruszyć czy nawet

cokolwiek pomyśleć O - gniew wysunął rękę i ponownie chwycił go za lewą

rękę. Pociągnął, a wtedy za kolano Bosse chwycił Lass i pociągnięty

człowiek wciągnął go do Parowu. - Oto... - zahuczał stwór.

Znaleźli się na jasnej polanie, światło uderzyło w oczy, musiał

zmrużyć powieki i opuścić głowę. Uświadomił sobie, że prócz światła coś w

powietrzu szczypie w oczy, dopiero po długiej chwili, mimo że bardzo był

ciekaw okolicy, mógł przyjrzeć się otoczeniu.

Nie znalazł w pierwszej chwili niczego ciekawego. Las otaczający ich z

trzech stron składał się ze zwyczajnych jodeł, buków i brzoź, trawa była

zwyczajna i nie kicały po niej żadne bezuचे magiczne zające ani nie pasły

się dwugłowe sarny z jednorożcami, ale drzewa kołysały się bez wiatru, a

niebo miało nieprzyjemny zimny szarobłękitny kolor i nie było na nim

słońca; cały nieboskłon świecił równomiernie dając niemal południowe

letnie światło.

- Zawołaj mnie... - burknął nagle z boku O - gniew.

Gdy Bosse odwrócił się, chcąc na wszelki wypadek zatrzymać stwora,

zostały po nim tylko dwa czy trzy pojedyncze niezdecydowane płomyki,

kołyszące się przez krótką chwilę w powietrzu. Potem zgasły. Zostali sami.

Ich głowy zatoczyły pełne koła w przeciwnych kierunkach. Popatrzyli na

siebie, Bosse westchnął.

- Myślałem, że wszystko będzie jaśniejsze tutaj - mruknął cicho.

- Hm?

- Że wszystko się wyjaśni tutaj, myślałem tak - powtórzył człowiek. -

Myślałem tak: skoro mam wziąć jakiś czar - leżą tam hałdy czarów i wezmę

sobie po prostu jakiś. - Rozejrzał się jeszcze raz. - A tu...

Traut rzucił mu szybkie pytające spojrzenie.

- Nic sobie więcej nie przypomniałeś?
Zastanawiał się chwilę. Pokręcił głową, nie chciało mu się otwierać
ust. Popatrzył w stronę naturalnego, jedyne w gruncie rzeczy wyjścia z
polany. Zrobił w tamtym kierunku dwa kroki, zerknął przez ramię na trauta,
maszerował tuż za nim. Wyszli na przedlesie, w prawo las ciągnął się jak
okiem sięgnął, w lewo widniał tylko jego cypel. Skierowali się tam bez
wahania. Po kilkudziesięciu krokach traut skomentował cicho:

- Cisza.

Po następnej chwili człowiek przyznał:

- Cicho. Nie ma ptaków.

- I owadów.

- Tak, i owadów.

Nie odzywając się już do siebie dotarli do czubka cypla i mogli

zobaczyć, co się za nim kryje. Niespodziewanie stanęła przed nimi stroma

skalna ściana, kilkakrotnie przewyższająca wysokość najwyższych drzew,

choć dopiero z tego miejsca stała się widoczna. Bosse nawet cofnął się o

kilka kroków, a wtedy góra zniknęła. Wrócił do stojącego nieruchomo trauta

i nagle skała pojawiła się przed oczami.

- Tam! - powiedział nagle Lass.

Pokazał na coś ręką; Bosse, zaniechawszy myśli o szczegółowszym

badaniu fenomenu skały, zmrużył oczy i osłonił je
dasiem z dłoni. Na
wysokości kilkadziesiąt kroków w monotonie szarym
cielsku skały
znajdował się otwór. Jaskinia.
- Myślisz? - bąknął powątpiewająco. Nie miał ochoty na
wspinaczkę,
choć zdawał sobie sprawę, że jego ochota nie odgrywa w
tym miejscu żadnej
roli.
- A po co by tam była?! - prychnął skwir.
- No tak... - Pomaszerował posłusznie do skały i nie
zatrzymując się
podjął wspinaczkę. Po kilkunastu krokach wsłuchał się w
kroki za sobą i
zrozumiał, że ich nie słyszy. Obejrzał się. Lass stał
nieruchomo i smutno
wpatrywał się w człowieka, Bosse zmarszczył brwi, skinął
zachęcająco
głową. Lass pokręcił głową.
- Nie. Już nie - zawołał. - Nie potrzebujesz tam mnie.
Idź!
Po chwili wahania człowiek uznał racje skwira, skinął
głową, wrócił do
wspinaczki. Nie była trudna, była tylko wyczerpująca, coś
jak długie
schody bez poręczy. Osiągnął jaskinię zaledwie kilka razy
podparłszy się
ręką i ani razu dwoma. Usiadł pewnie i wygodnie,
popatrzył w dół. Lass
stał w tym samym miejscu wpatrując się weń. Gdy Bosse
podniósł wzrok,

jakoś dziwnie zasmucony wyrazistym spojrzeniem skwira,
okazało się, że
widzi tylko kawałek lasu, którego graniocce nagle
rozmywały się i
przechodziły w mętną szarość, za którą nie było już nic.
Zobaczył nagle,
że Lass macha ręką, a potem dotarł do niego drżący krzyk:
- I - i - idź!
Uświadomił sobie po co wspiał się tutaj. Wciągnął nogi
i podniósł się
jednocześnie odwracając. W jaskini było jasno, po prostu
jasno, jakby nie
miała sklepienia, ściany były równo karbowane i Bosse
uświadomił sobie, że
tak wyglądałby od środka kokon, na przykład, oygrafy.
Myśl, że mógłby się
znajdować wewnątrz odwłoku olbrzymiej larwy
wstrząsnęła nim, splunął na
ziemię i poszedł wolno korytarzem. Kilkanaście kroków
dalej zobaczył niszę
w skalnej ścianie. Podeszedł ostrożnie i zajrzał nieufnie.
Leżał tam kamień
gładki i owalny niczym jajko skalnej kury; przyglądał mu
się długą chwilę,
oblizwał wargi i wytarł nagle spocone dłonie, ale
powstrzymał się i nie
dotknął jajka. Ruszył naprzód, szybciej, energiczniej, ale
nie było do
czego się śpieszyć. Po lekkim skręcie pojawił się wylot
jaskini, podeszedł
do niego ostrożnie i wyjrzał.
Skwir stał z wciąż zadartą głową i wpatrywał się w
otwór jaskini.

Bosse zmarszczył brew i machnąwszy do trauta rzucił się do tyłu, biegiem pokonał korytarz zwracając uwagę na skrety, były dwa, oba łagodne, w lewo i w prawo, nisza z jajem znalazła się znowu z prawej strony korytarza.

Wylot również świecił i Lass, jak i poprzednio, stał i gapił się do góry.

- To na pewno nie jest koło! - syknął do siebie Bosse. - Korytarz

przechodzi skałę na wylot. I co? - Odwrócił się, poszedł do wnęki, zawahał

się stojąc przed nią, ale nie widział innego sensu wspinaczki. Wyciągnął

rękę i delikatnie trącił jajko czubkiem palca. Było twarde i chłodne,

zwyczajny kamień. Ostrożnie wziął je w palce, potrzymał chwilę czekając na

jakieś oznaki niezadowolenia: drzenie, gorąco, blask, hałas, ale nic

takiego nie wydarzyło się, więc chwycił jajo mocniej i wyciągnął z niszy.

Dalej nic. Przyłożył kamień do ucha, ale nie dostał żadnego sygnału. - No

to wracamy - powiedział i uświadomił sobie, że powiedział to do kamienia,

żeby mógł zaoponować, gdyby nie chciał być wyniesionym stąd. Kamyk leżał

jednak obojętny zimny i kamienny. Bosse ruszył do wyjścia, zobaczył

znajomy już odcięty mglistym nożem od większej całości las i polankę z

traudem. Pokazał mu jajo trzymając je mocno między kciukiem i trzema palcami, a Lass skinął z aprobatą głową. Wtedy schował kamień do kieszeni na piersi, sprawdził sznureczek zamykający ją i zaczął schodzić ze skały.

Było stromo i nie dało się schodzić inaczej jak twarzą do skały, gdy

zszedł na trawę i odwrócił się do Lassa traud zamachał obiema rękami

uprzedzając pytanie:

- Nie wiem. Skoro wzięłeś właśnie to, to znaczy, że miałeś wziąć

właśnie je!

- Nie było tam nic innego.

- Tym bar... - Lass urwał i rzuciwszy spłoszone spojrzenie na coś za

plecami Bosse dokończył: - ...dziej.

Bosse odwrócił się szybko, za jego plecami rozpałał się O - gniew.

Najpierw ni stąd ni zowąd pojawiały się pojedyncze płomyki, skakały w

poietrze to tu, to tam, zostawiając po sobie inne rozpalające się i

pełgające niemrawo, a potem zasyczało jakby mokre polano trafiło do sytego

kominka. Pojawił się cały O - gniew.

- A? Masz coś? - zafurczał, z warzącym lekceważeniem w głosie.

- Tak. - Bosse posłusznie wyciągnął rękę i pokazał mu jajo.

- O? Ładny kamyk - zadrwił O - gniew. - Po to tu przyszedłeś?

Bosse bezradnie popatrzył na Lassa. Traut zawahał się, poruszył ustami, ale jakby podjąwszy jakąś decyzję wskazał wzrokiem O - gniewa i pokręcił głową. Dodaje mi odwagi, zrozumiał Bosse.

- Może tak, może nie - rzucił hardo. - Umowa była, że wchodzę i wychodzę kiedy chcę.

- Of - f - fszem! - rzucił radośnie O - gniew. - Wejść i wyjść, ale nie wynosić!

- J - jak to?!

Zaległa cisza. O - gniew pofurkiwał ogniem, traut westchnął i Bosse zrozumiał, że to nie on ma teraz rację. Przełknął ślinę.

- Muszę to wynieść - oświadczył.

- Dobrze. Możesz - zgodził się niespodziewanie i łatwo O - gniew. - On zostanie tutaj.

- Kto? Lass? Dlaczego?.. - machnął ręką odcinając własne pytania. - Nieważne - nie!

O - gniew wzruszył ramionami. Lass skinął głową.

- Nie - powtórzył Bosse. Zmarszczył czoło i zaczął słuchać własnych myśli. - Co...

- Bosse - powiedział cicho Lass. - To nie ma sensu. Przecież po to tu przyszedłeś, dla tego jajka ktoś rzucił na ciebie czar, a taki czar może zadziałać tylko za zgodą zaczarowywanej osoby, więc musiałeś chcieć.

Zrozum - płacisz tym jajem za coś, na czym ci zależy. Nie możesz więc

teraz uciekać od decyzji. Rozumiesz?

- Rozumiem. Nie... Nie wiem...

- Rozumiesz.

Bosse milczał chwilę, coś zaczęło przebijać się przez rozproszone

przez czar myśli i wspomnienia.

- Przyjaciół... Mistrz Skon?

Lass westchnął głęboko: - No właśnie. Spodziewałem się czegoś

podobnego. Nie masz wyboru.

O - gniew syknął, z płomieni ust wyrwało się "huff!", Bosse drgnął.

- Ja...

- Zostawiasz kamień? - warknął O - gniew.

- Nie! - powiedział Lass.

- Albo zostaje kamień albo on! - przypomniał z mocą płomienny strażnik.

- Nie próbuj! - zawołał traut. - Wyjdiesz na głupca i nikomu niczego

dobrego nie przyniesiesz!

- Ale co z tobą? - krzyknął Bosse i sam poczuł, że pytanie jest

pierwszą rysą w jego jeszcze przed chwilą twardym pancerzu zdecydowania,

że już szuka dla siebie usprawiedliwienia. - Nie, nie mogę...

- Ostatni raz pytam? - zarechotał O - gniew.

- Bosse, wiedziałem od początku. Naprawdę - skwir zrobił krok i trącił

rękę człowieka. - Mówiłem ci - ludzie nie widzą nigdy więcej niż jednego

trauta na raz. A wiesz dlaczego? Bo jesteśmy zawsze z jakąś przysługą dla

człowieka. Zawsze, zawsze i zawsze. Poto nas się wywołuje, to taki nasz

życiowy cel. Potem możemy...

- Nie wierzę ci! Ja nikogo nie wywoływałem...

- Uwierz. Byliśmy sobie pisani i nie my o tym decydujemy. A jedyne, co mogłem dla ciebie zrobić, co musiałem dla ciebie zrobić, to przyprowadzić

tutaj i teraz wyprowadzić.

- Tylko że ja nie wiedziałem o tym i gdyb...

- Ostatni raz...

- Cicho! - wrzasnął traut z taką mocą, że i człowiek i O - gniew

zamilkli zaskoczeni. - Nie myśl, że on mnie tu upiecze albo rzuci ze

skały w przepaść. Tutaj po prostu będę żył inaczej. W końcu nie on tu jest

najważniejszy, to tylko strażnik. Proszę cię, Bosse. - Tracił jeszcze raz

rękę człowieka i zwrócił się do O - gniewa: - No, idziemy, ty kaganku

usmolony!

Bosse zrozumiał, że powiedział to dla niego, zawahał się. Skon, traut,

O - gniew, kamień, traut, czar, zakotłowało mu się w głowie. Przyjaciel...

Traut przyjaciel? Kto?

- Odpowiesz mi teraz albo zabieram... - zaczął wolno huczeć O - gniew.

- Tak. Wychodzę - wykrztusił człowiek. - Żegnaj Lass.
Ja będę...

O - gniew rozpadł się nagle na tysiące małych iskier,
zasłonił

płomiennymi smugami całą przestrzeń przed człowiekiem.
Bosse krzyknął i

odskoczył do tyłu. Jaskrawość nakryła go kłującą narzutą,
wstrzymał oddech

bojąc się wciągnąć do płuc płomienie i nagle poczuł, że
odrywa się od

ziemi i leci; przez chwilę wydawało mu się, że spada, po
chwili, że się

wznosi. Stracił poczucie góry, dołu, boku, zimna, ciepła,
ból... Przestał

czuć ręce, przestał słyszeć i widzieć, chciał krzyknąć...
Chciał...

Tuż przy oku płynęły brązowe fale nie wiadomo czego,
wpadały w cień

rzucany przez wysoki ciemny kształt i...

Drugie oko patrzyło w mętną ciemność. Coś
przygniatało czaszkę, jakby

leżał pod rozbitą barykadą...

W uszach pobrzmiwał jednostajny, mleczy,
monotonny szum...

Zamrugał, niespodziewanie okazało się, że może bez wysiłku poruszyć

głową, uniósł ją więc nieco. Okazało się, że leżał oparty czołem o stół,

przed sobą ma dzban z wypalanej gliny z drewnianym korkiem owiniętym

cienką skórką. Znajdował się w ciemnej izbie pełnej...
Babayagr!

Przypomniał sobie nagle i wszystko: napój, ugode, nie - nie tak: najpierw

ugoda, potem napój, potem... Czarna mgła. Sen? Utrata świadomości?

Na stole stał tylko dzban, dzban, którego - był tego pewien - gdy

zasypiał nie było. Przed chwilą to było, pomyślał, czy przed... Ile minęło

czasu? Rozejrzał się. Izbę rozświetlały płomienie kaganków, nie wskazywały

upływu czasu jak świece, za oknami panowała ciemność. Gdzie karzeł? Może

wstanę i poszukam?

Zaparł się rękami o blat stołu, zapiekło w lewym łokciu. Opadł z

powrotem i sięgnął do rękawa koszuli.

- Już? - zapytał z tyłu zachrypty głos.

Odwrócił się, ale zobaczył tylko miotły pod ścianą, kosze i inne

wyroby wikliniarskie. Zakołowało się to wszystko, chwycił się kurczowo

blatu stołu, drugą ręką wsparł się o kolano.

- Poczekaj jeszcze chwilę - powiedział głos. - Nie próbuj mnie

znaleźć, bo nie ma mnie w chacie, to tylko mój głos.

- Dlaczego uciekłeś? - wychrypiał Cadron.
- Zbyt wielu gości chciało zwrotu zapłaty albo czegoś więcej w zamian za nią.

Cadron zmarszczył czoło. Nie mógł sobie przypomnieć szczegółów umowy,

zwłaszcza wysokości zapłaty, może rzeczywiście karzeł oskubał go... Ale

jeśli to może pomóc Hondelykowi? Potrząsnął głową.

- Nie zamierzam się spierać.
- No i bardzo dobrze. Bierz butlę i pędź do przyjaciela.
- I co?
- Jeśli żyje - jedna część tego specyfiku i dwie części wody...

- Jeśli?! Żyje?! - poderwał się z zydła i zaczął szukać broni.

- Podobno nie zamierzałeś się spierać - zakpił głos Babayagra.

- Ale miałeś pomóc?
- A skąd wiesz, że nie pomogę? Póki tu się kłócisz nie wiesz co się

dzieje w karczmie. Może już pomogłem? Może dopiero po wypiciu napoju? Może

się spóźnisz i nic już nie pomoże?

Cadron poderwał się, chwycił butlę, potrząśnięciem głowy odpędził

kolejny lekki zawrót głowy. Zrobił krok ku otwartym drzwiom.

- Jeśliś mnie oszukał...
- Nigdy się tego nie dowiesz!
- ...to wrócę i spalę całe to... koszowisko!
- Spróbuj! - syknął niewidzialny Babayagr.

Cadron zrozumiał, że zachowuje się nierozsądnie, że, w końcu, to on

 sam przyszedł do karła, że kłóci się jak pijak, któremu skończyły się

 pieniądze i oskarża o to szynkarza. Zrozumiał też, że na pewno nie

 przyjdzie tu z żadnymi pretensjami, a przede wszystkim zrozumiał - karzeł

 naprawdę nie boi się go i naprawę jest w stanie jakoś się obronić. Zawahał

 się, ale nie znalazł w sobie sił, by jakoś załagodzić niespodziewany spór.

 Machnął ręką i wyszedł z chaty. Gaber stał przywiązany do słupka, na widok

 Cadrona parsknął cicho.

 - Tak - tak, widzę żeś stęskniony - poklepał wierzchowca, wsunął

 flaszę za pazuchę, sprawdziwszy przedtem, czy aby nie wylewa się z niej

 cenny płyn. - Ile mnie nie było, co? - Wsadził nogę w strzemię, ale nie

 wskakiwał, podniósł głowę do góry i usiłował z położenia gwiazd obliczyć

 długość pobytu w chacie Babayagra. - Głowę zawracają z tym ruchem gwiazd -

 mruknął do siebie nie widząc różnicy w nieboskłonie. - Kto go tam wypatrzy

 i wymierzy.

 Z pewnym trudem wspiął się i usadowił w siodle i nie oglądając za

 siebie wyprowadził Gabera na drogę, i on i wierzchowiec znali już ją,

sprawnie, nie budząc nawet psów dotarli do karczmy.
Wrota były
przymknięte, stróża ani śladu.
- Zabiję gada! - poinformował Gabera Cadron,
wprowadził go do stajni,
rozsiadł się czując narastającą złość i ból w lewym łokciu.
Śpieszył się i
nie zamierzał marnować czasu na sprawdzanie ręki. Rano,
przyrzekł sobie w
duchu, obiję pysk karczmarzowi i każę wykadzić całe
piętro, żeby więcej
jakieś gówna nie gryzły... - Tfu! - splunął na głos zły na
siebie, że
zajmuje się ukąszeniami pcheł, podczas gdy przyjaciel...
Wybiegł ze stajni i pognął do pokoju. Kajtys ucziwie
kiwał się nad
Hondelykiem. Słyszając łoskot kroków na schodach powstał
i mocno trąc
powieki kostkami wskazujących palców czekał na
pojawienie się przybysza.
- Mam to! - rzucił głośnym szeptem wyjmując flaszkę
zza koszuli, medyk
skinął głową i przyjął ją.
Widząc szacunek, z jakim brał do ręki naczynie Cadron
odetchnął
bezgłośnie: na dnie myśli kielkowała i bulgotała również i
taka jedna
wredna, która mówiła, że całe to zamieszanie z
Babayagrem to zwykłe
oszustwo karła.
- Czy on jest rzeczywiście magiem... - Kajtys rzucił
kose, na swym

dnie ironiczne, spojrzenie. - Eee... Może... Ach, nie wiem!
Tylko powiedz

mi, czy w ogóle był sens wyprawy...

- Oczywiście, że tak! - zapewnił go medyk. - Nie ulega wątpliwości -

jest najlepszy... - Ostrożnie podniósł otwór flaszki pod nos i wciągnął

aromat kilka razy, jakby z jakiegoś powodu nie mógł raz a dobrze. Nie

dokończywszy wątku zapytał błędząc tylko myślami w okolicach izby: - Nie

powiedział jak stosować?

- Jedna część tego i dwie wody - pośpieszył z informacją Cadron. - Nie

odpowiedział kim jest ten Babayagr!

- Tak... - bąknął zamyślony medyk, stał ze zmrużonymi oczami,

wpatrzony w ścianę ślepym spojrzeniem, za które, gdyby był wartownikiem,

wychłostano by go, wytarzano w smole i pyłe oraz nakarmiono marynowanym

pieprzem z - sabasto. - Tak mi się wydaje... Nie ulega... - Poderwał się

nagle. - O co pytałeś, panie?

- Zabierz się do leczenia, człowieku! - syknął rozjuszony Cadron. -

Czy samo posiadanie eleksiru wyleczy Hondelyka?

Medyk otrząsnął się z zamyślenia, rzucił się do stołu po drodze

ofiarując mgnienie oka rannemu, ostrożnie wkropił do szklanicy trochę

dziwnie niebieskiego płynu. Podobny z barwy, pomyślał Cadron, do tego

dziwaczego i mało smacznego likieru, którym kiedyś
poczęstował nas
wdzięczny arystokrata. Kiedy Kajtys dołał wody ciecz
zmętniała, zburzyła
się i nabrała wyglądu mleka. Po chwili płyn uspokoił się,
ale nadal
przypominał rozwodnione mleko, a po izbie rozszedł się
mocny zapach
butwiejących piennych grzybów. Naczynie z lekiem
powędrowało do ust
Hondelyka, Cadron siłą stłumił rodzący się protest - tak
śmierząca ciecz
nie mogła być lekarstwem, chyba że bardzo mocnym i
bardzo dobrym, i nader
rzadkim. Kajtys skinął na Cadrona, żeby pomógł i
potrzymał głowę
przyjacielowi. Wlewał śmierdzący specyfik ostrożnie,
powoli, dając czas
rannemu na odruchowe przełykanie i - to było równie
ważne - nie tracąc ani
kropli. Fetor zmusił Cadrona do odwrócenia głowy, zerkał
co i rusz na
przyjaciela, wydało mu się, że raz przechwycił drgnięcie
powiek rannego,
ale potem twarz Hondelyka mogła znowu konkurować z
kunsztowną wykonaną w
kredzie maską. Pojenie trwało dość długo, Kajtys zaczął
sapać z wysiłku,
Cadron tłumiał coraz silniejsze torsje. W końcu ostatnie
krople wpłynęły do
ust pacjenta. Ułożyli go wygodnie, przykryli futrem.
Odsunęli się. Cadron

z ulgą wpił się paznokciami w materiał kaftana, podrapał się z rozkoszą w

swędzący coraz mocniej łokieć. Przez krótką jak ćwierć mgnienia oka chwilę

wydawało mu się, że jakaś związana z tym myśl przemknęła przez głowę, ale

nie udało się jej pochwycić. Sapnął czując ulgę.

- Co ci, panie?

- Nic, użarło mnie coś - zbył sprawę machnięciem ręki.

- Karczmarz mi

za to zapłaci - podciągnął rękaw, zerknął na nadgarstek, zmarszczył brwi.

Brazowy zaciek wysechł już, przykleiwszy materiał koszuli do skóry. - Coś

mi...

Kajtys szybko podskoczył do niego, chwycił za rękę, gwałtownie

wykręcił, nie zwracając na zaskoczenie i syknięcie Cadrona. Szarpnięty do

góry rękaw odsłonił wyrysowany na skórze strumyczek o czerwono - brązowej

barwie. Obaj mężczyźni wpatrywali się uważnie w rysunek, z początkiem w

zgięciu łokcia i końcem u nasady dłoni. Kajtys odchrząknął, a Cadron ze

zdumieniem zrozumiał, że medyk jest zakłopotany. Zanim zdążył zapytać od

łóża dobiegło ich słabe kasznięcie, słysząc które obaj rzucili się w

tamtym kierunku zapominając o innych sprawach.

Hondelyk poruszał bezgłośnie wargami, gdy nachylili się przytulając

niemal do siebie na ustach rannego pojawiła się różowa piana. Cadron

poczuł, że cała jego odwaga, oparta na unikaniu myśli o śmierci

przyjaciela, wali się z hukiem. Jego serce zaturkotało tak głośno, że

jakimś dziwnym ubocznym myśleniem zdziwił się: Kajtys nie zatyka uszu

słyszając ten hałas? Wykrztusił... chciał wykrztusić, chciał zapytać...

Serce przeskoczyło na inny rytm, usłyszał panującą w izbie ciszę. Zmusił

się do popatrzenia na Hondelyka, piana zniknęła; nawet nie potrafił

powiedzieć, czy to Kajtys ją starł, czy przełknął ranny.

Poruszył palcami,

okazało się, że słuchają go, więc trącił w ramię medyka.

- Co z nim jest? - wyszeptał.

Kajtys potrząsnął niecierpliwie głową opędzając się od niego jak od

natarczywego komara, Hondelyk wyszeptał coś. Pochylili się obaj o włos

unikając zderzenia głowami.

- Ko... on... co...

Musiał upłynąć chwila zanim Cadron zrozumiał co wyszeptał Hondelyk.

Popatrzył na Kajtysa, ale medyk pokręcił przecząco głową.

- Gorąco mu, gorączka - powiedział cicho. Wsunął rękę pod futro,

zamarł, wyjął rękę i położył ją ostrożnie na czole. - Tak.

Powieki Hondelyka drgnęły, zmarszczyło się na krótko czoło.

- Ra... na - usłyszeli. - Kcie - e?..

Popatrzyli na siebie, pierwszy zrozumiał o czym mowa Cadron.

- Gdzie rana? - zapytał pochylając się na rannym. Nie czekając na

odpowiedź poinformował: - Blisko serca, bardzo blisko serca...

Popatrzył bezradnie na medyka, ale tamten skinął lekko głową na znak,

że dobrze zlokalizował cięcie.

- Straciłeś dużo krwi, ale przede wszystkim nóż niemal sięgnął serca!

- Top...sze...

Kajtys w oszołomieniu popatrzył na Cadrona. Ten wzruszył ramionami.

- Maligna - wyjaśnił. - Powinieneś wiedzieć...

Odwrócił się, żeby ukryć radość, która - wiedział to - zmieniła

całkowicie rysy jego twarzy. To, że Hondelyk powiedział "dobrze" znaczyło,

że jest świadomy i uruchomi siły, te same siły, które zmieniają rysy jego

twarzy, które wydłużają jego kończyny czy zaokrągłają jego plecy aż do

garbu. Chyba że majaczył, wtedy można będzie polegać tylko na mocy

eleksirów Kajtysa i Babayagra. Opanował się, odwrócił znowu do Hondelyka.

Medyk przecierał mu czoło wilgotną ściereczką, którą co chwila pomachiwał

w powietrzu by była chłodniejsza. Popatrzył na Cadrona i mylnie odczytał

zmianę na jego twarzy.

- To nie musi znaczyć, że jest gorzej - powiedział najwyraźniej chcąc go pocieszyć. - Nawet może jest lepiej, skoro tyle powiedział: mogą wracać powoli siły.

Wrócił do schładzania czoła chorego, Cadron stał jeszcze chwilę łowiąc wzrokiem najmniejsze oznaki życia na twarzy druha, potem zniechęcony i czując dziwną słabość cofnął się na palcach o dwa kroki i znalazłszy krzesło zwałił się nań. W skroniach huczał mu jakiś przeciągły grzmot, oddychał ciężko, jak po biegu pod górę i nie mógł nasycić się powietrzem.

Może ja też mam gorączkę, pomyślał leniwie. Przymknął powieki i w końcu poczuł, że już nie musi oddychać tak często. Może to coś, co mi dał ten karzeł? Słabym jak po dwóch dniach koszenia pagórków w Butrasie albo wiosennego piłowania drzew w tartaku ojca. Uleciał myślą do rodzinnego domu, przypomniał sobie, że gdy kiedyś zapadł na bagienną gorączkę, to nawet wydobrząwszy, i widząc już wreszcie wszystko jasno i wyraźnie, każde mimo to poruszenie ręką czy kilka słów przyplącał znacznym wysiłkiem.

Westchnął płytko, drugi raz głębiej. Skrzyżował ręce na piersi, poprawił się na krześle.

Gdy medyk na chwilę odwrócił się do Cadrona
zobaczył, że ten śpi z
opuszczoną na pierś i przekrzywioną na bok głową. Kajtys
zobaczył na szyi
śpiącego jakąś poddwójną plamkę, wpił się w nią głodnym
wzrokiem, ale
świece ustawione były tak, że właściwie kryły szyję
Cadrona w cieniu, a
wstawać się mu nie chciało. Zresztą Hondelyk poruszył
głową i cała uwaga
medyka ześrodkowała się na nim.
Cadron smacznie spał snem wracającego do zdrowia
człowieka.

Stwory, które wypluła z siebie dziwna, zajmująca
więcej miejsca niż
stodoła masa, przypominająca odwrócony do góry nogami
szeroki kowalski
dziurkacz, bezgłośnie dopadły skamieniałą parę dzieci.
Umysłowi Gregoryna
udzielił się spokój, jaki już wcześniej ogarnął wszystkie
jego członki;
zapięły oczy, ale gdy spłynęły wywołane pieczeniem łzy
obraz wyostrzył
się. Stwory przypominały ogromne, wypucowane do
matowego błysku równiutkie

i skrócone w obręcze bardzo gęste drabiny. Chłopiec czuł się jakby śnił
jakiś niezwykle dziwacznie spokojny sen, jakby oglądał go z boku;
spokojnie przyjął dotyk ciemnych chłodnych łap,
wysunęły się spomiędzy
pionowego szpaleru szczebli, dotknęły go, dwa inne stwory zajęły się
Sandią - jeden stanął przed nią, drugi ominął dziewczynkę i zniknął z oczu
chłopca. Ponieważ przed nim też stał jeden, a drugi poszturchiwał go w
plecy leniwie pomyślał, że ta druga para pewnie robi to samo z Sandią.
Próbował się odwrócić, syknąć, ale skamienienie dotyczyło wszystkiego,
prócz myśli. Szkoda, że nie mogę się uszczypnąć, na pewno udałoby się
obudzić. Chociaż - wyjechaliśmy na przejażdżkę nie we śnie? A może? Nie,
na pewno, przecież wszystko było normalne - droga, las, rzeka, nie -
ptaki! Cisza!
Jakby wywołany jego myślami nad palisadą pojawił się gawron,
zobaczywszy ludzi, a może po prostu taką poczuł potrzebę otworzył dziób i
wykrzesał z siebie przeciągłe serdeczne wiosenne karknięcie. Nie dokończył
go jednak, bo z jednej ze skróconych drabin wystrzelił ciemny promień,
bzyrcząc głośno sięgnął ptaka w locie i powalił na trawę.
Natychmiast

stwór bezszumnie przeniósł się nad leżącego bezładną
pierzastą masą ptaka,
zasłonił go na chwilę, a kiedy odjechał z powrotem do
dzieci na trawie nie
było już nic. Gregoryn poczuł, że coś unosi go w
powietrze, nie były to
łapy, prędzej już czuł się jak wsadzony w kocioł z gęstą
masą, która
utrzymywała go w stojącej pozycji i pozwalała go
podnieść wraz z
niewidzialnym kotłem. Kątem oka zobaczył, że Sandia nie
poruszając nogami
zaczęła się przesuwać w stronę ciemnego stogu
wypełniającego polanę.
Dziewczynka tkwiła między cylindrami drabin sztywno
wyprostowana;
odnotował, że usiłowała zerknąć na Gregoryna, jej białka
błyśnęły,
chłopiec napiął mięśnie, ale nawet nie drgnął. Nagle
poczuł, że podąża za
Sandią, uświadomił sobie, że jeden z "niosących" go
stworów zmienił kolor,
ściemniał, a z jednej jego strony pojawiła się purpurowa
gasnąca i
pojawiająca się plama. Na bokach drabin niosących Sandię
pulsowały
podobne, ale żółte plamy. Wjechali w cień rzucany przez
stóg ciemności.
Teraz Gregoryn zobaczył, że ma on twarde kanciaste
kontury, ale otoczony
jest jakby mgłą, o przejmującej, nieprzyjemnej, bagnistej,
gęstniejącej w

głębi barwie. Przez kleisty woal rozjarzyła się plama -
purpurowa i żółta
na przemian, stwory skierowały się w to właśnie miejsce.
Z jakimś
dziwacznym spokojem obserwujący wszystko chłopiec
zobaczył jak pierwsza
drabina wtapia się w przemienną plamę, znika najpierw jej
kawałek, potem
reszta, zobaczył jak wyprężona unieruchomiona jak i on
Sandia uderza głową
w plamę, głowa znika, potem szyja, korpus... W końcu
został tylko drugi
stwór, ale szybko i ten wnikł w kolorowe piętno.
Natychmiast w to samo
miejsce skierowano Gregoryna, chłopiec pomyślał leniwie,
że dobrze, iż
najpierw ucina głowę, nie będzie bolało, jego pierwszy
stwór miękko
bezgłośnie dotknął swym korpusem plamy, brzeg "topi"
się, znika. Jak
zanurzającą się w misie z rzadkim ciastem łyżka,
pomyślał. Ale łyżka
przecież...
Pierwsza drabina zniknęła w cielsku stożka, ściana
zbliżyła się,
uderzyła w twarz, zalała oczy czernią i zaraz spłynęła.
Gregoryn nagle
odzyskał czucie w ciele, poczuł, że spada na ziemię jakby
niezgrabnie
zeskoczył z niskiego stopnia na twardą podłogę. Chora
noga nie utrzymała
ciężaru ciała, zachwiał się, ale zakuśtykał i udało mu się
ustać.

Zwłaszcza, że chwyciły go pomocne dłonie Sandii.
Niechcący zamachnąwszy
się prawą ręką zarzucił ją na szyję dziewczynki i nagle
okazało się, że
stoi przytulony do niej, z nagle odzyskaną jasnością myśli.
Odkoczyli od
siebie. Znajdowali się w wąskim korytarzu, który i z
jednego i z drugiego
końca załamywał się w tę samą stronę. Miał gładkie,
barwy starej ciemnej
starej skóry ściany. Byli w nim sami.
- Jaki głupi sen!
Sandia wcale nie wierzyła, że to sen, ale coś chciała
powiedzieć. I
chciała uwierzyć w to, co mówi.
- Gdyby... - Gregoryn usłyszał, że skrzeczy jak trafiony
ciemnym
promieniem gawron, poruszył językiem, udało mu się
skierować do gardła
odrobinę wilgoci - Gdyby to był sen, to nie śnilibyśmy go
razem, prawda?
- No to co to jest? - Ręką zakreśliła półokrąg od podłogi
poprzez
ścianę i sufit z powrotem do podłogi, ale już za sobą. -
Widziałeś kiedyś
coś takiego?
Chłopiec nagle poczuł się dorosły, mocny, pewny,
opiekuńczy - w głosie
Sandii chyba po raz pierwszy od zawarcia znajomości
usłyszał tłumione łzy.

- Że nie widziałem, nie znaczy, że tego nie ma -
oznajmił pewnym

tonem. - Mama zawsze mi powtarza... - Nagle poczuł, że ma oczy nabrzmiałe

łzami i szybko odwróciwszy się tyłem do Sandii bąknął: - Sprawdzę ten

korytarz...

Wystarczyły mu dwa kroki, by stwierdzić, że za zakrętem nie ma nic -

ślepa ściana, wystarczyły mu także na przeknięcie łez i zdławienie

innych.

- Jesteśmy zamknięci - stwierdził.

- Boję się - szepnęła Sandia. - Tu nic nigdy takiego nie było...

- A pewnie że nie, przecież gdyby było, to by ojciec już dawno spalił

to. I byliśmy tutaj jesienią, pamiętasz?

Skinęła głową dopiero po chwili. Gregoryn zrozumiał, że słucha go

tylko jakąś malutką częścią umysłu, że zmusza się do rozmowy, choć

najchętniej by się po prostu popłakała przed kimś dorosłym. Podszedł

bliżej i niezgrabnie trącił ją w ramię.

- Nie bój się. - Zastanawiał co powiedzieć pocieszającego, ale

przyszło mu do głowy tylko to: - Widziałaś tego gawrona?

- Nie czekając na

odповідź kontynuował: - No, właśnie - gdybyśmy nie mieli żyć to trafili

by nas tym... - wzruszył ramionami - ... czarnym płomieniem.

- Niebieskim.

- Co?

- Niebieski płomień. Przypomina błyskawicę w ciemnej stajni, wiesz -

gdy światło wnika przez dziury.

Gregoryn ucieszył się, że Sandia nie płacze, że zaczęła rozmawiać i

nawet sprzeczać się - zwyczajna Sandia, mądra i nieustępująca nikomu i nigdy.

- No! - potwierdził szybko określenie dziewczynki. Zamarł z otwartymi

ustami, po chwili rzucił: - A wiesz dlaczego nie było ptaków?

Nie wiedziała, ale gdy zapytał - domyśliła się:

- Strzelali i ptaki się wystraszyły?!

- Tak.

Rozmyślali chwilę nad wspólnymi wnioskami, wysnuli następne.

- To musi tu być już jakiś czas - powiedziała.

- Tak - powtórzył. - Wystraszyło całą zwierzynę. -

Zastanawiał się

jeszcze długą chwilę. - Że też nikt tego nie zauważył?!

Sandia przygryzła dolną wargę.

- Jeszcze w pole nie chodzą... - powiedziała niepewnie.

- Yhy. - Omal nie powiedział "tak", ale przypomniał sobie, że już dwa razy tak się odezwał. - Gdyby...

Ściana za plecami Sandii bezgłośnie pękła, Gregoryn wytrzeszczył oczy,

a dziewczynka odwróciła się błyskawicznie i pisnęła.

Potem nagle zrobiła

dwa kroki w kierunku pęknięcia i tupnęła nogą.

- Nie chcemy! - krzyknęła. - Nie straszcie nas! Nie wolno!!!

W pęknięciu pojawiło się światło, najpierw gwałtownie
rozbłysło aż do
siły słońca, ogarniając oślepiającym blaskiem wszystko
dokoła, potem wolno
przygasło, po chwili można było patrzeć w tamtym
kierunku. Chłopiec czuł
tłukące się wysoko w piersi, właściwie już w gardle serce.
Poruszył się,
całe ciało stawiało opór większy niż chora noga i uschnięta
ręka, zacisnął
zęby i zmusił się do małego kroczku, jeszcze jednego.
Dwa półkroczki
później dotarł do Sandii, ominął ją i zasłonił sobą. Stali tak
chwilę, ale
nic się nie działo. W dziwnych drzwiach świeciło światło,
nic się nie
poruszało, nie słychać było - prócz ich drżących szybkich
oddechów -
żadnego dźwięku. Po kilkudziesięciu uderzeniach serca
Gregoryn poruszył
się, zacisnął pięści i ruszył do przodu. W "progu"
zatrzymał się - miał
przed sobą długą niską izbę. Wszystko w niej - podłoga,
ściany, sufit i
stół z dwoma taboretami - było jednakowego koloru,
takiego samego jak
korytarz. Na stole stały dwa gładziutki jak wytoczone z
lodu okrągłe
wysokie kubki i dwa talerze, również gładkie i bez
żadnych ozdób; na
każdym talerzu leżało czerwone jabłko i kremowe jajko.
Gregoryn obejrzał
się i skinął na Sandię:

- Chodź, mamy poczęstunek. Nakrzyczałaś na nich i chyba się wystraszyli. - Czuł się zobowiązany do podnoszenia jej na duchu.

Uśmiechnęła się, słabo, ale jednak. - Śmiało.

Podeszła i nagle chwyciła go za rękę. Miała gorącą suchą dłoń,

Gregoryn pomyślał, że jego ciepła i wilgotna dłoń musi być nieprzyjemna,

ale Sandia nie puszczała jej i nic nie wskazywało, na to, że zamierza

puścić. Razem przekroczyli próg i znaleźli się w izbie. Coś tknęło

Gregoryna, może leciutki powiew powietrza - odwrócił się i drgnął widząc

stałą równą i gładką płaszczyznę ściany za sobą. Drzwi zniknęły

nieodwołalnie. Pociągnął Sandię do stołu, nie chcąc by zauważyła to co i

on. Podeszli i zatrzymali się przyglądając stołowi. Jabłka były

identyczne, równiutkie, ciemnoczerwone, takich teraz, wczesną wiosną, już

nie było nawet w najlepszych piwnicach.

- Zobacz - szepnęła. Wysunęła palec i pokazała, że jabłko nie ma

ogonka, więcej - zagłębienie nie ma nawet otworu, z którego powinien

wyrastać ogonek. - To...

Przerwała, chwyciła nagle jabłko, podniosła do ust i wbiła zęby z miną

"Na pewno jest ohydne!". Po chwili zastanowienia i smakowania zaczęła

wolno przeżuwać.

- Wszpaniałe... - wykrztusiła ustami pełnymi nieprzeżutego owocu.

Gregoryn powstrzymał się od smakowania jabłka, sięgnął do kubka,

powąchał zawartość i skosztował. Woda. Zimna. Napił się z przyjemnością.

Teraz wydała się kwaśna i zaszczypała w język i gardło, z żołądka do jamy

ustnej przywędrowała kula powietrza. Udało mu się niemal bezgłośnie

wypuścić ją z usta. Wziął do ręki jajo, potrząśnięte zagulgotało.

- Surowe.

- Fuj!.. Nie próbuj, może być kacze.

Podniósł swoje jabłko, również nie rosło na drzewie, nie było

możliwości zaczepienia owocu o gałąź. Nie miało też korony z drugiej

strony ogonka. Powąchał. Pachniało pięknie - zdrowe, słodkie, dojrzałe i

jesienne. Zimne.

- Nie mam ochoty, zjedz i moje.

Skrzywiła się ze zdziwieniem, ale nie protestowała, ugryzła jeszcze

raz swoje i przyjrzała mu się. - Fobac! - wymamrotała. - Jęwa festek!

- Słucham?

Szybko przeżuła kęs, pokazała ogryzek Gregorynowi:

- Zobacz! - powtórzyła zniecierpliwiona. - Nie ma pestek.

- Bo to nie jabłko - odpalił z kolei chłopiec. - Nie widzisz - na

wiosnę? Bez ogonka i szypułki? Zastanów się.

- To może nie jeść? - Popatrzyła z wahaniem na resztkę owocu w jednym

ręku i całe w drugim. - A, i tak już zjadłam prawie całe.

Uśmiechnęła się wesoło i wcisnęła cały ogryzek do ust. Uśmiechając się

oczami żuła i pomrugiwała do Gregoryna, on zaś spróbował wydusić na usta

jakikolwiek uśmiech, zaczął uważniej przyglądać się komnacie, ale było w

niej tylko to, co zauważył wchodząc, nawet mniej, jeśli liczyć zjedzone

już przez Sandię jabłko - niejabłko. Stół i dwa taborety, płaskie miski z

jajkami, kubki. Trącił taboret, nie poruszył się, zaciekawiony napał nań

mocniej, a potem już z całej siły, w końcu, nie poruszywszy go ani o włos

ze stęknieniem ukląkł i zaczął przyglądać się meblowi.

- Wiesz co - zapytał - to wygląda jakby był zrobiony z podłogi. I stół

też. - Popatrzył z dołu na radośnie przeżuwającą końcówkę owocu

przyjaciółkę. - Co to jest?

Wzruszyła ramionami, skończyła ruszać zuchwą, postukała palcami w

stół, trąciła zydel, jeszcze raz wzruszyła ramionami.

- Chyba po prostu tu mieszkają bogowie - powiedziała lekkim tonem.

- Bogowie???

- A dlaczego nie? Mają posłuszne sługi, rajskie owoce, słuchają ich

ściany i podłogi?..

- No tak, ale... Uważaj!

Sandia odbiła się i z rozpędu usiadła na stole. Gregoryn musiał

przyznać, że on sam boi się mocniej niż dziewczyna. Tak, ale, pomyślał, to

ja muszę się nią opiekować, a ona może sobie pozwolić...

Zupełnie bez zapowiedzi, bez jakiegokolwiek ostrzegawczego sygnału pod

sufitem rozległ się powtarzający miękki odgłos, jakby ktoś niewidzialny

przemaszerował po suficie. Ten sam niewidzialny, wyposażony w bardzo mocny

głos człowiek, zapewne olbrzym powiedział:

- To by załatwiło sprawę pobrania okazu. Skoro już mamy dwa, i nie

prosiliśmy się o nie...

- Nie! - krzyknęła równie niewidzialna kobieta. - Są wyraźne

dyrektywy!

Sandia ześliznęła się ze stołu i przypadła do podłogi obok Gregoryna,

ręce odnalazły się same i splotły z siłą, która zadziwiłaby nawet

miejscowego kowala. Gregoryn poczuł skurcz w krótszej nodze, ale nie

poruszył się. Oboje obrzucili bliskimi paniki spojrzeniami sufit, ale nic

się na nim nie poruszyło, a pierwszy głos powiedział:

- Zrozum - mnie to osobiście...

- Nieważne. Gdyby zresztą nawet to popatrz - małe wystraszo... Czemu

one patrzą w sufit? - Odgłos kilku kroków i krzyk: - Ty idioto - włączyłeś

mikrofon?!

- No to co, przecież translat... Ach!

Coś głośno stuknęło i nagle zapadła głęboka cisza, ale już nie taka

jak przed chwilą, przed niespodziewanym pojawieniem się podniebnych

głosów. Teraz była to cisza nasączona grozą i niewiadomą. Sandia

chlipnęła.

- Gregusie... Boję się...

Przerzucił w głowie kilka wariantów odpowiedzi: "A ja nie!", "Coś ty -

nie ma czego!", "Nie bój się, zaraz coś z tym zrobię" i wybrał..

- Ja też.

- Co my teraz zrobimy?

Milczał chwilę, zastanawiał się.

- Nie wiem, ale widzi mi się, że nie mamy co robić.

- Właśnie. - Przetarła oczy, pociągnęła nosem. - Mama mi mówiła, żebym

się nie oddalała od domu... - bąknęła.

- A mnie, żebym... - przerwał czując, że jeśli nie przestanie myśleć i

mówić o mamie to się rozbeczy, jak młodszy brat Sandii.

Długą chwilę milczeli oddając się bardziej lub mniej zatroskanym

myślom. Sandia poruszyła zdrętwiałymi w dłoni Gregoryna palcami.

- Pamiętasz co ona powiedziała?

- Kto - ona?

Chłopiec zląkł się, że Sandia powie coś o tej kobiecie z sufitu, on

sam postanowił, że nigdy nie powie niczego o tych niewidzialnych żyjących

nad głowami ludziach, zaczerpnął tchu, żeby ją powstrzymać, ale była

szybsza:

- Ta kobieta spod sufitu!

- Sandia?!

- Ona powiedziała, że patrzymy w sufit, pamiętam.

- Dlaczego uważasz, że to my, że to o nas?

- A o kim? Kto tu jeszcze jest?

- No właśnie - skąd wiesz kto tu jeszcze jest!

Sprzeczka spowodowała, że zapomnieli gdzie są.

Siedzieli naprzeciwko

siebie i mówiąc poruszali głowami jak gulgoczące do siebie indory.

- Gre - gu - sie! - wyskandowała dziewczynka. Patrzyła na niego w

dorosły sposób z wyrzutem, protesty chłopca wygasły. - Patrz - kobieta

mówi: "Och, oni patrzą w sufit!" - powiedziała innym głosem, niższym i

głośniej, naśladując niewidzialną kobietę. - I zaraz potem głos ustał. No?

Przecież to proste - zobaczyła, że ich słyszymy i coś zrobiła! Ale jak

zobaczyła?

Zastanawiał się nad jej słowami, ale nie mógł nic zarzucić rozumowaniu

przyjaciółki. Zresztą, w głębi duszy, sam myślał podobnie, tylko nie

chciał jej straszyć. Tymczasem okazało się, że być może to ona mniej się

boi, w każdym razie nie boi się myśleć głośno i nie dba
czy słyszą ją
rozmawiające nad głowami niewidzialne olbrzymy. Z
trudem przełknął ślinę,
sięgnął do stołu i napił się wody z kubka. Gdy poruszył
naczyniem z jego
dna uleciał rój małych pękających z cichym szelestem
bąbelków. Przyglądał
się im chwilę, ale pragnienie było mocniejsze od
ciekawości, zresztą
przypomniał sobie, że czasem kwas z żytnich sucharów
podobnie kipi
bąbelkami. Stracił zainteresowanie wodą. Wypił resztę
duszkciem, Sandia
wzięła z niego przykład - skosztowała wody i od razu
wypiła całą.
Wytrzeszczyła oczy i nagle głośno beknęła, chwilę potem
pomieszczenie
owiała salwa śmiechu, który wzrastał się ilekroć
popatrzyli na siebie i
gaś, gdy zaczynały boleć brzuchy.
A potem, od śmiechu przeszli od razu do głośnego i
serdecznego
ziewania, rozdzierającego, niemal wyłamującego zuchwy.
Gregoryn próbował
coś powiedzieć, ale myczał tylko i sapał nie mogąc
wyrwać się z okowów
nagłej śpiączki. Sandia nie walczyła - podczołgała się
bliżej ściany,
oparła o nią, poprawiła się, obdarzyła Gregoryna
promiennym zachęcającym
uśmiechem i zamknęła oczy. Chciał coś ważnego jej
powiedzieć, ale i ta

próba została stłumiona przez potężne, rodzące się gdzieś
w piersi i

naciskające od środka na szczęki ziewnięcie. Ostatkiem
świadomych sił

rozejrzał się po izbie, nie pojawiły się drzwi, nikt nie
odzywał się spod
sufitu,

samotne dwa jajka leżały w płaskich miskach. Przysunął
się bliżej

Sandii i przestał walczyć. Zamknął oczy.

Ogarnął go spokój i uczucie lekkości, wydało mu się, że
śni barwny

letni sen, w którym biegnie po
piaszczystym brzegu rzeki, a drobne fale, ciepłe i
łaszące się

przypadają do jego uderzających w piasek stóp. Powiał
chłodniejszy

wietrzyk i ktoś, jakaś kobieta powiedziała:

- No i co teraz z nimi zrobimy?

- Nie wiem. Ja bym zabrał oboje i po kłopotcie. Zresztą
potrzebujemy

okazów dominującego gatunku.

- Wyraźnego polecenia nie dostaliśmy...

- Bo jak na razie nie spotkaliśmy takiego układu:

dominujący -

inteligentny!

- Prawda, to rzadkość...

- No właśnie! - ucieszył się głos. - Dlatego powinniśmy
tak zrobić.

- No nie wiem... - zawahała się kobieta. - Może... Ale i
tak jedno z

nich nam się nie nada - chłopiec ma niedowładne
kończyny. Po co nam okaz

ze skazami? A tak przy okazji - to nie nasza wina?

- Nie, skąd! A może spróbować rekonfiguracji komórek?

- Można, ale jeśli rekonfiguracja się nie powiedzie albo nastąpi

zafałszowanie systemu, to też nam do szczęścia nie jest potrzebne.

- No to weźmy dziewczynkę i uciekajmy!

Zapadła cisza, a Gregorynowi udało się pomyśleć: Co za głupi sen!?! I

jaki niezrozumiały! O czym oni mówią? Słowa są zrozumiałe, ale całość...

Jakby ze zwykłych cegieł układali całkowicie niezwykłą budowlę.

Czy we śnie można słuchać nieznanego języka? Przecież nawet kiedy

śnili mi się wrogowie, jacyś obcy wojownicy, to i tak mówili zrozumiale. A

tutaj? Muszę się ob...

- Ressenta chłopca wykazuje jakieś ruchy płynne! - powiedziała kobieta.

- Gdzie? A rzeczywiście - coś drga, ale to nieważne, zresztą może

aparatura źle wyskalowana. - Mężczyzna zamilkł, chwilę trwała cisza. - No

to jak?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem... Jakoś mi się to nie podoba. Co on

powie w domu?

- Nic. Bo nic nie będzie pamiętał. No?

- N - no dobrze. Ale! Ale zrobimy mu rekonfigurację, dobrze?

Przynajmniej tyle możemy zrobić temu dzie... - Dobrze -
dobrze! - Ucieszył

się mężczyzna. - To zajmij się chłopcem, a ja zabiorę
dziewczynkę.

Zajmiemy się nią później. Tylko pośpiesz się, nie
wiadomo czy ich nie

szukają, żeby się nam tu nie zwałił cały oddział. I jak tylko
go załatwisz

- startujemy.

- Dobrze. Zabieraj ją.

Gregoryn poczuł, że przez sen ktoś dotyka jego ciała,
najpierw

przejeżdża łagodnym matczynym gestem po głowie, wraca
od czoła do tyłu pod

włos, zatrzymuje się na czubku głowy i mówi coś, ale zbyt
cicho i w

całkowicie niezrozumiałym języku, potem od leżącej na
głowie dłoni zaczyna

promieniować mocne ciepło, wnikające w czaszkę i
obsuwające się aż do

klatki piersiowej i niżej, potem śladem ciepła popłynęła
drętwota i ostre

kłucie. Gregoryn jęknął i kłucie natychmiast ustało; ciepło
przeniosło się

na rękę, w prawej zakłuło lekko w koniuszkach palców,
przez lewą najpierw

przebiegły jakieś zimne strugi, najpierw szybko, potem
wolno, jeszcze

wolniej i pojawił się ból. Słaby, mocniejszy, jeszcze
mocniejszy i bardzo

mocny, piekący, palący, wykręcający rękę w łokciu i
przegubie. A potem,

kiedy Gregoryn zaczął we śnie płakać, ból na dodatek
przeniósł się na
nogi, i znowu w zdrowej zakłuło zabolalo i znikło, lewą,
chorą
prześwidrowało kilka lodowych trzpieni, z których rozlał
się ból. Chłopiec
zacisnął zęby, ale jęk wyrwał się z klatki ust i gdy już się
wyrwał,
trwał, i trwał, i trwał...
Aż nagle z oczu spadła zasłona mroku i snu, jakiś
migoczący rozmyty
cień zbliżył się i wysunął smugę w stronę twarzy chłopca.
Ból ustał
raptownie, jak gdyby spłynął niczym woda po ciele i
wsiąkł w ziemię.
Wysunięta smuga była ręką, miała palce, ale na
wewnętrznych ich stronach
ułożone były małe wypukłe krążki, jak macki
dziewięcionoga, którego kiedyś
dla zabawy dali dzieciom rybacy z Tgeru. Palce nacisnęły
na oczy chłopca i
znowu posłusznie zaczął pogrążyć się w mroku, ale nagle
w oczy uderzyło
światło i stwierdził, że znajduje się znowu w izbie ze
stołem i jabłkami,
tylko że nie było już stołu. Nie było zydli, nie było niczego
prócz
siedzącej pod ścianą Sandii, oba grube warkocze wyrwały
się z kolistego
więzi na tyle głowy i opadły z obu stron na ramiona.
Dziewczynka miała
zamknięte oczy, ale jej pierś unosiła się w głębokim
szybkim oddechu, a

spomiędzy rozchylonych warg przesłaniając białe zęby
wysuwał się co kilka
oddechów język i przejeżdżał po wargach. Serce Gregoryna
skurczyło się w
przecuciu jakiegoś nieszczęścia, szarpnął się ku
przyjaciółce.

- Sandia? - wymamrotał. Na nic więcej nie było go stać.
- Sandia -

a...

Nie rozumiał dlaczego wszystkie członki ma skute
dziwną ciężką
niemocą. Zaczął się szamotać wewnątrz skorupy swojego
bezwładu, po chwili
zaniechał ponieważ okazało się, że może co najwyżej
poruszyć oczami,
powiekami, ale zakrywają oczy tylko do połowy, może też
z trudem
wymamrotać coś krótkiego. Powtórzył kilka razy imię
dziewczynki. Otworzyła
nagle oczy i choć patrzyła tępo przed siebie i na dodatek
zezowała, to i
tak wyrwał ten ruch radosny jęk z gardła Gregoryna.
Dziewczynka poruszyła
się.

- Spokojna reakcja - powiedziała. Radość Gregoryna
została zastąpiona
rozpaczą - Sandia mówiła swoim i jednocześnie cudzym
głosem. Mówiąc
poruszała dziwnie wargami, te ruchy nie pasowały do
wymawianych słów,
jakby ktoś chwycił je w palce i poruszał, żeby wydawało
się, że to ona
sama mówi. - Całkowita...

Urwała. Chłopiec szarpnął się, ale pancerz własnej skóry trzymał mocno.

- ...aprobata.

- Sandia, proszę...

- Można.

- Och, słyszysz mnie?

Nagle Sandia mrugnęła kilka razy, drgnęła głowa, gwałtownie zadarła ją

do góry, aż uderzyła mocno w ścianę za sobą, ale nie zwróciła na to żadnej

uwagi. Szeroko otwartymi oczami patrzyła gdzieś obok przyjaciela, ale gdy

zaczęła mówić słowa kierowane były dokładnie do niego. Dzieliła je

dziwacznie, wyrzucała je połówkami, cząstkami z siebie:

- Mu - szę cię po - żegnać. Gre... Za - ras - s zos - tanie - sz wynie

- sio - ny nad rze - czkę. Za - pom - nisz o tym co tu widzia - łeś... O

mnie... O mnie? - Na chwilę jej głos odzyskał niemal normalne brzmienie,

nabrał uczucia. - Ja... Ja... Pamiętaj! Mnie! Gregusie kochany!..

Gregoryn zawył rzucając się w jej kierunku, ale nie zmienił położenia

ciała ani o drgnienie. Sandia poruszyła się i w końcu popatrzyła w jego

kierunku, chłopiec zrozumiał, że siła, która skuwa jego członki podobnie

zniewala Sandię, tyle że pozwala jej na więcej, a może na mniej, skoro

przez jej usta wychodzą nie jej słowa. Głowa dziewczynki
zatoczyła koło
najpierw opierając się brodą o pierś, potem uleciała w bok
i w górę, znowu
w bok... Przynęła się do Gregoryna, warkocze majtnęły
się, uderzyły w
skrzyżowane kolana dziewczynki. Sandia chwyciła jeden,
szarpnęła koniec, w
palcach został pęk długich czerwono - kasztanowych
włosów, niezgrabnie,
ciągle poruszając się jak niezbyt umiejętnie poruszana
lalka, wyciągnęła
rękę do chłopca i rozwierając palce, gdy włosy spadały na
jego udo,
powiedziała:
- Nie mam nic inneg - go, Gre - gu - sie. Ale od serca...
Weź i pa...
Więcej Gregoryn nie usłyszał, wydusił z siebie długi
przeciągły jęk i
jakby to było sygnałem do czegoś dla kogoś spadła na
niego kolejna porcja
mroku. I zimna.

- Gregusie...

Gregoryn usłyszał dalekie dźwięczne wołanie Sandii,
dobiegało z

ciemności, z piwnicy, lochu, w którym oboje się chowali.

- Tu jestem! - krzyknął. - Musisz słuchać mojego głosu i iść w moim...

- urwał nie słysząc siebie. Natężył się i krzyknął z całej siły: -

Sandia!!!

- Gregusie, synku?

Nie słyszy, pomyślał z żalem. Tak daleko odeszła? Ciekawe gdzie

jesteśmy, gdzie są takie olbrzymie piwnice i dlaczego mówi do mnie

"synku"? Czasem przesadza z tym swoim matkowaniem, roześmiał się w myślach.

- Słyszysz mnie?

- Słyszę.

- Otwórz oczy. Gregusie.

- A nie mam otwartych? Co ty widziwiasz, Sandio?

- Otwórz oczy! - zażądała już chyba rozzłoszczona.

Poszukał w sobie tego miejsca, z którego kieruje się otwieraniem i

zamykaniem oczu. Zdziwił się i rozzłościł, gdy nie mógł go przez dłuższą

chwilę znaleźć, ale nie ustawał. To ręka, pomyślał, to palce, tu są wargi,

o - język! Oko... Oczy!? Oczy!..

Z daleka napłynęła plama światła, rozdwoiła się i zlała na powrót.

Przymknął powieki, a gdy otworzył je po raz drugi zobaczył nad sobą ciemny

okrągły kontur, potem twarz matki, piekły go oczy, musiał je szybko

zamknąć, pomruć, ale w końcu zobaczył Demai wyraźnie. Miała zaniepokojone, skute bólem spojrzenie, ale widząc jego przytomny wzrok wygładziła czoło, odetchnęła.

- No, nareszcie - odsapnęła. - Myślałam, że ci w końcu wkropię, żebyś się obudził.

- Och, mam - przecież wiesz, że jak śpię to śpię. Nic mnie nie budzi.

- Przypomniał sobie sen o piwnicach. - Czy tu była Sandia?

Przez twarz Demai przebiegł skurcz.

- Nie... - zawahała się. - Nie pamiętasz?

Chłopiec zrobił zamyśloną podkówkę. Zmarszczył czoło.

- Nie - e. A co mam pamiętać?

- Gregusie... Znaleźli ciebie... Kat cię znalazł nad rzeczką, wiesz to zakole... Pamiętasz?

- Rzeczkę tak, ale co jeszcze mam pamiętać?

Odetchnęła głęboko, ale jeszcze nic nie powiedziała, dopiero po drugim

głębokim oddechu zaczęła mówić: - Byłeś ty i konie i ślady ognia w

skałach... Napadł was ktoś?

Zamyślił się głęboko, usiłował przypomnieć sobie coś. Rzeczką? Kat? No

tak - Kata nie było, uciekł za jakąś suką. Jechali stępa i rozmawia...

Zaraz!

- Sandia??? - Poderwał się teraz dopiero zrozumiałwszy, co powiedziała

matka. - Sandia!
- Porwali ją. - Demai chwyciła syna za barki,
spróbowała ułożyć z
powrotem, ale widząc, że nie zamierza się poddać
zrezygnowała,
przytrzymała go tylko za ramiona, ścisnęła i potrząsnęła
lekko, żeby
zrozumiał, że podziela jego ból. - Kilka oddziałów
przeszukuje okolice,
ale nie ma zupełnie śladów, żadnych, musieli wykorzystać
rzeczkę albo - i
to nasza nadzieja - zapadli w jakąś kryjówkę w okolicy i
czekają aż ustaną
poszukiwania. - Zamilkła i zacisnęła wargi, Gregoryn znał
ten wyraz twarzy
i nigdy nie chciał, żeby dotyczył jego. - Ale nie ustaną.
- Ale kto to był? - jęknął.
Popatrzyła na niego uważnie. Zrozumiał, że za chwilę
padną jakieś
niedobre słowa, nie żeby przykre, ale takie, od których nie
ma odwołania,
które jak zachowują się jak ciśnięte w wodę kamienie -
spadają, zanurzając
się, giną z oczu, jeszcze chwilę kołują kręgi na wodzie, a
potem giną
wszelkie ślady.
Ale kamienie na dnie są.
- Nic nie pamiętasz, kochanie? - zapytała matka i
Gregoryn domyślił
się, że czeka na jego wyjaśnienia, na jego wskazówki, ale
natęzał się,
napinał, zaciskał zęby i nic nie mógł sobie przypomnieć.
Nic - spacer na

kucach, las, droga, rzeczka i stok... Koniec. Gdy dochodził do wspinaczki

po stoku w jego pamięci pojawiał się kłęb mgły, w której ginęły wszystkie

następne wspomnienia. - Przypomnij sobie coś, cokolwiek, to może być

furtka, przez którą potem popłyną inne wspomnienia...

- Nic...

Demai westchnęła starając się, żeby tego nie zauważył, puściła syna i

wstała. Pocierając dłońmi łokcie podeszła do okna i zapatrzyła się ślepy

spojrzeniem przed siebie.

- Biedni rodzice... - Urwała i nie dokończyła kogo ma na myśli, ale

nie musiała.

Gregoryn uniósł ręce i chwycił się za włosy, szarpnął i nagle

uświadomił sobie, że lewą ręką nigdy nie mógł sięgnąć głowy jeśli nie

zwinął się w kłębek. I natychmiast, jak przepowiedziała Demai, przez

furtkę runęły wspomnienia, ale przemieszane, poprzeplatane plamy mroku i

głosy spod sufitu, zrolowane drabiny, jabłka czerwone i gładkie jak

wytoczone z kamienia, kłująca w język i gardło woda.

Otworzył usta i

zdławił natychmiast rodzące się dźwięki. Nie potrafił wyjaśnić sobie

dłaczego, ale miał wrażenie, że lepiej będzie na razie nie mówić

wszystkiego. Szczególnie, że nie potrafił ustawić wspomnień we właściwej kolejności.

- Ma... - powiedział cicho. - Gdzie moje ubranie?

Pamiętał - miał na sobie spodnie z materiału nazywanego powszechnie

skórą diabła, tkany z włókien balterowych, nie do zdarcia, ale wczepiający

w siebie wszystko, co się dało. Stąd do spodni Gregoryna zawsze

pryczepiony były olbrzymie kłęby sierści Kata, sucha i świeża trawa,

długie włosy z końskich ogonów i grzyw, włókna wrednego dzielącego się na

nici rozszponu. Demai odwróciła się od okna.

- Pytasz z jakiegoś specjalnego powodu?

- Nie - e... - Przyszedł mu do głowy prawdopodobny powód: - Chcę

wstać.

Matka skinęła głową, ruszyła do drzwi.

- Przyniosę ci świeżą bieliznę...

- Nie, mam. Chcę to samo co miałem, muszę to zobaczyć, dotknąć, powąchać...

- Dobrze.

Demai wyszła, Gregoryn ułożył się na plecach ze wzrokiem utkwionym w

suficie usiłował uporządkować wspomnienia, ale zamiast układać się w miarę

upływu czasu gmatwały się one jeszcze bardziej.

Przyplątały się jakieś

dziecinne senne strachy, jakieś żale wieczorne. Ktoś wysoki w czarnym

futrze groził ręką, miał długie palce ze szponami...

Palce!

Poderwał się wyciągnął przed siebie ręce. Palce... Prawa ręka - trochę

brudne, z poskubanym paznokciem kciuka, skaleczenie w kształcie grota

strzały na serdecznym palcu. Palce lewej - cienkie, blade, gładka skóra,

długie mleczno - sinawe paznokcie; przypomniał sobie sen, w którym ktoś,

kogo widział niewyraźnie miał na wewnętrznej stronie dłoni małe krążki jak

plasterki młodej cebulki. Kto to był? Gdzie? Przypominał sobie, mozolnie

niemal siłą przebijając się przez warstwy niepamięci.

Kiedy? Kto? Opuścił

ręce i nagle zauważywszy coś podniósł lewą do oczu. Na skórze pojawiły się

niewielkie krążki, pokarbowane, jakby składające się każdy z kilkunastu

pierścieni. Osłupiały wpatrywał się w pęczniejące krążki, rzucił okiem na

prawą rękę, ale tam nic się nie zmieniało. Zaczął się bać, ale usłyszał

szybkie kroki na korytarzu, lęk uciekł, a pojawiła się przemożna chęć

ukrycia świeżoodkrytej tajemnicy. Szybko wsadził rękę pod koc, zdążył

jeszcze zdziwić się, że udało mu się tak szybko poruszyć chorą ręką i do

izby weszła Demai niosąc stosik ubrania dla Gregoryna.

- Ale wolałabym, żebyś nie wstawał jeszcze - powiedziała myśląc o

czymś innym.

Chłopiec poczuł wzrastające klucie w lewej ręce, przez głowę

przeleciała wzniecając panikę myśl: "A jeśli to będzie rosło i rosło i w

końcu zamiast suchej ręki będę miał coś z trąbkami, jak pień obrośnięty

rukami śmierdzielnicy!?" Demai położyła ubranie w nogach łóżka, a sama,

nieobecna, podeszła znowu do okna. Gregoryn szybko odsunął na chwilę koc i

zerknął na rękę, krążki nie znikły, ale też i nie powiększyły się. Nie

chcę, pomyślał, po co mi ssawki? Zwykła dobra mocna ręka, tego chcę, a nie

jakieś dziwactwo... Rzucił okiem na ubranie. To nie to, pomyślał z żalem.

Muszę obejrzeć tamto, nie wiem po co, ale muszę. Tylko ręka... A! A czy

nie mogę kazać, żeby to znikło? Chyba... może... Co mi szkodzi spróbować?

Słyszysz? Masz stać się taka jak przedtem, to znaczy - nie taka, tylko

taka jak prawa ręka, takie same palce, równe mocne paznokcie, ma być

silna, masz być zręczna, chwytna. Żebym mógł wisieć na jednej ręce na

gałęzi, żebym mógł łamać suchodaniec w rękach, żebym mógł trzymać Kata

lewą ręką, kierować Lantarem jedną lewą ręką. Prawą mógłbym z Sandią...

Strumień myśli nagle potknął się, jakby natrafił w korycie umysłu na

zalegający w poprzek nurtu gład. Z oczu chłopca trysnęły łzy. Demai

rzuciła się od okna, przytuliła syna, wpadł w jej ramiona niczego więcej

nie pragnąc jak tylko, by ta chwila trwała długo, zawsze, wiecznie. Dłoń

matki ułożyła się na głowie, palce poskubywały włosy, pieszczotliwie,

uspokajająco. Szlochał długą chwilę, potem zaczął się uspokajać, szloch

przeszedł w spazmy, kaskadowy oddech. Odsunął się od Demai, wytarł oczy

wierzchem prawej ręki, pamiętając, żeby lewą trzymać pod kocem.

- Wstanę, i tak nie zasnę, ani nie będę mógł spokojnie leżeć. -

Począł chwilę i zapytał: - Nie wiesz gdzie jest Kat?

- Wiem, wzięli go ze sobą, żeby szukał śladów, ale podobno nie chce

odejść od tych skał na górze. - Demai wstała i skierowała się do drzwi. -

Będę w domu...

Zamilkła nie mogąc wykrztusić imienia matki Sandii, Gregoryn kiwnął

głową, matka wyszła. Odczekał chwilę, a potem wyskoczył z łóżka i zaczął

wciągać spodnie i koszulę, umyślnie nie patrzył na lewą rękę, ale

zapinając pas odetchnął i zerknął w dół. Na skórze nie było żadnych

kregów, ucieszył się. Ucieszył się i jednocześnie odczuł pewne

rozczarowanie, przez głowę przemknęła myśl, że krążki -
nie, ale może
dałoby się... Może... Przerwał ubieranie i dokładnie
obejrzał dłoń, nie
ulegało wątpliwości, że paznokcie mają inny, ciemniejszy
kolor z odcieniem
różu. Spokojnie, pomyślał chłopiec. Może i wcześniej tak
było, tylko nie
widziałem. Na razie najważniejsze te spodnie, gdy je
zobaczę... gdy je
zobaczę...
Wybiegł na korytarz i popędził do komórki przy kuchni,
gdzie zawsze
leżały ubrania czekające na dzień prania. Jego odzienie
leżało na
wierzchu. Ostrożnie podniósł spodnie i wyszedł z
komórki, podszedł do
okienka i wpił się wzrokiem w upstrzony
najprzeróżniejszym śmieciem
materiał. Po chwili wpatrywania się znalazł, mocno
chwycił w palce długi
dwubarwny włos, puścił portki, zamarł w bezruchu.
Co to znaczy? Przecież wiem czyj to, ale gdzie to było?
Dlaczego włos
ma czarny koniec? Te obrazy... Kto krzyczał pod sufitem?
Rekonfigura...
Gatunek? Aprobata? Co to jest, co to za słowa? Dlaczego
tkwią w mojej
głowie, komu służą - ciemnym siłom?! Dlaczego mówię
coś, czego nie
rozumiem? Gdzie jest Sandia? Dlaczego na ręce wyrastają
mi kółka? Nie

potrzebuję... A na prawej ręce? Upuścił spodnie na podłogę, ostrożnie zwinął włos i zacisnął najmocniej jak mógł w palcach lewej ręki, palce prawej drżały lekko, gdy podniósł je do oczu i wpił się wzrokiem, ale skóra była gładka.

A gdybym chciał żeby mi wyrosły ssawki? Chcę! Chcę mieć ssawki jakie były...

Oderwał wzrok od ręki, opuścił ją.

Na czym były? Jakaś ręka! Czyja? Kiedy? Gdzie, gdzie, gdzie???

Zwinął palce w pięść i uderzył się w udo, jeszcze raz i jeszcze.

Gdzie? Zakłuło

go w dłoni, podniósł ją do oczu i skamieniał - na ręce występowały blade,

coraz wyraźniejsze krążki. Plasterki cebuli... Kto tak powiedział? Chyba

ja, ale kiedy? Nieważne - nie chcę tych krążków, tych ssawek, nie

potrzebuję. Potrzebuję zdrowej ręki i mocnej nogi, tak, tych dwu rzeczy

potrzebuję. Muszę też wiedzieć gdzie jest Sandia, muszę jej pokazać, co

potrafię robić, może i na jej skórze będę umiał wydusić takie wzorki? A

może zrobię takie kółka na czole tej wstrętnej Lonki..

Zakręciło mu się w głowie, zbyt długie stanie w miejscu, mocne

obciążanie prawej nogi spowodowało, że najpierw zaboląa go, a potem pod

kolanem chwycił skurcz, chłopiec zapomniał o ssawkach i zaczął tuc kantem

dłoni pod kolano, jak go nauczył kiedyś ojciec, uderzył raz, drugi... Po

szóstym razie narastający skurcz nagle odpuścił, ból ustał, ale wirowanie

przed oczami wzmogło, zatoczył się, nie udało mu się złapać równowagi,

huknął czołem o ceglany mur... Nagle dokoła zapanowała wielka cisza i

jasność aż do bólu, aż do mroku...

W ciszy i ciemności ktoś powiedział: "Rekonfiguracja. Tak, re - re -

re! Aprobababa - t - ta! Gregusie, to od serca. Trzymaj... Trzymaj... Ależ

on mocno zacisnął palce, co on tam trzyma? No nie dam rady, niech trzyma,

ale nie wiedziałam, że te palce są takie silne? Może... Mają normalny

kolor! Gregusie, całkowita reakcja i dwa gatunki".

Mamo, chciał powiedzieć. Zdziwił się, że nie może wykrztusić tak

prostego słowa, skoro inne może - obce, groźne, niezrozumiałe.

Mamo, mamoo!

- Wyszarpnięty ze snu Cadron poderwał głowę
rozglądając się i
jednocześnie wymacując broń u pasa. Izba była obca, a
broni nie było; od
stołu, na którym złożył głowę do snu, odskoczył
wystraszony medyk.

Wyciągnął rękę i pokazał łoże. - Przyjaciel ma się lepiej,
znacznie

lepiej! - Po raz pierwszy Cadron zobaczył jego uśmiech -
dziwnie

zesnurowane w ciup usta, ale oczy przymrużone,
otoczone bruzdkami

drobnych zmarszczek. - Będzie żył...

Cadron poderwał się i rzucił do posłania. Hondelyk miał
zamknięte

oczy, ale twarz nie porażała już siną bladością karty, na
której miał

złożyć swój podpis Mistrz Skon. Gdy Cadron z tłukącym
się radośnie w

piersi sercem pochylił nad przyjacielem ten otworzył oczy
i przytomnie

popatrzył na niego.

- Jeszcze się nie rozstajemy - wyszeptał.

Cadron szukał w głowie jakiejś celnej odpowiedzi, ale
nie znalazł

niczego. Skinął tylko głową. Udało mu się przełknąć
jędrną kulę

stwardniałą w gardle.

- O włos od serca... - wychrypiał.

Hondelyk opuścił powieki, na znak, że zrozumiał.
Cadron poszukał w
głowie tematu do rozmowy.

- Przydało się futro - odchrząknawszy powiedział wskazując brwiami

przykrywający Hondelyka brandeswans.

- Tak - zgodził się ranny zerkając na własną pierś.

- Pogoniłem za tym zbrojcem - powiedział Cadron ucieszony, że znalazł

jakąś kwestię do rozważenia. - Ale już go kamraci ubili, pewnie albo nie

chcieli, żeby ich ścigać, albo już mieli go dość...

Hondelyk zastanawiał się chwilę, przypominał coś sobie.

- Wydawało mi się, że ktoś mnie przeszukiwał, czy ten szubrawiec

zabrał coś? Puzderko? - zaniepokoił się.

Cadron rzucił się do ławy, na którą zrzucili z Kajtysem kaftan

Hondelyka i zakrwawioną koszulę, chwycił obie rzeczy i wrócił do łóżka.

Szybko obmacawszy znalazł twardy kwadracik i skinął głową, wydłubał go z

zakrwawionej, sklezionej grubym skrzepem kieszeni.

Puzderko miało kilka

brązowych plam na sobie, jedną czy dwie tego samego koloru smugi.

I jedną głęboką metalicznie połyskującą bliznę.

Hondelyk poruszył ręką, Cadron oderwał oczy od blizny, szybko otworzył

puzderko i pokazał druhowi, że włos jest na miejscu.

Potem zamknął wieczko

i odwróciwszy pokazał głęboką rysę pozostałą po sztylcie napastnika.

- Trafiałby niechybnie - powiedział mocniejszym głosem Hondelyk.

- O włos...

Cadron zamilkł i zaczął przypominać sobie dziwny
długi sen. Włos

odgrywał w nim dużą rolę, ale jaką?

Włos... Długi rudy, z ciemnym jednym końcem.

Zmarszczył czoło w

wysiłku, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Kołatały
się tylko te same

cztery słowa. Stęknąwszy z rezygnacją wypowiedział je
jeszcze raz:

- O włos od serca...